

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/590

1996



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

A. CZERNIAWSKI: **WISŁAWA SZYMBORSKA:**

BEZ KOŃCA POEZJA

A. STROŃSKA: **GORZKI SMAK WOLNOŚCI**

R. KACZMAREK:

POLSKA W MARSZU DO EUROPY

L. UNGER: **WIDZIANE Z BRUKSELI**

SPIS RZECZY

Adam Czerniawski:	<i>Wislawa Szymborska: bez końca</i>	
	<i>poezja</i>	3
Jacek Sieradzki:	<i>Przewodnicy pilnie poszukiwani</i> . . .	7
Andrzej Stach:	<i>Wzdłuż Odry i Nysy</i>	19
Anna Strońska:	<i>Gorzki smak wolności</i>	34
WIERSZE		
Stańczykówna:	<i>Dialektyka i sztuka</i>	47
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Robert Kaczmarek:	<i>Polska w marszu do Europy</i>	49
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	61
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Czytając powakacyjne sondáže</i> . . .	83
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	93
Piotr Daszkiewicz:	<i>Lekcja Białowieży</i>	102
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	106
KRONIKA KULTURALNA		
Zofia Bobowicz:	<i>Recepcja literatury polskiej we Francji – uwagi wydawcy</i>	112
Bogumiła Berdychowska:	<i>Niezwykłe czasopismo</i>	120
–	<i>Nagrody</i>	125
–	<i>Komunikat Polcul Foundation</i> . . .	126
–	<i>Lista członków wspierających Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu</i>	127
NOTATKI REDAKTORA 129		
CI, CO ODESZLI		
Bohdan Osadczyk:	<i>Pożegnanie z Wiktoorem Woroszylskim</i>	133
Jacek Bocheński:	<i>Moje przygody z Wiktoorem, tak jak je pamiętam</i>	136
KSIAŻKI		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Odstanianie kurtyny</i>	141
Jan Jerzy Milewski:	<i>Tożsamość narodowa mieszkańców pogranicza polsko-białoruskiego</i>	148
–	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> . .	152
–	● <i>Wydarzenia miesiąca oraz kronika australijska i nowozelandzka</i>	153
–	●	
A. Koraszewski, dr W.M. Szczygielski, W. Zajewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	157

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad/Novembre 1996

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) – zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza, zmarłego 5 października 1979 – dol. 100,00	F. 500,00
Zbigniew Chudoba, Stockholm – kor. szw. 150,00	F. 115,00
Janina Zyndram Kościalkowska – dla uczczenia pamięci Zygmunta Hertza, autora „Listów do Czesława Miłosza”	F. 200,00
Mirosław J. Ficak, Monachium (Niemcy)	F. 200,00
Danuta i Henryk Hiżowie, Caps May Point, N.J. (USA) – dla uczczenia pamięci Alicji Iwańskiej, poetki, socjologa, pisarza, żołnierza AK i WiN, zmarłej w Londynie 26 września 1996 r.	F. 500,00
Halina Jaskot, Hamilton, ON (Kanada) – dla uczczenia pamięci Drogich Rodziców Katarzyny i Konstantego Sieluk – dol. can. 200,00	F. 700,00
Witold Mikułowski, Warszawa – zamiast kwiatów na groby Państwa Langrodów	F. 500,00
Pamięci Wacława Zyndram Kościalkowskiego w Dzień Zaduszny – Żona	F. 200,00
Maria Podhorska, Londyn – dla uczczenia podwójnego Jubileuszu: 90-tej rocznicy urodzin Red. Jerzego Giedroycia i 50-lecia Instytutu Literackiego	F. 400,00
Wojciech Popławski, Carindale Qld, (Australia) – dol. austr. 20,00	F. 80,00
Krzysztof Feliks Pytel, Malmö (Szwecja) – dla uczczenia pamięci ppor. kol. Zbigniewa Poradzkiego, ps. „Kruszyna” (AK), uczestnika Powstania, tam rannego, inwalidy, zamordowanego w więzieniu Mokotowskim przez komunistyczny polsko-sowiecki Urząd Bezpie- czeństwa (UB). Ppor. Zbigniew Poradzki był uczestnikiem patriotycznej akcji likwidacji gen. SS Gestapo, Franza Kutschery – po raz 2-gi – kor. szw. 3.000,00	F. 2336,00
Teresa Romer, St.-Eustache, Que. (Kanada) – po raz 24-ty – dol. can. 20,00	F. 70,00

DZIĘKUJEMY !

INSTITUT LITERACKI

Wisława Szymborska: bez końca poezja

Więc to już drugi Nobel dla poezji polskiej w okresie zaledwie kilkunastu lat. Ale późno świat się o tej poezji dowiaduje. Żadni skandynawscy starszycy nie pomyśleli o Noblu dla Kochanowskiego, dla Słowackiego, dla Norwida, ani nawet dla Tadeusza Różewicza, naszego najważniejszego żyjącego poety. I już chyba w tym stuleciu ani Różewicz ani nikt inny tworzący po polsku nie zdąży. A światu nawet dwie nagrody dla Polski wydają się za dużo. W wykazach noblistów ogłaszanych bieżąco w gazetach, Miłosz figuruje jako Amerykanin. Sam podaje się za poetę litewskiego, jest szeroko wydawany w Stanach, więc może nie należy się dziwić, że nawet *Poetry National Review*, najważniejszy brytyjski periodyk poświęcony poezji, niedawno doniósł, że autor w języku polskim utworzonego „Światła dziennego”, jest pisarzem... czeskim.

Maniakalnie antyelitarna kultura amerykańska programowo zachęca wszystkich obywateli do tworzenia „poezji”. A co Amerykanie wymyślą w poniedziałek, Anglicy przejmą w wtorek i reszta świata w środę lub czwartek. Więc masowo publikuje się teraz wszędzie bezładne tasiemcowe wynurzenia marzących o sławie grafomanów. A tu nagle rozchwytywane będą i zaczytywane tomiki prawie nieznannej w świecie, unikającej reklamy, Wisławy Szymborskiej. Wstrząsem okaże się lektura poezji pisanej z ironicznego dystansu, z którego autorka obserwuje ludzkość, z którego snuje refleksje metafizyczne nad zagadkami naszego bytu. Podziw wzbudzi zdolność

ujmowania tych głębokich tematów w utworach skomponowanych klarownie, czysto, pozbawionych zbędnych wulgaryzmów i kolokwializmów, w utworach, w których nasze dzienne sprawy, nasze zafascynowanie miłością, przemijaniem i śmiercią traktowane jest kapryśnie, dowcipnie, nawet czasem elegijnie. Krzysztof Karasek trafnie przyrównał tę twórczość do muzyki Mozarta. Jest w niej mozartowska radość istnienia, lekkość, wirtuozeria; ale też, jak u Mozarta, przewija się ukryta nuta tragizmu. Nie jest to jednak tragizm egocentryzmu romantyków: znów jak Mozart, Szymborska wywodzi się z tradycji Oświecenia. A wykształcenie socjologiczne ugruntowało w jej świadomości rzadki u poetów obiektywizm naukowy.

Akurat dziesięć lat temu Szymborska opublikowała kolejny cieniutki tomik pt. „Ludzie na moście”. Tak zatytułowałem wydany w r. 1990 w Anglii wybór moich przekładów jej poezji, a na okładkę wybrałem reprodukcję obrazu Japończyka Hiroshige Utagawy. Posłużył Szymborskiej za inspirację wiersza, który przytaczam obecnie w całości, gdyż świetnie ilustruje wyróżnione tu walory jej twórczości:

Dziwna planeta i dziwni na niej ludzie.

Ulegają czasowi, ale nie chcą go uznać.

Mają sposoby, żeby swój sprzeciw wyrazić.

Robią obrazki jak na przykład ten:

Nic szczególnego na pierwszy rzut oka.

Widać wodę.

Widać jeden z jej brzegów.

Widać czółno mozolnie płynące pod prąd.

Widać nad wodą most i widać ludzi na moście.

Ludzie wyraźnie przyspieszają kroku,

bo właśnie z ciemnej chmury

zaczął deszcz ostro zacinać.

Cała rzecz w tym, że nic nie dzieje się dalej.

Chmura nie zmienia barwy ani kształtu.

Deszcz ani się nie wzmaga, ani nie ustaje.

Czółno płynie bez ruchu.

Ludzie na moście biegną

ściśle tam, co przed chwilą.

Trudno tu obejść się bez komentarza:

To nie jest wcale obrazek niewinny.

Zatrzymano tu czas.

Przestano liczyć się z prawami jego.

Pozbawiono go wpływu na rozwój wypadków.

Zlekceważono go i znieważono.

*Za sprawą buntownika,
jakiegoś Hiroshige Utagawy,
(istoty, która zresztą
dawno i jak należy minęła),
czas potknął się i upadł.*

*Może to tylko psota bez znaczenia,
wybryk na skalę paru zaledwie galaktyk,
na wszelki jednak wypadek
dodajmy, co następuje:*

*Bywa tu w dobrym tonie
wysoko sobie cenić ten obrazek,
zachwycać się nim i wrzeszczać od pokoleń.*

*Są tacy, którym i to nie wystarcza.
Słyszą nawet szum deszczu,
czują chłód kropeł na karkach i plecach,
patrzają na most i ludzi,
jakby widzieli tam siebie,
w tym samym biegu nigdy nie dobiegającym
drogą bez końca, wiecznie do odbycia
i wierzą w swoim zuchwalstwie,
że tak jest rzeczywiście.*

Najnowszy, jeszcze cieńszy tomik Szymborskiej, nosi tytuł „Koniec i początek”. Wcześniejszy noblista, Thomas Stearns Eliot pisał w „Kwartetach”:

To, co zwiemy początkiem, często bywa końcem.

Kończyć znaczy zaczynać. Koniec jest punktem startu.

I cytował tam średniowiecznego mistyka, Juliana z Norwich. Tak jak Szymborska „zacytowała” Hiroshige. W poezji nie ma początku, nie ma końca. Dobra poezja po prostu trwa i korzysta z gromadzonego w czasie kulturalnego dorobku świata.

Adam CZERNIAWSKI

Przewodnicy pilnie poszukiwani

W lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury* ukazał się szkic Teresy Wałas „Kultura polska po komunizmie”, który ktoś – może sama autorka, może redaktor *Kultury* a może redakcja *Dekady literackiej*, gdzie był pierwodruk – opatrzył podtytułem „Zaproszenie do dyskusji”. Osobliwa rzecz: podtytuł z pozoru wyłącznie organizacyjno-retoryczny, który mimochodem trafia w samo sedno tematu zasadniczego. Jeżeli bowiem rozmawiać o kulturze polskiej ostatnich lat (tej po komunizmie i tej ze schyłkowej fazy jaruzelszczyzny; cezury tu akurat są nieostre), to jednym z jej wyróżników będzie doszczętny brak tego, co podtytuł artykułu oferuje. Na naszym poletku kulturalnym z dawien dawna nikt nikogo nie zaprasza do dyskusji. Słychać wokół tylko monologi: i twórcy, i komentatorzy mówią swoje nie czytając, nie słuchając się, nie próbując sobie wzajemnie zadawać pytań, wchodzić w spory. A jeśli już – to z agresją, z krzykiem, ze strzykaniem złośliwościami wymierzają sobie ciosy w jakimś obłudnym przekonaniu, że odbiorcę zainteresują wyłącznie obelgi, połajanka i prymitywna demagogia.

Kultura polska po komunizmie jak zakompleksiony wyrostek reaguje na wszystko alergicznie i histerycznie; nie potrafi spokojnie, trzeźwo rozmawiać ani ze światem, ani z samym sobą. Może w tej dyskusji uda się wreszcie przełamać taką nerwowość? Oby.

Pozwoliłem sobie w paru miejscach wywodu krakowskiej literaturoznawczynie dopisać parę spostrzeżeń. Nie mają z

reguły charakteru frontalnie polemicznego, są raczej dopełnieniem myśli zawartych w artykule, rozwinięciem wątków sygnalizowanych – zapewne z konieczności – dość pośpiesznie. Jeśli poprzez te dopiski cokolwiek poprzestawiają się akcenty, nieco zmienia się hierarchia ważności podnoszonych kwestii – nie będzie to sprzeczne z moimi intencjami.

1.

Powiada Teresa Walas, że w latach szczęśliwie minionego stroju „dzięki uruchomieniu mechanizmu alegoryczności i aluzyjności kultura na oczach władzy rozpowszechniała tajemnicę, co zwiększało jej atrakcyjność i podnosiło jej rangę”. Zgrzyta tu nieco słowo „tajemnica”, dalibóg mało ezoteryczne było to, co wówczas rozpowszechniano. Zbytek honoru. Gdyby jednak autorka zgodziła się, lekko przedogowując zdanie, na użycie słowa „wtajemniczenie” – mielibyśmy w rękę bez zgrzytów obracającą się w zamku klucz i do tamtej kultury, i do niektórych kłopotów jej dzisiejszych spadkobierców.

Tak, kultura pod komunizmem ofiarowywała odbiorcom przystąpienie do swego rodzaju wspólnoty wtajemniczonych. Niekoniecznie od razu do antyustrojowego spisku. Niemniej świadome uczestnictwo w kulturze wysokiej było, śmiem twierdzić, w znacznej mierze bardzo łagodną (i bardzo bezpieczną) formą oporu przeciw komunistycznej rzeczywistości. Albo, żeby mówić ściślej, formą niezgody. Niezgody na niemożliwą w swej nudzie telewizję z Pierwszym Sekretarzem asystującym spustowi surówki w hucie Florian, na tępą, zideologizowaną nowo-mowę zewsząd, na redagowane identycznym żargonem pierwsze strony gazet, na krytyzm indoktrynacji w szkole, na uczelni, w mediach. Dla osób o inteligentnych aspiracjach bodaj jedyną możliwą, a nie grożącą represjami ucieczką przed tym wszystkim była książka – często pocięta cenzuralnie, ale przynajmniej mówiąca ludzkimi słowami – albo koncert, film, teatr. Zwłaszcza teatr, który owo wspólne wtajemniczenie krzepił, by tak rzec, na gorąco. Ktoś pochwycił jedną aluzję, ktoś inną, śmiech i oklaski przynaglały do aktywności (a że, bywało, sens wystawianego dzieła diabli brali definitywnie, to już doprawdy drobiazg).

Chciałbym być dobrze zrozumiany: jestem jak najdalej od gloryfikacji takiego sposobu odbierania dzieł artystycznych. Potrafił on prowadzić do sytuacji żenujących: pamiętam pragnienie wciśnięcia się jak najgłębiej pod fotel, kiedy patriotycznie podniecona publiczność urządziła wielką owację Bogu ducha winnej aktorce, ponieważ pomyliła ją z Haliną Mikołajską. Niemniej owa wspólnota wtajemniczenia była imponująco skuteczna w definiowaniu – na poziomie elementarnym! – sensu uczestnictwa w kulturze. Do czasu zresztą: wspólnota ta zaczęła wypalać się jeszcze przed 1989 rokiem; można rzec, że odbiorcom ta zabawa w łowienie aluzji wyraźnie zaczęła się nudzić. Co, wolno sądzić, nie pozostało bez związku z ogólnym poluzowaniem wokół: w okresie rozkwitu pozacenzuralnego obiegu wydawniczego z jednej strony i dopuszczenia niekontrolowanej rozrywki pozapolitycznej (filmy video, anteny satelitarne) po prostu mniej dojmujące było to wszystko, na co niezgodą była przedtem wspólnota wtajemniczonych aluzjomanów.

2.

Że cała ta niezgoda była w pewnej mierze kontrolowana przez PRL-owskich propagandystów? Oczywiście! Jest rzeczą sporną, ile w mechanice przykręcania i popuszczania cenzuralnej śruby, tudzież wypuszczania rozmaitymi wentylami pary niezadowolenia obywateli – ile było w tej mechanice machiavelistycznego cynizmu, a ile prostego przypadku, niemniej maszyny te działały sprawnie od paździenikowej odwilży po okrągły stół. I nie były tylko bezdusznymi automatami. Odciskała się w nich schizofrenia ideologii, którą Teresa Walas definiuje tak: „Komunizm używał kultury do celów propagandowych, ale równocześnie jej rozwój traktował jako świadectwo swojej witalności, czym uwikłał się w nierozzerwalną sprzeczność. Ucisk doktryny powodował skarlienie kultury, zmniejszenie ucisku wpływało korzystnie na jej dorodność, ale też prowadziło automatycznie do niepokojącego przyrostu wolności i wiedzy, co podmywało zręby ideologii. Polityka kulturalna miała na celu utrzymanie zbawiennej równowagi między tymi dwiema skrajnościami..”.

Równowaga ta musiała być wszakże chybotała, skoro wpływało na nią tak wiele czynników: od makropolitycznych

przepychanek w KC (a i na Kremlu czasami) po zwykłą głupotę odpowiedzialnych towarzyszy na rozmaitych szczeblach. I coś dziwniejszego od głupoty. Paradoksalnie pośród funkcjonariuszy aparatu propagandy sporo było takich, którzy na wspomnianą wspólnotę wtajemniczenia spoglądali zazdrosnym okiem. I usiłowali tak lawirować, by – nie ryzykując swojej pozycji – dać odczuć sympatię prawdziwym, niepokornym artystom. Zdarzali się sekretarze wznoszący w rozmowach oczy do nieba: „panie, pan widzi, z kim ja muszę pracować”, kierownicy wydziałów biorący na siebie, po nieprzespanych nocach decyzję o „puszczeniu” czegoś niebezpiecznego (w miarę, w miarę, oczywiście; cała rzecz w tym, że ta miara zacierała się w kunktatorstwie), cenzorzy szepczący autorom: „pański utwór jest mądry i musimy zrobić wszystko, by go uratować, więc może wymieńmy to słowo na inne, oraz skreślmy ten i ten akapit – a wtedy zobaczymy, co się da zrobić...”.

Wielu twórców dobrze zapamiętało sobie takich lękliwych Wallenrodów, z którymi latami toczyli boje o utwory, myśli, intencje; skłonni są wspominać ich czule i dziś. W owej życzliwości rozpędzają się może cokolwiek za mocno – jak zdarzyło się Kazimierzowi Kutzowi, który, zapewne porirywany starciem z dzisiejszymi urzędnikami, wygłosił akt strzelisty pod adresem dawnej władzy, która ponoć była niezwykle pokorna wobec sztuki. Znakomity reżyser jakoś zapomniał, albo rozgrzeszył wszystkie „wicie, rozumiecie”, „niech pan da sobie spokój z tym tematem, jeszcze nie czas”, „to będzie źle widziane, nie możemy” i tysiące podobnych wykrętów, z którymi zderzyć się musiał każdy, kto wkraczał na obszar kontrolowany przez PRL-owską propagandę.

Spśród tych kontrolerów-kunktatorów wielu – niezadko stosunkowo najprzyzwoitszych – zapłaciło sporą cenę za ustrojowe przemiany 1989 roku: cenę marginalizacji, bezrobocia, etc. Inni spadli na cztery łapy i jeśli siedzą cicho, robiąc rzeczy pożyteczne, Bóg z nimi. Gorzej, że – zwłaszcza po odwróceniu się sympatii społecznych od *ex*-opozycjonistów – coraz częściej dowiadujemy się od odrodzonych Wallenrodów, że ich kunktatorzenie było olimpijską cnotą. Że facet, który całe życie ćwiczył się w tym, aby komunistycznego niedźwiadka czasami potarmosić za kudły,

(osładzając mu natychmiast szarpnięcie porcjami miodu, by go nie zdenerwować) – że facet ten nie robił nic innego, tylko kultywował własną niezależność. Że nie był koniunkturalnym tchórzem – lecz przeciwnie, herosem, którego stać było na odwagę niewiązania się ani z władzą, ani z opozycją (tak jakby te związki nie różniły się od siebie w kosztach). Że polityka takich jak on lawirantów doprowadziła do niebywałego w dziejach narodu rozkwitu polskiej kultury, zlikwidowano analfabetyzm, wydawano takie i takie nakłady książek, działało tyle i tyle teatrów, tworzyli Lutosławski, Wajda, Strykowski i Swinarski, więc wara od dobroczyńców – to dopiero upadek komunizmu zmienia kraj w kulturalną pustynię.

Proszę wybaczyć, że w poważnym piśmie notuję uwagi o nieprzyzwoicie dużym stopniu oczywistości. Jest jednak nader denerwującym obserwowanie, kiedy po usłyszeniu filipiki o tym, jak to komunizm dbał o kulturę, przytłoczeni litanią nazwisk i tłumem liczb, dzisiejsi twórcy i komentatorzy chowają ogon pod siebie i wycofują się rakiem, nie podejmując rękawicy. A przecież zniewolenie kultury pod komunizmem nie polegało na trzymaniu po łągach Pendereckiego z Zanusim; zarzucanie działaczom partyjnym generalnej antyinteligencji czy apriorycznej niechęci do artystów jest strzelaniem kulą w płot. Zniewolenie kultury pod komunizmem miało charakter systemowy: największy nawet twórca, aby dzieło mógł wyprodukować bądź rozpowszechnić, musiał uzyskać zgodę odpowiedniego funkcjonariusza „frontu ideologicznego”. Tylko rachunek prawdopodobieństwa decydował, czy owym funkcjonariuszem będzie ortodoksyjnie zakuty baran, czy jeden z owych lawirantów, z którymi może można, po kompromisach, jakoś się dogadać; dobra wola też jednak nie pomagała, jeśli „na górze” śruba była akurat przykręcana. Decyzje funkcjonariuszy były nieodwołalne (chyba, że w układach nieformalnych z ludźmi „z góry”, co miało swoją cenę), ingerencje i ustępstwa były ściśle tajne, cenzura potrafiła skreślać nie tylko poglądy ale i – automatycznie – nazwiska ludzi źle widzianych.

Kultura po 1989 roku nie jest w rozkwicie, na co składa się wiele czynników i obiektywnych, i zawinionych – przez nowe władze, przez stare przyzwyczajenia. Niemniej w kwestii

wolności twórczej między nowymi a tamtymi czasy jest przepaść, co kwestionować mogą tylko albo zaślepieni, albo cynicy. Albo beztraska młodzież, dla której przygody kultury pod rządami towarzyszy Kliszki, Łukaszewicza czy Świrgonia to są głupie bajeczki wymyślane przez sklerotycznych dziadków.

3.

Pisząc o upowszechnianiu kultury pod komunizmem Teresa Walas zauważa, iż w specyficzny sposób odcisnęła się na nim ogólnoswiatowa „coraz ostrzejsza polaryzacja kultury wysokiej i kultury masowej. Doktryna komunistyczna kontroluje obie sfery, bardziej wszakże, co rozumiały tę, którą obejmuje większy krąg odbiorców. Sztuka awangardowa miała swoją niszę ekologiczną, szybko bowiem się połapano, że w większości przypadków jest ona całkowicie niegroźna dla systemu, jej zaś obecność stanowi świadectwo jego wielkodusznej tolerancji. [...] Polska natomiast kultura masowa była straszliwie nudna, nie spadała jednak poniżej pewnego poziomu, jeśli pominąć takie jej przejawy lokalne, jak kabarety w powiatowych miasteczkach. Generalnie też przeważała tendencja do homogenizacji ze znakiem dodatnim – raczej w górę, niż w dół”. Warto się w tym miejscu chwilę zatrzymać.

Doktryna komunistyczna, jak wiadomo, w opozycji do gnijącego w libertynizmie Zachodu, zawsze była cnotliwie wychowawcza. Naród wobec odgórných zabiegów pedagogicznych okazał się mocno oporny, przeto nigdy, poza może latami pięćdziesiątymi, nie doszło do scen znanych z ulic Związku Sowieckiego, gdzie pasażer trolejbusu z upodobaniem bywał uczony kultury bycia przez konduktorkę (uczony ruganiem, rzecz jasna). Spośród palety cnót, kultywowanych z biegiem czasu już tylko *pro forma*, jedną z najwyższych wszakże okazał się szacunek wobec kultury wysokiej i pogarda dla kultury niskiej. Podtrzymywali tę żywotność wybitni artyści i komentatorzy, dobrze pamiętający rzeczywistość przedwojenną, z arcygłupimi wiedeńsko-budapeszteńskoparyskimi farsami w teatrach i powieściadłami dla kucharek w księgarniach. Co narzekano, to narzekano, ale zasługę postawienia w kulturze tamy burżuazyjnej tandecie, złemu

smakowi i żerowaniu na najniższych instynktach przyznawali komunistom nawet ich zdecydowani wrogowie. Tę hierarchię wartości chłonęło parę pokoleń edukowanych w PRL-u Polaków, których panie nauczycielki prowadziły do teatru na Szekspira, Ionescę i Mrożka (i którzy przy okazji uczyli się od starszych techniki deszyfrowania aluzji politycznych), którzy mieli w kinach odpowiednią proporcję dzieł cięższych i lżejszych (z ogromnym naciskiem na kinowe arcydzieła) a o potopie tandety zalewającej telewizję i stoiska księgarskie na całym świecie, zwyczajnie nie mieli pojęcia.

Bezalternatywna cnota musi w którymś momencie zrodzić obłudę. Wolno ostrożnie domniemywać, że gdzieś w latach siedemdziesiątych, kiedy cokolwiek poprawił się i standard życia, i – na przykład – standard telewizyjnej oferty osładzającej siedzenie w domu, pierwsi odważni zaczęli się wyłamywać z ogólnej hipokryzji i przyznawać, że ich nowoczesny teatr, film, książka nuży. Ze snobizmu na orientację w kulturze zrobił się w konsekwencji dość rychło anty-snobizm: modnym było mówienie: „a ja nic nie czytam”, albo manifestacyjne zachwywanie się kiczem typu „Niewolnica Izaura”, – pierwsza nobilitowana dopuszczeniem do polskiej telewizji brazylijska tandeta serialowa. Pokolenie lat osiemdziesiątych gremialnie odrzucało już „kulturę wysoką”, mając swój rock, któremu starsi próbowali jeszcze przez jakiś czas towarzyszyć uczonymi komentarzami, ale wypadli na którymś zakręcie, gdy przy coraz większym już otwarciu granic kolejne subkultury muzyczne gnały przez Polskę w tempie ekspresowym. (Upraszcza wywód horrendalnie, ale i tak te uwagi rozrastają mi się straszliwie).

Aliści w chwili, gdy ten rozbrat przynosił już dramatyczne rozmiary, depozytariusze kultury wysokiej byli zajęci całkowicie czymś innym: wyrywaniem komunistom niepodległości. Nie kpię: uważam udział środowisk twórczych i inteligentnych w oporze lat osiemdziesiątych, który w rezultacie doprowadził do aksamitnego 1989 roku za nie do przeoczenia. Tyle, że poczucie własnej ważności każdemu nałożyłoby klapy na oczy. Stąd te straszliwe rozczarowania, frustracje i bóle lat dziewięćdziesiątych, kiedy szczęśliwi, osiągnąwszy niepodległość kraju, wolność wypowiedzi i spokój od doktryny zauważali, że następne pokolenia nie mają ochoty

docenić ich walki i sukcesu. Że „nowi” są obojętni, a może złośliwi, że lekceważą wszystko, co zyskali a wyolbrzymiają każdy błąd, że aż przebierają nogami, by dokopać zadufanym „etosiarzom” i pozwalać parę pomników. Że mówią innym językiem i wyznają zupełnie inne wartości; choćby – poprzestańmy na różnicy najbardziej może bolesnej – pewien rodzaj solidaryzmu społecznego spajającego (nie bez kosztów ubocznych) zniewolony naród, jest im teraz najzupełniej obcy, może ledwie prowadzić do kpin.

Cóż na to „etosiarze”?

4.

Niewiele mieli dróg wyjścia. Mogli pozostać w roli i walczyć o swoje ideały nieuchronnie przyprawiając sobie gęby moralistów, zadufków i starych przyków. Mogli przypochlebiać się młodym – ale to nie udało się bodaj nikomu: rów pokoleniowy jest bardzo głęboki, nawet o tyczcze nie sposób go przeskoczyć. Mogli wreszcie zrejterować. Gdy wchodził na polskie ekrany amerykański *thriller* „Milczenie owiec”, żartowano, że to kwintesencja postawy ówczesnej Unii Demokratycznej. A może szerzej: postawy całej inteligencji?

Powiada Teresa Walas, że kolejnym zjawiskiem charakterystycznym dla postkomunistycznej kultury jest „wycyfowanie się znawców, oraz ich wypieranie z pola praktyki kulturalnej. [...] Zjawisko to wiąże się z właściwym kapitalizmowi dążeniem do otrzymania taniego towaru, czyli zwiększania zysku, z uzależnieniem od kapitału i obrotowości, a także z braku moralnych skrupułów, czym znawcy nie zawsze mogą się pochwalić. Wynika również z nieudolności samych znawców, z ich konserwatyzmu, niechęci do popularyzacji. W miejsce znawców więc wchodzi »uzurpatorzy«, niedouczeni dziennikarze, niedoświadczeni redaktorzy, źli, ale szybko działający tłumacze, telewizyjni amatorzy, itd. Znawcy odpowiadają na to wyniosłą izolacją, co zmniejsza jeszcze zakres ich oddziaływania i ich kulturalną produktywność”.

Dobrze, że autorka szkicu włączyła w tekst te cierpkie uwagi o mimozowatej urażliwości niektórych autorytetów zbyt łatwo chowających się w skorupę; zwalnia to i ją, i moje uwagi od zarzutu malkontenctwa. Znawcy nie są wyłącznie

ofiarami złych czasów, ich nieelastyczność bywa wadą. Aliści trudno im ją czasem brać za złe. Trudno brać za złe poważnym ludziom odmowy udziału w telewizyjnych programach, gdzie na wypowiedź o niełatwym zagadnieniu dostają po trzydzieści sekund, a filmuje ich operator, który ma przez szefa redakcji wbijane pod czaszkę, że gadające głowy są nietelewizyjne i psują oglądalność, przeto trzeba je filmować niebanalnie, na przykład od podłogi, albo ukośnie, albo chyboczącą się kamerą. W owym szefie redakcji (czy ściślej: w mechanizmie, jakiemu podlega) kryje się główny dzisiejszy kłopot: nie w operatorze kamery i nie w konserwatyzmie znawców.

Gdy kapitalizm runął na nasze nie przygotowane głowy przez, głupio mówić, cokolwiek niechący wybite w 1989 roku okno, znalazło się wielu takich, którzy jak Tarełkin ze sztuki Suchowo-Kobylińska „kiedy wprowadzono postęp, poszedł i stanął na czele, tak, że Tarełkin był z przodu, a postęp z tyłu”. Chcąc odreagować organizacyjną i ideologiczną nadopiekuńczość państwa nad sztuką, neofici wolnego rynku gotowi byli proklamować całkowicie wolną grę sił w kulturze, z wycofaniem się państwa, walką o prywatny *sponsoring*, itd. (Niewiele z tego wyszło, a przy okazji niezbędne reformy życia kulturalnego ugrzęzły na mieliźnie, to jednak temat na oddzielne opowiadanie). Wolny rynek opanował jednak media: wielkonakładową prasę, dzienniki i tygodniki, radio (gdzie jeden program II broni się, a i to ostatkiem sił) tudzież publiczną telewizję, która jeszcze przed wejściem na anteny stacji komercyjnych weszła z nimi w konkurencję. W efekcie rozpoczął się intensywny wyścig po widza (czytelnika) i reklamodawców, a w koszta operacji łatwo niestety wpisywano tak nieuchwytną (?) pozycję jak poziom.

Nie mam zamiaru miotać tu kamieniami w świętym oburzeniu. Pracuję w miesięczniku pozostającym pod parasolem Ministerstwa Kultury i Sztuki; na wolnym rynku pewnie padłbym. Niemniej z przerażeniem obserwowałem i obserwuję wokół siebie, jak znakomite pisma, rubryki, audycje wyprzedają swoją intelektualną świetność, jak nie umieją – a może mimo chęci nie są w stanie jej obronić, uczynić z niej wartości. Z przyczyny banalnej: klientela tych rubryk dochodu nie przyniesie, więc nacisk na złagodzenie

rygorów, uatrakcyjnienie, banalizację – jest olbrzymi. Tu jest przyczyna owej atrofii autorytetów, do opisania której Teresa Walas angażuje finansowe prawo Greshama-Kopernika (gorszy pieniądz wypiera lepszy). Po prostu: jeśli w walce o czytelnika dziennik spycha notę o teatrze na daleką kolumnę i zamawia tekst na trzy czwarte stroniczki maszynopisu, to żaden znawca nie jest potrzebny. O wiele tańszy i użyteczniejszy (można mu kazać, a nie trzeba się dopraszać) jest młody, zieloniusieńki dziennikarz, który przepisze parę informacji z konferencji prasowej i parę z programu. Jeśli nie popełni błędów, spokojnie zmieści się w intelektualnym horyzoncie zadania.

Kiedyś rozmawialiśmy w gronie redaktorów działu kultury zacnego tygodnika. Jeden z nas, który robił wywiad ze znaną aktorką, relacjonował, iż gwiazda opowiadała mu była, że kiedyś w teatralnych bufetach rozmawiało się o przeczytanych książkach, artykułach, obejrzanych filmach; dziś gada się o nowych modelach samochodów. Relacjonujący był w gruncie rzeczy bliski wniosku, że skoro mamy takie paskudne czasy, to w tygodniku należałoby zredukować dział kultury, a rozbudować dział motoryzacyjny. I dopiero w trakcie zażartego sporu mieliśmy szansę zauważyć prosty fakt, że jest to rozumowanie aberracyjne. Gwiazda mówiła to z żalem. A może i z oczekiwaniem, że redakcja choćby spróbuje narzucić nowy snobizm, nowy (nowo-stary) obowiązek towarzyski poprzez zwiększenie właśnie, a nie zmniejszenie nacisku na to, co niemożliwe?

Czyż to nie jest dziś podstawowy obowiązek wobec kultury narodowej?

5.

Teresa Walas konstatuje w swoim artykule, że w kulturze polskiej zanikło centrum, brak opiniodawczych autorytetów, a życie artystyczne jest rozproszone. „Oczywiście, nie dzieje się nic strasznego. Kultura jest po to, by nią żyć, nie po to, by się w niej orientować, choć trudno sobie wyobrazić świadomość kulturalną, która nie ogarniałaby szerszego horyzontu. Rozproszenie widoczne w kulturze budzi jednak niepokój, ponieważ z jednej strony powoduje marnotrawstwo cennego niekiedy materiału, nikt bowiem nie ma dość czasu,

by przeczytać wszystkie wychodzące czasopisma, z drugiej – prowadzi często do amatorszczyzny, jako że małe kręgi nie poddawane zewnętrznej ocenie nie tylko pielęgnują bliskie sobie wartości, ale także utrwalają własne błędy. Od błędów gramatycznych począwszy. Ten stan rozproszenia nie wpływa też najlepiej na samopoczucie potencjalnych i realnych odbiorców kultury, którzy stają się coraz mniej pewni swoich wyborców, nadmiar bowiem również paraliżuje zdolność rozróżniania, o czym wie każdy, kto wszedł kiedykolwiek do wielkiego domu towarowego”.

W wywodzie tym, celnie ujmującym jeden z podstawowych kłopotów naszej kultury, brzmią – nieoczekiwanie, mącąc melodię całego artykułu – dziwnie fałszywe tony. Jakie marnotrawstwo ma na myśli autorka? Marnotrawstwo w przypadku czasopisma dotyczy papieru (i najczęściej finansów sponsora, który na ów papier i druk dał pieniądze). Otóż mieliśmy już czasy, kiedy nad uniknięciem marnotrawstwa papieru czuwał centralny urząd i bardzo bym prosił, żebyśmy do tych czasów jednak nie tęsknili. Teresa Walas, tak chwilę temu trzeźwo wytykająca wyniosłość dumnym znawcom, sama – może z rozpędu – pakuje się w wyniosły ton. Łatwo odnieść wrażenie, że ma pretensję do lokalnych czasopism o nadmierną płodność: sprawiają tym kłopoty profesorom, bo przecież kto by miał czas to wszystko czytać!

A co w gruncie rzeczy stoi na przeszkodzie, by przynajmniej spróbować? Wiem, wiem: redakcje nie przysyłają egzemplarzy okazowych, a biblioteki – biedne jak myszy kościelne – muszą redukować zakupy. Profesorowie nie mają czasu, bo zarabiają kompromitująco, więc muszą gonić za groszem, bronić się przed pauperyzacją. Wszystko prawda i *chapeau bas* przed Teresą Walas za to, że tych wszystkich przyziemności nie wyciągnęła jako argumentów w swoim artykule. Wolna od bytowych kłopotów próbowała rozważać *sine ira et studio* stan współczesnej polskiej kultury. Skoro tak, to pozostajmy na tym poziomie i powiedzmy, cokolwiek prowokacyjnie, że muszą znaleźć się chętni do orientowania się i prostowania ścieżek w całym tym zdeintegrowanym kosmosie – bo to jedyna droga wyjścia.

Polska kultura po komunizmie utraciła wabik wtajemniczenia, dość kosztowny i przynoszący sporo skutków

ujemnych, ale jakoś integrujący; marnie funkcjonuje też snobizm na kulturę wysoką, wpisany niegdyś w dydaktyczną predylekcję nieaktualnego na szczęście ustroju. Atrofia autorytetów i pogoń za uproszczeniami ze strony mediów biorących udział w grze rynkowej, pogłębiły jeszcze dezintegrację współczesnej kultury. Trzeba zatem może powiedzieć jasno, że obowiązek podjęcia prób reintegracji – ale takiej, która ogarnia wszystkie obszary, wyrzeka się sekciarstwa i apriorycznego odrzucania zjawisk, poddaje wszystkie uczciwej, pozbawionej uprzedzeń weryfikacji intelektualnej – jest dziś może pierwszym obowiązkiem wobec kultury narodowej. Trzeba odbudowywać snobizm – bądź, używając mniej negatywnie nacechowanego słowa: szerokie zainteresowanie kulturą wysoką, które to zainteresowanie zapewne nigdy nie dojdzie do rozmiarów sztucznie hodowanych w komunistycznym tyglu; tak czy owak nie osiągnie wszakże rozmiarów żadnych, jeśli samych twórców nie będzie interesowało nic, poza sobą, a komentatorzy będą zamykać się w gettach. I niezbędny jest korpus przewodników, bezstronnych, wyposażonych w żelazny zapas dobrej woli, którzy spróbują opanować teren, a potem prowadzić po nim turystów, wytyczać trasy, oznaczać punkty zwrotne. Nie chodzi o jakiegokolwiek odgórne porządki – chodzi o udostępnienie do zwiedzania tego bezdroża, jakie w dzungli naszej kultury powstało.

Być może prezentuję tu myślenie utopijne. Takie, jak to, które na innym bezdrożu – administracyjnym – kazało myśleć o apolitycznym, fachowym korpusie urzędników służby cywilnej. Daleko nam do niego. Ale może nie traćmy nadziei? Może dojrzemy?

15 września 1996

Jacek SIERADZKI

Wzdłuż Odry i Nysy

Z okazji piątej rocznicy parafowania Polsko-Niemieckiego Traktatu o Dobrym Sąsiedztwie i Współpracy z 17-go czerwca 1991 r. we Frankfurcie nad Odrą, odbyła się uroczystość z udziałem wysokich przedstawicieli z obu krajów, także jego autorów i sygnatariuszy. Znajdowali się wśród nich m.in. były premier Tadeusz Mazowiecki, ambasador Polski w Niemczech Andrzej Byrt, wicemarszałek Sejmu Aleksander Małachowski oraz jeden z głównych architektów Traktatu, kierownik Przedstawicielstwa Ambasady RP w Berlinie, Jerzy Sułek. Stronę niemiecką reprezentowała przewodnicząca Bundestagu, Rita Süßmuth, były niemiecki minister spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher oraz premier Brandenburgii Manfred Stolpe.

Najbardziej znamienne dla wszystkich wystąpień było to, iż mówcy z obu stron podkreślali swe zaskoczenie i zadowolenie z powodu tempa i rozmiaru procesu zbliżenia niemiecko-polskiego, czemu wyraz dała także Rita Süßmuth:

„Kiedy w pięć lat później pytamy o ten proces i nowy początek likwidujący byłe obciążenia, mogę tylko powiedzieć, że nie mogłabym sobie wtedy wyobrazić, iż stanie się tak dużo: czy to chodzi o płaszczyznę naszych stosunków politycznych czy sprawę mniejszości niemieckiej i regulacji problemów mniejszości w Polsce w ogóle”.

W podobnym tonie wypowiedział się też Aleksander Małachowski:

„Pani Süßmuth mówiła tu wiele o perspektywie trudnej do wyobrażenia sprzed pięciu czy dziesięciu lat. Ja jestem już bardzo starym człowiekiem, jestem żołnierzem II-ej wojny światowej i dla mnie w ogóle jest to wydarzenie z perspekty-

wy tych czasów, kiedy byłem młodym człowiekiem, kiedy z bronią w ręku prowadziliśmy wojnę, niewyobrażalne. Trudno było wtedy sobie wyobrazić, że oto kiedyś jeszcze w życiu spotkamy się tutaj właśnie w dobrym nastroju, w pokojowych wspomnieniach, bo nasze wspomnienia są już dzisiaj wspomnieniami traktatu pokojowego”.

W dużym stopniu do rozwoju stosunków między Polską a Niemcami przyczynia się kooperacja gospodarcza. Także ona jest pochodną Układu Niemiecko-Polskiego, stwierdził ze swej strony Tadeusz Mazowiecki i dodał:

„Dzisiaj ten Traktat wypełniony jest życiem bardzo intensywnym. Przypomnę tylko, że jeśli chodzi o firmy zagraniczne w Polsce, firmy niemieckie zajmują pierwsze miejsce. Jeśli chodzi o inwestycje kapitałowe, Niemcy zajmują trzecie miejsce. Około 270 miast i gmin po obu stronach ze sobą współpracuje. Jest to ogromny rozwój”.

Istotnie, w ciągu ostatnich lat Polska stała się najważniejszym partnerem gospodarczym Niemiec na terenie byłego bloku wschodniego wyprzedzając nawet Rosję. Także dla Polski Niemcy są obecnie największym partnerem na Zachodzie, oczywiście partnerem nierównym z powodu ogromnej różnicy potencjałów gospodarczych, stanu infrastruktury i poziomu życia w obu krajach. Stopniowej likwidacji tych różnic, szczególnie w regionach przygranicznych, mają służyć utworzone w ostatnich pięciu latach 4 euroregiony. W ich ramach powstały i ciągle powstają wspólne inicjatywy ponadgraniczne, zacieśnia się współpraca gospodarcza i kulturalna na poziomie gmin, miast a nawet pojedynczych wsi.

Przykładem szczególnie efektywnej współpracy jest kooperacja z Brandenburgią, z którą polskie województwa przygraniczne utworzyły 3 euroregiony, w tym jeden wspólny z Meklemburgią-Przedpomorzem. Obok wzajemnej wymiany handlowej, coraz większą rolę odgrywają wspólne firmy *joint-venture*. Tylko z województwem gorzowskim założono już ponad 300 tego rodzaju firm, m.in. na obszarze przemysłu drzewnego i tekstylnego. Obecnie np. po stronie polskiej wytwarzane są półfabrykaty, a ich obróbka końcowa następuje w Brandenburgii. Owocem współpracy ponadgranicznej w dziedzinie ekologii i turystyki jest utworzony z inicjatywy obu stron wspólny park narodowy na dolnym odcinku Odry.

Ważnym obszarem współpracy niemiecko-polskiej w

ramach euroregionów jest szkolnictwo, wymiana młodzieży i kooperacja na obszarze kultury. Wystarczy wspomnieć, że tylko na finansowanie wspólnych projektów szkolnych i nauki języka niemieckiego w regionach przygranicznych, mimo krytycznej sytuacji finansowej, władze Brandenburgii przeznaczyły w ubiegłym roku milion marek i oddelegowały w tym celu 30 nauczycieli, z czego 15 do szkół polskich. Także w 11 szkołach Brandenburgii odbywa się nauka języka polskiego: w 6 szkołach jako język obcy na regularnych lekcjach dla ogółem 220 uczniów i uczennic niemieckich; natomiast w 5 szkołach 84 uczniów i uczennic uczy się języka polskiego w ramach zajęć pozalekcyjnych. Ponadto od roku 1992 polskie uczennice i polscy uczniowie uczęszczają do 4 gimnazjów niemieckich, gdzie zdają także maturę. Aktualnie z możliwości tej korzysta niemal 200 polskich uczennic i uczniów. Natomiast na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą studiuje aktualnie ponad 500 studentek i studentów z Polski. Na uczelni tej pracuje po kilku polskich profesorów, asystentów i lektorów.

Pogłębieniu wzajemnych stosunków służą intensywne kontakty i liczne spotkania polskich wojewodów i władz Brandenburgii. Podczas ostatniego spotkania roboczego 27.06.96 r. w Poczdamie dyskutowano m.in. na temat możliwości polepszenia trudnej nadal sytuacji na przejściach granicznych, utworzenia polsko-niemieckiego parku technologicznego i stref bezcłowych przy granicy, wymiany młodzieży, współpracy szkół i uczelni, jak też wspólnych przedsięwzięć kulturalnych.

Realizacja tych zamierzeń nie byłaby możliwa bez wcielania jej w życie na najniższym poziomie sąsiadujących ze sobą miast i gmin. Obecnie kooperacja na tym szczeblu przekracza w wielu przypadkach pierwotne założenia i przyczynia się do poprawy koniunktury na terenach o szczególnie dużym bezrobociu. Ryszard Bodziacki, burmistrz Słubic, jako partnerskiego miasta Frankfurtu nad Odrą, do najważniejszych efektów współpracy ponadgranicznej zalicza budowę terminalu celnego do odprawy samochodów ciężarowych, uniwersytet Viadrinę wraz z Collegium Polonicum i wymianę młodzieży:

„I to jest dla Słubic już i tak bardzo dużo, jak dla miasta,

które kiedyś było takim zamkniętym z jednej strony peryferyjnym miasteczkiem na granicy. Służy to nie tylko Słubicom, ale całemu pograniczu. Tego kiedyś nie było. Przez te długie lata, można powiedzieć że od wojny, na gminy przygraniczne zwracano mniej uwagi i mniej tutaj inwestowano niż w centralnej Polsce”.

Olbrzymie dochody przynosi Słubicom jeden z największych bazarów handlowych na granicy polsko-niemieckiej. Osobistym kontaktom poza terenem bazaru służą niemiecko-polskie imprezy sportowe i kulturalne.

Także pełnomocnik ds. współpracy międzynarodowej z Frankfurtu nad Odrą, Klaus Baldauf, podkreśla znaczenie tych imprez dla nawiązywania znajomości i kontaktów. Do najważniejszych zalicza m.in. organizowane co roku Święto Odry z wieloma imprezami kulturalnymi i sportowymi; Święto Lata organizowane przez Radio Brandenburg i Polskie Radio.

„Mamy też wspólną niemiecko-polską młodzieżową orkiestrę symfoniczną. Istnieją doskonałe projekty szkolne, gdzie spotykają się klasy z obu stron. Wydajemy wspólnie broszury z lekturami dla klas piątych i szóstych. Zaś drużyna siatkówki ze Słubic walczy w lidze miejskiej Frankfurtu nad Odrą”.

Podobnie jak Klaus Baldauf, również burmistrz Słubic za najbardziej negatywne zjawisko ostatnich pięciu lat uważa lawinowy wzrost przestępczości ponad- i przygranicznej, do której przyczyniają się przede wszystkim, jak mówi, przyciągani niczym magnesem kryminaliści z Rosji, Ukrainy a także odleglejszych republik byłego ZSSR. Twierdzi przy tym, że już od kilku lat wschodni światek przestępczy w sposób mniej lub bardziej legalny zadomowił się w Słubicach, częściowo w wynajętych mieszkaniach, a częściowo w hotelach. Miejskowa policja wydaje się onieśmielona nawet w stosunku do polskich przemytników papierosów, którzy bezczelnie panoszą się na moście granicznym, raz po raz bezkarnie prowokując niemiecką straż graniczną.

Innym wzorowym przykładem kooperacji ponadgranicznej jest współpraca miasta Gubina po stronie polskiej i Guben po stronie niemieckiej, które przed wojną również stanowiły jedną całość. Niedawno podpisały one umowę na budowę wspólnej oczyszczalni ścieków. Gubenczyzy mogą

dzwonić do Gubina według taryfy miejscowej, a mieszkańcy polskiej części miasta mogą telefonować do Guben bez potrzeby wybierania połączenia międzynarodowego, korzystając przy tym ze specjalnej taryfy ulgowej. Polscy uczniowie uczęszczają do szkół w Guben, gdzie mogą zdawać maturę. Niemieccy policjanci zapraszani są do brania udziału w patrolach polskiej policji. Podobnie polscy policjanci – tyle że w obu przypadkach są bez mundurów i nie mają prawa aktywnego udziału w czynnościach służbowych.

Trzeba tu zaznaczyć, że zarówno przedstawiciele policji niemieckiej, jak i polskiej z terenów przygranicznych zgodnie stwierdzają dobrą jakość współpracy ponadgranicznej. Odbywa się ona na wielu płaszczyznach i obejmuje np. wymianę informacji na temat poszukiwanych osób, prowadzenie wspólnych akcji przeciwko gangom przemytniczym oraz wspólne szkolenia. Jest to tym istotniejsze, że jak dotąd nie ma jeszcze polsko-niemieckiej umowy na ten temat, co organom ścigania utrudnia wspólne zwalczanie przestępczości w tych rejonach.

Obok miast przygranicznych aktywną współpracę prowadzą także sąsiadujące ze sobą małe gminy a nawet wsie. Przykładem tego jest gmina Cedynia po stronie polskiej i Hohensaaten po stronie niemieckiej. Burmistrz polskiej gminy Leszek Kaliszczuk podkreśla przede wszystkim własną dynamikę kontaktów ponadgranicznych:

„Jedną z pierwszych inicjatyw było to, że w naszych szkołach – a mamy 4 szkoły na terenie gminy – niemieckiego uczą nauczyciele niemieccy, a na terenie gminy Hohensaaten polskiego uczą nauczyciele polscy. Bardzo ściśle kontakty nawiązały koła gospodyń wiejskich ze wsi Łukowice i Lubiechów Górny, gdzie odbywają się spotkania łącznie z występami zespołów ludowych. Bardzo ściśle współpracują jednostki straży pożarnej, które organizują także wspólne święta, spotkania i zawody strażackie. Współpracują kluby sportowe, odbywają się stałe mecze piłkarskie *oldboyów*”.

Kooperacja obu gmin obejmuje też aspekty gospodarcze i ekologiczne. Mówi burmistrz Kaliszczuk:

„Z uwagi na szczupłość własnych środków, wspólnie z burmistrzem miejscowości Hohenwutzen, panem Knutem Wickinalem, podpisaliśmy umowę jako gminy i wystąpiliśmy do Unii Europejskiej o środki na kanalizację naszej części

gminy nad Odrą. Niedawno odbyliśmy spotkanie Zarządu Miejskiego w Cedyni razem z samorządem gminy Hohensaaten”.

Zdaniem burmistrza w dużym stopniu dobra współpraca jest efektem własnego zaangażowania mieszkańców po obu stronach granicy:

„Być może polega to głównie na tym, że na początku umożliwiliśmy te kontakty, które teraz odbywają się samorzutnie, prawie bez naszego udziału. Natomiast przedsięwzięcia jak nauczanie, musiały się odbywać już na płaszczyźnie gmin czy porozumień. Ale nigdy nie mieliśmy tutaj również jakichkolwiek zajęć po stronie niemieckiej, czy po naszej stronie jakichkolwiek zadrażnień”.

Na dotychczasowy rozwój współpracy na poziomie władz gminnych i kontaktów mieszkańców patrzy z zadowoleniem honorowy burmistrz gminy partnerskiej Hohensaaten, Andreas Bölke. Na uwagę zasługuje fakt, że również on wśród najważniejszych osiągnięć kooperacji na pierwszym miejscu wymienia nauczanie języka niemieckiego i polskiego w szkołach obu gmin:

„Uzgodniliśmy też wzajemne wizyty podczas posiedzeń przedstawicieli władz gminnych. Dzięki temu można uczyć się od siebie i przede wszystkim zorientować się w problemach gminy partnerskiej. Oczywiście nie jest to zbyt łatwe z powodu trudności językowych, gdyż po naszej stronie niewiele osób zna polski i odwrotnie. Trudno jest też niekiedy zrozumieć problemy drugiej strony ze względu na panujące tam inne przepisy prawne. Dlatego obecnie musimy nad tym popracować”.

Interesujące w tym kontekście wydają się dwa aspekty. Pierwszy z nich to napawający optymizmem i często podkreślany fakt coraz lepszych osobistych kontaktów mieszkańców po obu stronach granicy, jako że nie jest to sąsiedztwo osadzone na tradycji powstałej w sposób stopniowy przez wieki, lecz w wyniku powojennego przesiedlenia przeważnie mieszkańców kresów wschodnich na ziemię ponemieckie, którzy w swej olbrzymiej większości nigdy nie mieli do czynienia ani z kulturą ani z językiem, ani też z obyczajowością niemiecką. Zaś po zachodniej stronie Odry często mieszkają wypędzeni Niemcy, których były domy i gospodarstwa oddalone są od ich obecnych miejsc zamieszkania

o kilkadziesiąt lub kilka kilometrów a niekiedy nawet tylko kilkaset metrów. Także oni nigdy nie mieli do czynienia z mieszkańcami byłych kresów, ich kulturą i zwyczajami. Stąd też każdy krok na drodze zbliżenia niweczy nie tylko pięćdziesięcioletni ale wielowiekowy brak tradycji we wzajemnych kontaktach. Wynikająca również z tego powodu słaba znajomość polskiego po stronie niemieckiej (i odwrotnie) znalazła wyraz w pewnym zdarzeniu, o którym opowiadał mi znajomy dziennikarz. Otóż burmistrz pewnej małej miejscowości polskiej przy granicy, na przyjęciu wydanym na cześć niemieckich sąsiadów, trzymając w dłoni kieliszek chciał wznieść toast po niemiecku i powiedział, tłumacząc z polskiego: *Hände hoch!*

Na obszarze ponadgranicznej współpracy jednym z podstawowych problemów w zakresie rozbudowy infrastruktury jest nierówność środków finansowych, które po stronie polskiej są niewspółmiernie mniejsze. Jednak nie tylko to, ale także różne drogi urzędowe w zakresie ich przydzielania, utrudniają realizację wspólnych projektów. Mianowicie środki na projekty po stronie polskiej mogą być przydzielone z funduszu o nazwie PHARE, a po stronie niemieckiej z funduszu INTERREG. Zapytany przeze mnie Jean Jacques Nuss z berlińskiego przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Niemczech stwierdził w tym kontekście:

„Nasz problem polega nam tym, że obecnie z powodu różnych dróg załatwiania spraw projekty są wprawdzie ponadgraniczne, lecz równocześnie realizowane są one bardziej obok siebie niż wspólnie. Tzn. istnieje pomysł, żeby coś przedsięwziąć, ale są trudności w jego urzeczywistnieniu. Powiem to na przykładzie drogi dla rowerów. Otóż np. po stronie niemieckiej projekt uzyskuje zgodę na realizację, jednak żeby projekt ten włączyć do programu Phare, co byłoby możliwe, trzeba iść innymi ścieżkami. To opóźnia tę sprawę i powoduje, że podczas kiedy po jednej stronie droga dla rowerów jest gotowa, to po drugiej stronie nawet jej nie zaczęto. A przecież nie o to tu chodzi. Chcemy przecież, żeby po obu stronach szło to równocześnie”.

Przykładem innego rodzaju trudności w kooperacji jest obawa przed wzajemną konkurencją w staraniach o stworzenie miejsc pracy w regionach o szczególnie dużym bezrobociu, jak np. na terenie polsko-niemiecko-czeskiego Euro-

regionu Nysa, w okręgu miast Löbau/Zittau, gdzie faktycznie sięga ono niemal 50%. Mimo obszarów zniszczenia ekologicznego wszyscy trzej partnerzy dysponują atrakcyjnymi terenami dla turystów, istnieje jednak związany z tym konflikt interesów.

Chodzi tu mianowicie o plany budowy drogi prowadzącej z terenu Niemiec przez polski obszar, (w rejonie zagłębia węgla brunatnego w okolicach Turoszowa) na terytorium Czech. Strona polska nie wyrażała zgody na jej budowę, chcąc raczej zachęcić turystów niemieckich do pozostania na terenie polskiej części Karkonoszy, szczególnie w okolicach Karpacza. Prowadzi to do prób tworzenia dwustronnych koalicji z pominięciem strony trzeciej. Istnienie tego rodzaju rywalizacji potwierdza bez ogródek sekretarz czeskiego zarządu Euroregionu Nysa, Jaroslav Zamecnik:

„Mamy wspólne Karkonosze i obydwie strony chcą profitować z turystyki i ruchu przyjezdnego. Konkurencja powoduje jednak stratę energii, którą raczej powinniśmy przeznaczyć na rozwiązanie innych problemów. Lepszym rozwiązaniem byłaby współpraca i przykładowo podział zysków z turystyki”.

Innego rodzaju trudności polegają na różnym stopniu swobody działania miejscowych władz polskich, niemieckich i czeskich, twierdzi zastępca przewodniczącego rady okręgu Löbau-Zittau Michael Schweinert:

„Różnice istnieją w tym, iż w sposób wyraźnie odczuwalny współpraca ze stroną czeską jest mniej skomplikowana, podczas gdy po stronie polskiej wydaje się przeważać biurokracja. Mówiąc tu 'strona polska' nie myślę o współpracy niemieckich i polskich burmistrzów, czy też wojewody z Jeleniej Góry i przewodniczącego rady landu Zittau, lecz mamy wrażenie, że odczuwalne hamowanie przychodzi z Warszawy. Ma to zapewne wiele przyczyn, dla nas jednak nie są one zrozumiałe. Istnieją gdzieś i przeszkadzają wojewodzie w jego działaniach na rzecz stworzenia tak nieskomplikowanej współpracy, jaką mamy ze stroną czeską”.

Fakt tego rodzaju utrudnień potwierdził także pod koniec ubiegłego roku były zastępca ministra ds. współpracy międzynarodowej i obecny ambasador RP w Niemczech Andrzej Byrt:

„Mamy różną strukturę władz po obu stronach granicy.

Landy niemieckie są jednostkami o innym zakresie swobody działania niż polskie województwa. Jeśli w przyszłości samodzielność regionalna po stronie polskiej wzrośnie, wzrośnie zapewne też i możliwość współpracy”.

Mimo opisanych trudności także „Euroregion Nysa” ma już na swym koncie niezaprzeczalne osiągnięcia, jak np. nowe przejścia graniczne, stworzenie wspólnego systemu wczesnego ostrzegania przed powodzią, rozbudowa skoordynowanego systemu połączeń drogowych, czy też, jak w przypadku miast Görlitz-Zgorzelec utworzenie miejskiego połączenia autobusowego. Planuje się też realizację rozbudowy systemu badania zanieczyszczenia powietrza w trójkącie polsko-niemiecko-czeskim.

Pożytywnym przykładem ponadgranicznej współpracy w zakresie ekologii i turystyki jest natomiast niemiecko-polski park narodowy (*Unteres Odertal*) jakkolwiek również jego stworzenie natrafiało na przeszkody po obu stronach Odry. Niektórzy przedstawiciele strony polskiej obawiali się korzyści głównie dla strony niemieckiej, argumentując, iż po stronie polskiej będą tylko tereny rezerwatu a po stronie niemieckiej baza turystyczna. Równocześnie po stronie niemieckiej ostro sprzeciw wyrażali zarówno rolnicy i rybacy, jak też przedstawiciele władz regionalnych i przemysłu. Pierwsi obawiali się jeszcze większego bezrobocia po zakazie intensywnego uprawiania ziemi i połowu ryb na tych terenach. Natomiast mieszkańcy i władze miasta Schwedt nie chciały się zgodzić na zaostrenie rygorów ekologicznych dla ich i tak ledwo już zipiących zakładów petrochemicznych i papierniczych.

Obecnie park narodowy obejmuje po stronie niemieckiej 9.500 a po stronie polskiej 10.000 hektarów i rozciąga się ogółem na obszarze 60 kilometrów połaci położonych wzdłuż dolnej części rzeki Odry od miejscowości Bielek w stronę Szczecina. W fazie końcowej ma on obejmować 33.000 hektarów. Do roku 2004 na rozwój parku Republika Federalna przeznaczy ogółem 40 milionów marek. Rozbudowana ma zostać baza turystyczno-hotelowa oraz sieć dróg rowerowych i dla turystów pieszych. W celu polepszenia możliwości kontaktów i obsługi turystów po obu stronach Odry, niemieccy pracownicy Parku Narodowego uczą się obecnie języka polskiego, a polscy niemieckiego. Zadanie

istotne biorąc pod uwagę fakt, że z 20.000 turystów rocznie, którzy już teraz zwiedzają te tereny, ich liczba ma się zwiększyć do 200.000.

Jedną z najważniejszych kwestii współpracy ponadgranicznej jest zwiększenie wykorzystania Odry do transportu towarowego i turystycznego, które swój szczyt miało przed wojną w latach 20. i 30. Stosunkowo dużo transportowano tą rzeką także po wojnie jeszcze do końca lat 70-tych, kiedy to po Odrze pływało 1,5 tys. barek, pchaczy i holowników. Obecnie jest ich tylko kilkaset. Liczne płycizny wywołane m.in. zmniejszeniem żeglugi, jak też zły stan techniczny śluz i jazów, uniemożliwia wzrost przewozu towarów, twierdzi prezes zarządu firmy ODRATRANS S.A. z Wrocławia dr inż. Michał Turek:

„Wozimy na Odrze w tej chwili około 5,5–6 milionów ton ładunków. Moglibyśmy wozić znacznie ponad 20 milionów ton. Tym limitującym odcinkiem jest odcinek poniżej Brzegu Dolnego do ujścia Nysy. I trzeba się skupić na tym odcinku a nie czekać tylko na okresy czy lata, kiedy dzięki zrządzeniu losu i sytuacji atmosferycznej istnieją możliwości transportowania ładunków ze Śląska do Europy Zachodniej czy też do Szczecina”.

Warunkiem lepszego wykorzystania Odry jest pogłębienie koryta rzeki. Trudna sytuacja finansowa po obu stronach uniemożliwia obecnie prowadzenie prac na większą skalę, twierdzi Antoni Kwapiszewski, przewodniczący zarządu Dyrekcji Okręgowej Gospodarki Wodnej ze Szczecina.

„Jeżeli chodzi o utrzymanie drogi wodnej, współpraca jest dobra. Oczywiście strona niemiecka zaangażowana w programy niemieckiej jedności czyli w projekt modernizacji drogi Odra–Hawela, na Odrę patrzy raczej z punktu widzenia utrzymania systemu obecnego, co zresztą jest zgodne z naszymi założeniami, z naszą koncepcją, bo uważam, że żadnej ze stron na obecnym etapie nie stać na wielkie nakłady inwestycyjne”.

Do lepszego wykorzystania Odry przyczynić się ma także kooperacja między portami niemieckimi i polskimi. Dyrektor Wydziału Infrastruktury Technicznej i Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze Antoni Klimek prowadzi w tym celu rozmowy z partnerami niemieckimi:

„Mamy przeciążone drogi, mamy przeciążone przejścia

graniczne, a przy tym nie wykorzystaną drogę, którą stanowi rzeka Odra. W związku z tym inicjatywa, żeby wspólnie rozpocząć działania pozwalające na współpracę portów zlokalizowanych na terenie województwa zielonogórskiego – a mamy tam cztery porty – z portami niemieckimi, jak np. Cigacie i Eisenhüttenstadt, wydaje mi się bardzo trafiona”.

Po regulacji koryta rzeki i remoncie śluz i jazów można będzie przewozić Odrą od 25 do 30 milionów ton towarów rocznie. Szacuje się, że po ożywieniu transportu przewozy tą drogą stanieją o 1/3. Korzystna w tym względzie może być kooperacja nie tylko z partnerami niemieckimi, ale także z innych państw zachodnich – sądzi doradca ministra przemysłu handlu Henryk Sienkiewicz:

„Barki państw zachodnich – holenderskie, niemieckie, belgijskie – zazwyczaj zawijają do portu w Nowej Soli. Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żeby armatorzy z Zachodu chcieli korzystać i z górnej Odry. Nie jest dla nas wcale rzeczą istotną, żeby tylko polskie barki wozily węgiel z Gliwic do Berlina. Zapraszamy armatorów niemieckich. Kolejną sprawą jest sprawa turystyki. Jeszcze kilkanaście lat temu turystyka wodna, biała flota, pływała i do Wrocławia, i do Opola, i do Kędzierzyna, i do Gliwic. Wydaje mi się, że te tereny są również atrakcyjne dla mieszkańców Europy Zachodniej. I powinniśmy się zastanowić, jak trasy wycieczkowe, trasy turystyczne wydłużyć w górę Odry”.

W planach władz regionów przygranicznych obszary wzdłuż Odry odgrywają coraz większą rolę jako tereny wypoczynkowo-rekreacyjne. Burmistrz miasta Schwedt Peter Schauer ma nadzieję, że polsko-niemiecka współpraca przyczyni się do ożywienia turystyki w tym regionie. Niedawne spotkanie z prezydentem Szczecina utwierdza go w tym przekonaniu:

„Prezydent zaproponował mi wspólne prowadzenie przewozów pasażerskich na zasadach akceptowalnych dla obu stron. W Schwedt jest jeden przewoźnik, w Szczecinie są przewozy na dużą skalę, i dlaczego nie robić tego wspólnie? Nasz przewoźnik w Schwedt, który posiada jeden statek i chce zamówić drugi, już obecnie wozi wycieczki do Szczecina. Czemu zatem statek ze Szczecina nie miałby pływać z turystami do Schwedt i odwiedzać park narodowy. To są rzeczy, które można szybko zrealizować już teraz bez większych problemów. Do tego nie potrzebne jest członkostwo w Unii Europejskiej”.

W ciągu pięciu ostatnich lat wzdłuż Odry powstały liczne powiązania gospodarcze. Polscy rzemieślnicy, sprzedawcy i mechanicy profitują np. z zakupów, różnego rodzaju usług i napraw dla sąsiadów z drugiej strony granicy. Jeden z takich warsztatów naprawczych znajduje się w polskiej części Zgorzelca. Wprawdzie nie prowadzi on drogiej kampanii reklamowej po stronie niemieckiej, to jednak jego adres jest tam coraz lepiej znany, twierdzi właściciel warsztatu, inżynier Zdzisław Rakoczy i wyjaśnia:

„Jestem w stanie obsłużyć praktycznie całe auto i te operacje, które na terenie Niemiec robi się kilka dni, czy tygodniami, my robimy w ciągu jednego dnia”.

Jedną z przyczyn niższych cen za usługi w polskich warsztatach są niższe koszty robocizny. Niższa jest też cena części zamiennych,

„Ponieważ system podatkowy w Polsce jest nieco inny, jeżeli hurtownik zarabia na danej części 30%, to on już ma interes w Polsce. Natomiast w Niemczech hurtownik się nie zadowala takimi procentami. I jest to luka, którą – trzeba przyznać – umiemy dosyć sprytnie wykorzystać”.

Z bliskości granicy korzystają też niemieckie sklepy i hurtownie, jak np. sklep z częściami samochodowymi w Görlitz, który prowadzi Dieter Espig:

„Ze strony klientów niemieckich brakuje mi praktycznie połowy i zastępują ją klienci polscy. Interesy z Polakami stanowią obecnie 25% całości obrotów”.

Otwartość granicy spowodowała powstanie „normalności” także w zakresie codziennych sprawunków, twierdzi mieszkanka Zgorzelca Alina Hartmańska:

„Wstyd powiedzieć, ale Zgorzelec nie posiada chemicznej pralni, która jest konieczna na czterdzieści tysięcy mieszkańców. Owszem była taka pralnia przy garnizonie WOP-u, ale została zlikwidowana i my tam chodzimy, nosimy tam rzeczy do prania. Jestem bardzo zadowolona. Przede wszystkim niedrogo. W ciągu trzech dni ja mam super oczyszczone rzeczy. Korzystam też z wielu innych usług. I to jest super dobrze. I to powinno być. Oni chcą mieć klientów, a my chcemy dla siebie mieć usługi”.

Niskie ceny usług po stronie polskiej wywołują niekiedy jednak protesty rzemieślników i handlowców niemieckich. Przykładem związanego z tym konfliktu lokalnego był

Frankfurt nad Odrą, gdzie pewna obrotna Polka żyjąca od 20 lat w Niemczech i posiadająca także paszport niemiecki otworzyła sklep z pieczywem przywożonym ze Słubic. Wywołało to oficjalne protesty piekarzy niemieckich. Pojawiły się też anonimowe ulotki i napisy na murach, w których nawoływano do bojkotu sklepu. W wyniku ustawicznej presji i choroby sprzedawczyni postanowiła zamknąć sklep. Po czteromiesięcznej rekonwalescencji zmieniła jednak decyzję i już pierwsze reakcje klientów niemieckich po powrocie upewniły ją w słuszności kroku:

„Klienci niemieccy byli szalenie zadowoleni. Dostałam mnóstwo kwiatów, życzeń, żeby sklep ładnie funkcjonował, kolejka była bardzo duża. Klienci się do tej pory utrzymali, utrzymują, przychodzą” – mówi Marta Bruns. Sklepem zaopiekowały się też miejscowe władze: „Codziennie przechodzi jeden z policjantów i pyta mnie, czy mam jakieś trudności i problemy, czy mi nikt nie przeszkadza. To samo jest na granicy w urzędzie celnym, gdzie w ubiegłym roku miałam troszeczkę trudny start. Ale w tej chwili, jak jest duża kolejka na granicy, w pierwszej kolejności mnie odprawiają”.

Obecnie wszystko wskazuje na to, że sytuacja się normalizuje. Jak dotąd nie odnotowano żadnych oficjalnych protestów piekarzy. Milczy także autor kilku nieprzyjaznych wypowiedzi pod adresem polskiej konkurencji, przewodniczący Izby Rzemieślniczej we Frankfurcie nad Odrą, Jürgen Watzlaw. Co więcej, nadspodziewanie duży popyt spowodował, że mała piekarnia w sąsiednich Słubicach nie była w stanie sprostać zamówieniom i pieczywo dowożone jest z Poznania. Z drugiej jednak strony obawa przed konkurencją dotyczy nie tylko niemieckich sklepikarzy i rzemieślników. Kiedy we Wrocławiu powstał niedawno duży supermarket założony przez obywatela RFN, na murach pojawiły się napisy w rodzaju: „Nie kupujcie u Niemca”. Marta Bruns sądzi, że:

„Nie jest w porządku dlatego, że ja odczułam to po stronie niemieckiej, gdzie tak samo miałam napisy, że polskie pieczywo, że szmuglowane itp. Uważam, że tak nie powinno być, bo skoro mamy być jedną Europą, skoro jesteśmy wszyscy Europejczykami, to jedna i druga strona powinna się neutralnie zachowywać”.

Stanowisko to podziela też pełnomocnik ds. współpracy międzynarodowej z Frankfurtu nad Odrą, Klaus Baldauf:

„Naturalnie dla pojedynczego rzemieślnika jest tragiczne, kiedy po drugiej stronie granicy konkurenci z jego branży produkują taniej. Sądzę jednak, że rzemieślnicy, którzy odczuwają szczególny nacisk ze strony konkurencji, muszą nastawić się na to już zawnazasu i – jeśli to możliwe – wypracować ze swymi polskimi kolegami wspólne koncepcje. Bowiem wszyscy chcemy rozszerzenia Unii Europejskiej. I najpóźniej wtedy trzeba będzie tak czy owak stawić czoła konkurencji. Dlatego dobrze jest nastawić się i praktycznie przygotować do tego procesu w sposób w miarę łagodny”.

Masowe zakupy po obu stronach granicy stały się taką oczywistością, że skłoniło to niemiecką organizację konsumentów *Verbraucher-Zentrale* do wydania specjalnego poradnika w języku polskim pt. „Zakupy w Niemczech. Wskazówki dla polskich konsumentów” oraz jego odpowiednika dla klientów niemieckich. Można się z niego m.in. dowiedzieć, jak wymienić wybrakowany towar, uzyskać zwrot części zapłaconej sumy czy wycofać umowę kupna.

Mimo dziesiątków milionów wizyt rocznie, wzajemna znajomość problematyki dnia codziennego Niemców i Polaków ciągle jeszcze pozostawia sporo do życzenia również wśród mieszkańców rejonów przygranicznych. Sytuację w tym względzie usiłują polepszyć gazety regionalne. Po niemieckiej stronie granicy jedną z najważniejszych jest *Märkische Oderzeitung* ukazująca się w nakładzie 180 tysięcy egzemplarzy. Posiada ona m.in. rubrykę ważnych wydarzeń po polskiej stronie granicy pt.: „Sąsiedztwo niemiecko-polskie”, którą prowadzi redaktor Dietrich Schröder. Zapytany o rezonans wśród czytelników na problematykę sąsiedztwa niemiecko-polskiego w jego gazecie, twierdzi:

„Tematyka ma duży rezonans, jakkolwiek nie zawsze dobry. Np. kiedy piszemy o tym, jakie zakupy Niemcy robią w Polsce, czasami ludzie narzekają, że robimy reklamę dla konkurentów. I nie zawsze jest łatwo np. fryzjerom albo ludziom, którzy mają stacje paliw. Ale ogólnie zainteresowanie jest duże. Są np. starsi ludzie, którzy kiedyś mieszkali w tych regionach, jak też młodzi ludzie, którzy byli kiedyś w Polsce i chcą lepiej poznać ten kraj”.

Jak na razie w programie wycieczek sąsiadów niemieckich do Polski rzadko jeszcze znajdują się muzea, galerie sztuki czy teatry. Stąd też ważną stroną gazety *Märkische Oderzeitung*

jest zamieszczanie informacji na temat możliwości w tym względzie. Także po stronie polskiej gazety regionalne informują o imprezach po stronie niemieckiej, ma miejsce współpraca redakcji prasowych jak też rozgłośni radiowych, np. między Polskim Radiem w Zielonej Górze i *Ostdeutscher Rundfunk Brandenburg* z główną siedzibą w Poczdamie.

Jak widać na przedstawionych przykładach, wszystko wskazuje na to, iż normalizacja stosunków polsko-niemieckich w pięć lat po podpisaniu Traktatu nabrała już praktycznych wymiarów codzienności. Budowane i planowane są nowe przejścia graniczne, połączenia drogowe i mosty, zrasta się infrastruktura. W bezpośrednich kontaktach poznają się sąsiedzi. I mimo występujących jeszcze niekiedy trudności, chwilowych zadrażnień czy irytacji jak też ogromnych różnic poziomów życia po obu stronach granicy, proces wzajemnego zbliżenia w regionach przygranicznych przebiega w sposób bardziej niż zadowalający.

„Myszę, że dojrzałość obu stron, polskiej i niemieckiej, będzie polegała na tym, że potrafią przejść ponad tym, co nie jest istotne, do tego, co ma długofalowy konkretny związek. A więc zaakceptowanie występujących dzisiaj różnic i różnic, które przez lata jeszcze, jeśli nie dziesiątki lat, między naszymi dwoma krajami i obywatelami będą występowały” – stwierdził zapytany przeze mnie o wizję dalszego rozwoju tej współpracy i zbliżenia polsko-niemieckiego ambasador Polski w Niemczech Andrzej Byrt i dodał: „One nie znikną z dnia na dzień. Musimy się nauczyć z nimi żyć, rozumieć je i – wyraźnie trzeba powiedzieć – akceptować”.

Andrzej STACH

P.S. Wywiady zamieszczone w tym artykule nie były autoryzowane.

Do recenzji z kwietniowego wydania magazynu *Dialog*, we fragmencie na temat kryteriów uznawania mniejszości narodowych w Niemczech zakradł się błąd: w polskim tłumaczeniu wypowiedzi ministra spraw wewnętrznych Kanthera, który nieopatrznie przejąłem w cytacie, nie sprawdzając oryginalnego tekstu niemieckiego, jest: „członkowie ich rodzin posiadają obywatelstwo niemieckie”; ma być: „ich członkowie posiadają obywatelstwo niemieckie”.

A.S.

Gorzki smak wolności

Fizyk, zatrudniony na lwowskim uniwersytecie, dr Andrzej Otko, zarabia równowartość 150 dolarów miesięcznie, więc dużo. Co z tego, jeśli grudniowe pobory wypłacano mu w marcu, w dwa miesiące później czekał na pięć zaległych pensji.

Rzeczywistość ukraińska 1996: sprzątaczką dostaje (jeżeli dostanie, bo płace docierają z kwartalnym opóźnieniem) milion osiemset tysięcy karbowanów miesięcznie. Starczy na dwa kilogramy kielbasy.

A jak się żyje przedszkolance? Na rękę 9 mln karbowanów (z czego na gaz – 4,5 mln, za przedszkole dla córek – 2.600 mln, reszta do przejedzenia). Kilogram ryb – 600 tys. karbowanów. Kilogram kurczaka – 500 tys. Kartofli – 90 tys. Cukru – 80. Chleba – 50 tys. Były urzędnik na kierowniczym stanowisku utrzymuje się za 5 (słownie: pięć) milionów, czyli stać go aż na 150 bochenków. Narzekać nie może, skoro sąsiadka – też emerytka – pobiera miesięcznie DWA miliony, za gaz i elektryczność ma zapłacić... trzy. Samotnemu dobrze, źle umiera, mówią ludzie. Poza dziećmi z przedszkola Luba Lewak wychowuje własne. W maju dowiedziała się, że jeśli w ogóle otrzyma jeszcze jakąś pensję, to najwcześniej w październiku. Nie na pewno. Przedszkola, które w Związku Sowieckim funkcjonowały bez przerwy wakacyjnej, zamknięto na lato. Na trzy letnie miesiące, posyłając personel na urlopy, rozumie się – bezpłatnie. Co najmniej kwartał do przeżycia bez wynagrodzenia – bo się nie pracuje, bez zasiłku – bo przecież się pracuje...

Za kilogram „rąbanki” czyli mięsa z kością – 450 tys.

Surowej polędwicy – 600 tys. Wędzonej – już dwa razy tyle, dokładnie 1200. Kiedy tu wrócę, ceny w „papierkach” przejdą do historii, zacznie się przygoda z hrywną, walutą wyczekiwaną – ujmijmy to w skrócie – przez Ukrainę, lecz nie przez Ukraińców. Polakom już przechodzi monogamiczna miłość do „zielonych” ale tutaj ufa się wyłącznie dolarowi. Przecież w wielu kasach brak nawet „papierków”! Jeśli zakład pracy produkuje pończochy – płaci pończochami. Jeśli cukier – cukrem. Tylko z kim i na co wymieniać te nylony, te słodycze, gdy cała okolica pracowała pod jednym adresem?

We Lwowie stanęła fabryka autobusów. Zamarł „Elektron”, zakład w którym zarabiano 25 tysięcy miejscowych i przyjezdnych, choćby z Mościsk blisko 3 tysiące. Kiedy im przestano płacić? „Ojoj, proszę pani, to już ze dwa lata – zali się nauczycielka Tetryczowa. – Mąż jak wypije sto gram, to płacze: ja taki młody mężczyzna i żebym co robić nie miał...”.

„Elektron” stoi, bo rozpad Związku Sowieckiego pozbawił go kooperantów. Czy uzależnienie ukraińskiej gospodarki – całej! – od innych republik było zamierzone? Chyba tak. Piszę „chyba” bo przy gigantycznym bałaganie, jakiemu równała się tzw. planowa gospodarka, z rezerwą podchodziłbym do każdego „na pewno”. W każdym razie – wyglądało to tak, że jeśli np. pudła do obudowy telewizorów produkował Lwów, to ekrany – Estonia, kineskopy – Łotwa. Monstrualny, a niezborny organizm państwowy zacinął się, dźwigał nadmierne i zbyteczne koszty, ale załóg to nie obchodziło, spokojnie szły do kasy po swoje nikłe, jednak gwarantowane należności. Było gdzie pracować. Było co jeść. Było co na grzbiet włożyć. Na upartego było nawet co oszczędzić. Za bramą martwego „Elektronu” 25 tysięcy ludzi zrozpaczonych, z umiarkowanego – w najgorszym razie – niedostatku straconych w jawną nędzę. Typowa sytuacja. Inaczej to wygląda w ocenach polityków, inaczej w odczuciu społeczeństwa. Kraj wygrzebie się z dołka, ale to kwestia jutra, a ludzie chcą jeść. Beczka prochu, ta młoda republika.

W Polsce (odpukać) nie ma tradycji krwawej łaźni: na Ukrainie, owszem, jest. Więc jeśli tutejsi mówią: „To nie może tak trwać. Tu krew popłynie” – mogą wiedzieć, co mówią.

Lewakowa czyta w moich myślach. „Pani się zastanawia jak to jest, że my jeszcze żyjemy”. Ano właśnie: jak to jest?

„Zjada się zapasy... Jak nie mam 10 kilo cukru, trzech paczek margaryny, to sama sobie jestem winna...”. Kręcę głową: „No dobrze, cukier poleży, ale kasza? Mąka? Jak długo? Robaki zjedzą”. Luba z pobłażliwością: „Nic się nie załęgnie. Nie zdąży. W tym tygodniu jedliśmy pierogi, rozumie pani? Dzień po dniu. Przez okrągły tydzień. A nadejdzie jesień, jabłka się zaczną... Jabłka mogą sporo czasu przetrwać. I widzi pani. Zima z głowy”.

To samo usłyszę i w Zbarażu, i w Gródku Podolskim. Że w domu muszą być zapasy, zawsze. Ludzie już nauczeni. Pamiętają: kto się nie zabezpieczył, nie przeżyje.

Lewakowa opowiada o swojej pracy. W przedszkolu 32 dzieci z nadczynnością tarczycy (po Czernobylu? Tak sądzi). Wspomina o dziewczynce ze zrujnowanymi nerkami i o dziecku w bliznach. Jak to: w bliznach? Dorzuca krótko i niechętnie, że to rezultat napromieniowania. Słabego, więc mała żyje.

Chciała tym dzieciom zorganizować dwa tygodnie pobytu na lepszym powietrzu, pod Truskawcem. Nie znalazła sponsora.

Zdawałoby się, że wyrazista polska obecność – to przedwojenne, a nie przedrozbiorowe kresy. Nic podobnego. Na zachodniej Ukrainie, czyli na obszarach utraconych przed pięćdziesięciu laty, pozostało nieporównanie mniej Polaków niż na tych, które nie są nasze od dwustu.

Duże, zwarte kolonie polskie – dopiero za Zbruczem. W samym Żytomierzu 80 tys. Polaków. W Gródku Podolskim spośród 12 tys. mieszkańców – większość polska. O dokładne rachunki trudno, zwłaszcza we wschodniej części kraju, gdzie ludzie powchodzili w mieszane małżeństwa, w skomplikowane rodzinne – i wyznaniowe – powiązania. Córka zwyczajowo „szła za matką”, natomiast syn za ojcem. Też nie zawsze. Jak u Piechowej ze Zbaraża: „Mąż Ukrainiec, ale jego ojciec był Polak...”. Jedno małżeństwo, dwie narodowości. Dwa wyznania. Mąż modlił się w cerkwi. Piechowa w kościele. Sąsiedzi nalegali „Warto tak? Czemuż wy się rozłączacie?” Dorzuciła: „My się w niebie złączymy, a tu się rozłączamy”.

Powikłane rodowody, specjalność domu, jak Ukraina długa i szeroka. Do polskości poczuwa się, a ściślej: potwierdza ją w paszporcie, jakieś 800 do 900 tys. obywateli

Ukrainy. Całej! Polacy w pierwszej dziesiątce, lecz nie w pierwszej trójce grup narodowościowych w republice.

Konglomerat narodów źle wroży ukraińskiemu wyciszeniu politycznemu, już lepiej – ukraińskiej kulturze. Co prawda ksiądz Franciszek z Podola nie skarży się na kłopoty narodowościowe, przeciwnie: zapewnia, że za Zbruczem problem nie istnieje. „Nacjonalizm – to nie tu, to Lwów, Iwanofrankowsk, Łuck... Na wschodniej Ukrainie zdecydowanie lepiej mamy. Tu Polak nie razi”.

Na zachodniej z pewnością tego nie usłyszę. Duża komplikacja, jak mówi ksiądz Franciszek. Polacy ustawieni na „nie” i do Rosjan, i do Ukraińców. Ukraińcy w większości niechętni jeśli nie wrodozy i jednym, i drugim... Pretensje iskrzą się przede wszystkim we Lwowie, przystani ekstremistów. Tu zgrupowały się organizacje wrogie i Moskwie, i Warszawie.

Znamienne, jak procesy, którym chętniej przypisujemy działanie niweczące, potrafią wyostrzyć świadomość narodową. Za przykład obronnych postaw w diasporze stawia się przede wszystkim Żydów, nasz jest może skromny, niemniej tu, na ziemiach od dwustu lat odciętych od polskiego źródła, mnóstwo ludzi nie odstąpiło, nie zrezygnowało. To są nadal polskie środowiska. I wciąż żywa polszczyzna. Jeśli jakieś pojęcie uległo zapomnieniu, konstruuje się zastępcze. Jeśli trzeba słów dawniej nie istniejących, tutejsi je tworzą. „Oni mówią wyśnionym językiem” zauważa Mariusz Olbromski, poeta i urzędnik. Temat sam w sobie. Może uda mi się wrócić, pobyć i posłuchać? Wyśniony język... Godne to podziwu tym bardziej, że ci ludzie nie mają u nas bliskich. Na Ukrainie otwarto zaledwie kilka szkół polskich, dopiero co – i tylko po zachodnim brzegu państwa, przy granicy, bo w Mościskach, Strzelczyskach. Lwów ma raptem dwie. Może to się zmieni, w końcu uniknęliśmy powtórki niezręczności (nie pierwszej) w stosunku do Litwy. Nasze upieranie się przy organizacji uniwersytetu – całego uniwersytetu polskiego w Wilnie, (równoznaczne z kompletną nieuwagą na dwa raczej istotne mankamenty projektu: antagonizując, drażniąc Litwinów, co zyskalibyśmy? Z nazwy wyższą uczelnię na poziomie średniej szkoły średniej?) – szczęśliwie nie powtórzyło się to we Lwowie, gdzie słychać tylko o katedrze polonistyki. Jeśli

strona ukraińska wyrazi zgodę, realizacja ma sens, i ma szansę, choć też do łatwych nie należy.

Polacy ukraińscy po części są zorganizowani i skłóceni.

Podług danych na rok 1996, Towarzystwo Kultury Ziemi Lwowskiej liczy 1.600 członków, 15 oddziałów, z czego aż 10 bez własnego kąta. Czytam w sprawozdaniach: „Siedziba” – pomieszczenie bez okien, dawny szkolny pokój projekcyjny (Mościska), „Przy zakładzie pracy” (Dobromil), „W szkole” (Drohobycz), „W domu Proswita” (Borysław). Przeważnie jednak „Nie mają siedziby. Działają przy Kościele”. Kościół z dużej litery. Nieodmiennie. Tutejsi modlitwą bronią się przed wynarodowieniem: tak było za rozbiorów, i później. Tu wiara i ojczyzna w nierozłącznej trwają parze. W pełnej zgodzie z powszechnym zamówieniem, duszpasterze kładą znak równania pomiędzy Bogiem a patriotyzmem. Człowiek wychodzi z tych nabożeństw ze ściśniętym gardłem, ale do Lwowa, do Kijowa wędrują stosowne raporty.

Tutejsi księża miewają wspaniałe życiorysy, jak Rafał Kiernicki, któremu przypisuje się uratowanie lwowskiej katedry („nie dał wypatroszyć” mówią wierni). O dziwo, nie wywieziono go, nawet znalazł pracę... Zamiatął ulice. W znakomitej działalności księdza Kiernickiego zasługuje na uwagę jego kapłańska pomoc dla unitów, źle widzianych „zdrajców prawosławia”. W Związku Sowieckim żadna religia nie była dobra, ale wśród złych wyróżniano jeszcze gorsze.

O bardzo nawet aktywnym duchowieństwie można mówić w Mościskach. W dekanacie pracuje aż dziesięciu księży, jest tu klasztor redemptorystów. Zakonnicy wrócili po długiej nieobecności, wywieziono ich – późno bo późno, w 48-mym i raczej nietypowo, zaledwie do Sambora, skąd dwu posłano na Sybir, a resztę zwolniono. Młodszych wiekiem duchownych reprezentuje ksiądz Józef Legowicz, brat lwowskiego dziennikarza. Urodzony w 1952 r., zatem 44-letni. Tutejszy. Piętnaście lat kapłaństwa. W Mościskach zdał maturę, we Lwowie skończył technikum kolejowe. Odслужиł swoje w Czerwonej Armii, przez pięć lat starał się o pozwolenie na naukę w seminarium duchownym. W tym czasie żył z pracy rąk, zarabiał jako tokarz, jako hydraulik... „Potem pracowałem strażakiem”. Uzyskawszy zgodę, wstąpił do seminarium w Rydze, bo choć bliższe miał na Litwie, to w kowieńskim

mógł się kształcić tylko litewski obywatel.

Piętnaście lat kapłaństwa. Dorobek życia: 103 wsie pod opieką. 17 kościołów otwartych po remoncie, albo po wybudowaniu. „O, w Polsce to ja dużo razy byłem. Ze dwiesięcie. Po dniu... po pół dnia...”.

W 1989 r. udzielił 112 ślubów, odprawił 80 pogrzebów. Teraz z tym o niebo lepiej, ale były czasy kiedy z okazji kościelnego święta do dziesięciu tysięcy ludzi przychodziło do spowiedzi, a księży w konfesjonatach trzech, jeśli nie dwu... I katechezę trzeba było poprowadzić, i na ukraińskie święta jeździło się wspierać grekokatolików. Tak to właśnie ujmuje, grekokatolików. Zgoda popsuła się od nominacji arcybiskupa Jaworskiego we Lwowie: „Pokazali rogi”.

W tych stronach religijność jest wyznaniem polskości, cichym, lecz jednoznacznym domaganiem się prawdziwej ojczyzny, co u nas chwyta za serce, ale i tłumaczy podejrzliwość ze strony Ukraińców czy Białorusinów, dla których takie demonstracje samopoczucia narodowego stanowią mocny, toteż przywoływany kiedy trzeba dowód, że utratę kresów widzimy jako stan przejściowy. Dolewa oliwy do ognia polityka personalna Watykanu. Dla tutejszych władz każdy kolejny ksiądz Polak najpierw będzie Polakiem, bardziej Polakiem niż księdzem.

A na co dzień – bieda. W Mościskach, zimą, sporo dzieci przychodzi do szkoły w sandałkach. Latem chodzą boso. Ukraińskie, polskie. Ksiądz Legowicz opowiada o matce dziewięciorga dzieci, z których ani jedno nie ma butów. A to młoda kobieta, nie jest powiedziane, że dzieci nie przybędzie – wtrącam. Z pewnością, nie jest – zgadza się ksiądz proboszcz. Cóż, różnimy się poglądem na antykoncepcję.

Od krajowej „Wspólnoty” przysły do Mościsk paczki dla nauczycieli z klas polskich. W rejonie jest ich 42, wśród nich 28 Ukraińców. Chociaż przesyłka była przeznaczona wyłącznie dla rodaków, Polacy z Mościsk uznali, że ukraińskich kolegów też należałoby obdzielić. „Biedni ludzie, jak my, i przecież uczą w polskich klasach”. Działacze ze Lwowa byli odmiennego zdania. Te nasze polskie niezgrabności...

Zbaraż prosił o książki, no to dostał... „Etos Solidarności”. Tylko ten jeden tytuł, ale w ilu egzemplarzach! Całą skrzynię „Etosu”. Z Lublina. – Proszę pani, jaki etos, tutaj...

– wzrusza ramionami ksiądz Grzegorz. – Po co żartować z ludzi.

Z darami są rozmaite kłopoty. „Solidarność” z Nowej Huty przysłała żywność, odzież i zabawki o wartości nie przekraczającej 960 dolarów. Ukraińcy zażądali 400 dolarów cła, informując, że banany i pomarańcze z przesyłki wymagają dziesięciodniowej kwarantanny. Po czym władowano owoce nie do chłodni, lecz do magazynu. Skąd poszły na śmietnik, bo zgniły. Reszta prezentów dotarła do dzieci dopiero po interwencji konsulatu.

Ostatnio koncentrujemy się na wspomaganium Bośni, która i bez nas ma patronów w zamożnej Europie. Nagłośniona, więc popularna, pomoc dla Polaków w Kazachstanie przesłoniła bliższe sytuacje. Ciężarówka z darami nie zatrzymują się w Mościskach, na które – z nadesłanych przez TKPZL pieniędzy (duże słowo!) „dla najbiedniejszych” – przypadło 10 mln karbowańców. Słownie: dziesięć. Prezeska oddziału nie odważyła się na samodzielną decyzję. Powołała komisję, i po długim wahaniu, po dużym namyśle rozdzielono pomiędzy dwadzieścia rodzin gotówkę, wystarczającą na kilogram mięsa, lub na chleb. Aż na 15 bochenków.

Mościska wkrótce będą miały drugi czynny kościół. Prace trwają. Skąd my to znamy...

Zauważalni są przede wszystkim Polacy zrzeszeni we Lwowie (robi swoje większa i cieplejsza uwaga Kraju na to wspiane miasto) choć tamtejsi nie czują się uprzywilejowani. „Na murach wam zależy, nie na ludziach. Kamieni żałujecie. Po nas nikt nie płacze”. Towarzystwa Kultury Polskiej działają również w Stanisławowie (dziś Iwanofrankowsk), Tarnopolu, Krzemieńcu, Drohobyczu. Nie zdążyłam dojechać do Sambora, żeby sprawdzić, co oznacza to sprawozdawcze „członków 600, obecnie około 200”. W Borysławiu 180, w Stryju – 140, w Żółkwi – 127, w Chodorowie – 120, w Złoczowie – 110, w Żydaczowie – 104, w Sądowej Wiszni – 102, w Dobromilu – 85, podobnie jak w Rawie Ruskiej. A jeszcze te blisko 70-osobowe skupiska w Sąsiadowicach przy Starym Samborze, w Truskawcu, w Szerzycu między Stryjem a Lwowem, gdzie urodził się generał Maczek. Rekord biją Mościska, z pododdziałami w sześciu wsiach, zrzeszającymi aż 660 rodaków. Funkcjonują również towarzystwa niezależne

od TKPZL, więc Drohobyckie Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe, więc Polskie Kulturalno-Oświatowe Towarzystwo w Tarnopolu i Towarzystwo Odrodzenia Kultury Polskiej im. Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu. Mówimy o zachodniej Ukrainie, ale i w Kijowie podobna sytuacja, aż pięć polskich organizacji, jedna wśród sfederowanych, dwie w Związku Polaków, a dwie – niezależne.

Polacy na Ukrainie są skłóceni, zgłaszają mnóstwo wzajemnych pretensji – nie powiem, że niesłusznych. Pracują w bardzo ciężkich warunkach, walą się na nich problemy, z którymi samodzielnie sobie nie poradzą, sytuacje do których nie są przygotowani, konflikty może i bagatelne – ale dopiero po naszej stronie granicy. Z opinii o działaczach i patronach: „Jedni żyją dla Lwowa, drudzy żyją ze Lwowa”. Albo „Polski Lwów? Jak tak dalej pójdzie to tylko mury zostaną. Młodzież odręczana, szkoda gadać. Nic się nie robi, nic. Pełny sztyl – jak na morzu. Żeby nie konsulatu to by wszystko dawno poszło w pierony” – orzeka Stanisław Durys, lwowianin. Na spotkaniu autorskim kpiący głos z sali „Opieka? No jakże! Senatorzy tu byli, zapisali pytania”.

Potrzeby nie sprowadzają się do chleba i butów. Jak na razie nawet w polskich szkołach młodzież uczy się z ukraińskich podręczników. Podobno wystarczyłoby dziesięć tysięcy dolarów, by wydrukować je w przekładzie polskim. Wszystko załatwione, tylko brak sponsora. Czy to też zostało zapisane?

„Sejmikiem niespełnionych nadziei” nazwał w *Gazecie Lwowskiej* II Sejmik Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie prezes TKPZL, Stanisław Czerkas. I rzeczywiście: 180 reprezentantów 40 polskich organizacji rozstawało się w umiarkowanej zgodzie. Główna pretensja: „Mieszkamy nie tylko we Lwowie”. I ten niepokojący *leitmotiv* w sądach „jedni żyją dla Lwowa, drudzy...”.

Oczekiwanych gości z Polski wyręczyły telegramy, powiadamiające z kurtuazją, albo i bez, że czyjaś obecność na Sejmiku nie będzie, niestety, możliwa. Od prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” prof. Stelmachowskiego: „Obowiązki związane z procedurą zatwierdzenia budżetu naszego Stowarzyszenia zatrzymują mnie, podobnie jak i innych członków Zarządu Krajowego, na miejscu, w Warszawie”. Od wiceprezesa tegoż zarządu: „Moje zawodowo-naukowe sprawy

nie pozwalają mi na wzięcie udziału”. Od konsula w Charkowie „aktualne obowiązki służbowe – remont pomieszczeń Konsulatu Generalnego RP w Charkowie nie pozwala mi w tym czasie na wyjazd poza Charków”.

Jak to ujął w swojej depeszy prezes Związku Polaków na Ukrainie, też oczywiście życząc owocnej pracy: „Robimy wspólną sprawę i niech Pan Bóg napawa nas mądrością w rozwiązywaniu niełatwych czasem zadań, które stawia przed nami życie”. Czy jednak nie za wiele scedowano tu na Pana Boga?

We Lwowie ciekawa rozmowa z Teresą Dutkiewicz, redaktorką biuletynu Federacji, której prezesem jest Emilia Chmielowa. Obydwie reprezentują nurt „przyszłościowy”. Towarzystwa raczej skupiają się na wczorajszosci, Federacja bardziej liczy się z dniem dzisiejszym. Trzeba się wyrwać z kredowego koła i rozmawiać nie tylko z Polakami. Zwłaszcza wśród młodych jest sporo Ukraińców sympatycznie usposobionych do zachodnich sąsiadów. To tragiczne, że wielokulturowy Lwów, miasto wspaniałych świadectw współistnienia, przerabia się na kocioł szowinizmu. Ale w tym samym Lwowie można znaleźć ludzi sensownych, gardzących fanatyzmem, otwartych na współpracę.

Bardzo dobre wrażenie zrobił na Polakach wystąpieniami w naszej telewizji prezydent Kuczma. Oczywiście, w polityce nie to ważne co się mówi, tylko to co się robi, w każdym razie pierwsze lody jakby przełamane. I gazety przypomniały sobie o sąsiadach. Z dnia na dzień, znienacka (czyli bardzo po polsku) zaczęliśmy dostrzegać Ukrainę. Może się w końcu dogadamy. Na to konto trzeba by wyjaśnić – bo warto – jak było z polskim, podobno z naszej winy zaniechanym udziałem w zamierzonej edycji 10-tomowej historii kościołów na Ukrainie. Dziesięć tomów, nie bagatela... Podobno padła propozycja, by dwa z dziesięciu opracowali Polacy. Dlaczego KUL wycofał się ze znaczącego przedsięwzięcia?

Tylko nieliczni działacze zauważają, że Polska przestaje się liczyć jako tradycyjny wzorzec kultury europejskiej, znaczący pośrednik między zachodem a wschodem kontynentu i że ktoś nas zastąpi, a nie każda nowa sytuacja jest do cofnięcia. I do odzłałowania.

Transfer nowych technologii, a nie starych dominacji, to

jest to, o co dzisiaj chodzi. Jak zauważył w trakcie wizyty prezydent Kuczma, wspólny interes może nas połączyć znacznie silniej niż podzieliła historia.

Pierwsi uznaliśmy niepodległość Ukrainy: mądry ruch na szachownicy, tylko gdzie ten następny? Pięć lat ukraińskiej państwowości minęło bez jakichkolwiek dalszych zauważalnych posunięć po obydwu stronach. Bez jakichkolwiek zmian o istotnym znaczeniu.

Zarzucają nam „moskwocentryczność”, patrzenie na Wschód (jeśli w ogóle tam patrzymy) z kompletną nieuwagą na taki drobiazg jak to, że od Rosji oddziela nas kraj większy od naszego. Jedyny poseł ukraiński w Polsce (u nich Polacy nie mają reprezentanta w parlamencie) zauważa u naszych polityków niepewność, czy Ukraina nie jest aby państwem sezonowym. Z kolei Ukraińcy podkreślają nieodpowiedzialną, wręcz nieokreśloną sytuację Polski i na Zachodzie, i w strefie byłych wpływów sowieckich. Podczas dyskusji telewizyjnej (wizyta prezydenta Kuczmy wreszcie zainteresowała media tematyką ukraińską: na krótko) lwowianin Edward Łozowyj skonstatował, *expressis verbis*, że w wypadku niebezpieczeństwa ze strony Rosji poparcie Polski nie jest brane pod uwagę. Cóż, wyrażona w 1995 r. roku opinia Zbigniewa Brzezińskiego, iż gdyby Polska musiała wybierać pomiędzy wejściem do NATO a niepodległością Ukrainy – w naszym interesie leżałoby to drugie, też daje do myślenia. U nas jakby nie dało.

Polska jawi się tutejszym jako druga Ameryka. Już mnie to nie śmieszy. Teteryczowa ma córkę na KUL-u. Trzeci rok polonistyki. Dają stypendium 2 mln 300 tys. złotych, to nie zje, bo się chce ubrać...”

Dwa miliony trzysta tysięcy złotych – z pewnością nie majątek, ale porównać tę kwotę z pięciuset tysiącami karbowanów, pobieranych przez stypendystów na Ukrainie... I żeby to: pobieranych! „Od czerwca 1995 nasi studenci nic nie dostali, nic” – słyszę w maju 1996.

Pół miliona „papierków”, piętnaście bochenków chleba. Lwów, szkoła polska. Trafiłam na egzamin konkursowy, od którego wyników zależy dopuszczenie maturzysty na naszą uczelnię. Dopada mnie nieznaną kobietą, całuje, rozpaczliwie płacze, błaga żebym się wstawiła, no, u kogoś, tutaj w

konsulacie, czy u siebie w Polsce, u kogokolwiek, kto by pomógł córce. Tłumaczę, że nie mogę pomóc, przytakuje, ale mi nie wierzy. Znowu płacze. Głośniej. Wszystko przyrzeknie, wszystko odda za szansę dla dziecka. Polska, kraj mlekiem i miodem płynący, oaza ładu, zamożności... A córka nie zdała, bo jej brakło słowa. Jednego? Jednego. Widać jakies trudne. „Przecież ona tu chowana, pani, cóż dziecko winne, że mu słów nie dostaje, z nami tak nie można...”. Już nie prosi, błaga. Tłumaczę, że żadne ciemne siły tutaj nie działały, w komisji Polacy, konsul przysłuchiwał się egzaminowi. Decyzja była zbiorowa, jednogłośnie, więc z kim i o co pertraktować? „A skąd mnie wiedzieć, pani, skąd mnie wiedzieć”...

Sołżenicyn, w swoim tylko z zamierzenia triumfalnym *tournée*, po powrocie spotkał się z nieprzychylnością Rosji, ale i na Ukrainie można lepiej zrozumieć mechanizm jego klęski. Co komu po wolności, jeśli w domu głodno.

Dociskam rozmówców, tak zwanych szarych ludzi: nie lepiej żyć swobodnie? Chwila zastanowienia i wymowne rozłożenie rąk. Rozumiem, że nie lepiej.

Wolność, dajmy na to – słowa? A kogo to obchodzi w Mościskach, gdzie bez pracy zostali żywiciela rodzin, co po niej w Zbarazach, Gródkach? Otworzyły się bramy monstrualnego łagru. Wypuszczeni z więzień nie mają dokąd iść.

Chorują. I coraz trudniej o podleczenie. Coraz większe pieniądze bierze personel bezpłatnej (jeszcze) służby zdrowia.

Liryka wspominkowa: za rosyjskich czasów litr mleka kosztował 20 kopiejek, teraz – pięćdziesiąt tysięcy karbowańców... Na mieszkanie czekało się przez kilkanaście lat, ale dzięki kredytom, pożyczkom łatwo umarzanym przez zakłady pracy, można sobie było na nie pozwolić. Czynszu nie podnoszono, latami. Szpitale – niedoinwestowane, przeładowane chorymi – były. Szkoły, przedszkola – były. Rozbudowany system świadczeń wypoczynkowych – był.

Niebezpieczne są te odniesienia do wczorajszego dnia. Ale słodkogorzkie, buninowskie, nostalgiczne „niegdyś” to nie w tym temacie – jakby powiedział Wałęsa. Nic rozśmieszającego we wspominkach, że przecież – źle nie było. Rezultat wyborów na Ukrainie – gdy przyjdzie do wyborów – będzie jednak zależny od wspomnienia „przedtem ja mogła jeden

dzień nie dostać pensji i to był krzyk...”.
 Źle nie było. Osoba, której mąż przemęczył lata w łagrach, wpiera we mnie: „Kupowaliśmy. Żyliśmy. Było wszystko”. Inni przytakują. W ich sytuacji pamięć nawet o sowieckich czasach sielanką trąci. Ileż to można było kupić... zaoszczędzić... Ówczesne nędzne sklepy jawią się jako składy wspaniałości. Na kąśliwą uwagę, że o papier toaletowy to jednak w rajy było raczej trudno, riposta: dzisiaj i tak zbyt cenny, nie ma po czym użyć. Jednym słowem, lepiej było w Związku Sowieckim? A że bym wiedziała. Dużo lepiej.

O tak, inne są racje dysydenta, inne – prostego człowieka. Niewiara w zmianę, przygnębienie, apatia społeczna, to jest to, co jeszcze przeciwdziała ruchawkom. Ukraina nie podnosi głowy, bo ludzie nie widzą celu. Nie buntują się, gdyż nie wierzą by mogło to coś zmienić. Na razie nie wierzą.

Tylko od czasu do czasu to spokojne, beznamietne „Krew się poleje. Prędzej czy później”.

Żadna tam euforia, konstatacja.

Idę na spacer po Lwowie. Sporo imprez, chociaż nie dla wszystkich. Bilet do kina – 20 tys. karbowańców. Na koncert – od trzystu tysięcy do miliona. Jak ci młodzi sobie radzą? A jednak ulice są wesołe, wieczorami tłumy na *ex-Akademickiej*. Pogodna masa źle ubranych ludzi. Lwów – uliczny, Lwów – nie jest smutny. Jest niechlujny, zordynarniał od złych tynków, ale smutny nie jest. To tylko takie nasze nostalgiczne *wishfulthinking*. Dla tych obecnych swoich Lwów jak każdy Charków czy Żytomierz, obleci.

Przyjechałam do plebejskiego miasta. Dawna Akademicka trąci niedzielną wsią. Przy święcie ludzie – i nie tylko młodzi – przechadzają się, całymi rodzinami przesiadują na ławkach, w słoneczny dzionek pod niezmogoną zielenią bulwarów, cieszą się nieświeżym powietrzem, oszczędnie żują pestki słonecznika, rzadziej hamburgery. Jest w tym coś z nastroju wiejskiej ulicy z jej rozleniwieniem, hałasem, muzyką. Starzy na przyzbach, kawalerka przy opłotkach: święto. Na *ex-Akademickiej* często odzywa się harmonia. Nowy Lwów celebrytuje niedzielę, parzy się w słońcu jak w łaźni, wdycha gruby kurz. Tego tu nie brakuje, aż zgrzyta w zębach. A przecież Lwów – w porównaniu z wieloma miastami po tej do wczoraj sowieckiej stronie świata – nie jest wyjątkowo

zaniedbany, nawet zauważa się pewną dbałość o śródmięście, mizerną, bo mizerną. Licznym domom zagraża wyburzenie, mogą runąć w każdej chwili, ale i tak nie ma porównania z katastrofalną, a dokładną rujnącają wszystkiego, co pałacowe, kościelne, więc po prostu: polskie na prowincjonalnej zachodniej Ukrainie.

Zatem Lwów nie jest smutny. Jest chłopski. Mój Boże, to akurat najmniej pasowało do Lwowa.

Zostałam ostrzeżona, by po zapadnięciu zmroku nie szwendać się po mieście. Milicja od dwóch miesięcy nie dostaje pensji. Tym wszystkiego bym nie usprawiedliwiła: amerykańska dostaje, a turystom na Times Square w biały dzień wydziera się portfele. No, ale na lwowskim dworcu kolejowym poczułam się jak na głębokim Bronxie. Tłumek niby to nie reagujący, senny, a spojrzenia aż pieką. Wszyscy tu wyglądają na podróżujących od tygodni, koczują tabunami, popatrują spode łba, taksują, znów drzemią wśród swoich tobołów. Czasem – nie za często – wrzask, szamanina, bolesny płacz na dowód, że czyjś tłumoczek jeśli pojedzie do Polski, to innym pociągiem. Zaciskam ręce na torebce choć wątpię, czy by to pomogło. Bez kłopotu włączam się do rozmów. Nadia spod Borysławia ratuje się pracą w Polsce. Przyjeżdża na miesiące, zostawiając w domu dzieci. Chłopak ma 15 lat, córka o rok starsza. Radzą sobie, bo co mają robić. Dziewczyna już po szkole, nie pracuje, niby gdzie. Szkoły na razie nie zamknięto, chłopak jeszcze się uczy, a co później? Nic – odpowiada matka. Podsuwam: pójdzie na studia... albo jednak do pracy... Nadia zaprzecza ze spokojem, z całą naturalnością, jaką daje długotrwałe i nieodwracalne nieszczęście: nigdzie nie pójdzie. Nie będzie nauki, nie będzie posady. Tylko co – pytam trochę niespokojnie. Nie odpowiada.

Anna STROŃSKA

Wiersze

STAŃCZYKÓWNA

DIALEKTYKA I SZTUKA*

Ważą się losy twego dorobku artysto
Jeżeli powiesz Tak
natychmiast zyska na wadze
Jeżeli powiesz Nie
od razu straci

Jeżeli powiesz Tak
nareszcie staniesz się
lepszy od gorszych
bo gorsi będą ci
co powiedzieli Nie

Jeżeli powiesz Tak
docenią cię referenci
w imieniu szerokich mas
Jeżeli powiesz Nie
malowałeś dla snobów
pisałeś dla cmokierów
komponowałeś dla podobnych sobie
robiłeś filmy pod gust
prozachodni

Jeżeli powiesz Tak
wydawca nie odważy się
powiedzieć Nie

* Wiersz Wisławy Szymborskiej przysłany nielegalnie, zamieszczony w *Kulturze* nr 5/452 (maj 1985 r.)

Jeżeli powiesz Nie
czyżbyś nie słyszał
że są trudności z papierem
drukarnią kolportażem
przędzą i paliwem
siłą roboczą i produkcją mięsną
żarówkami Reaganem paszą i klimatem

Jeżeli powiesz Nie
już od wczesnej młodości
szedłeś drogą krętą
Jeżeli powiesz Tak
twoja droga do prawdy
nie mogła być prosta

Jeżeli powiesz Nie
sam z własnej woli
skreśliś swoje nazwisko
a cenzor w tym przypadku
wyrczy cię tylko
Jeżeli powiesz Tak
zaznasz wolności
uświadamiając sobie konieczność
cenzury

Jeżeli powiesz Nie
odbierzesz sobie głos
w sprawie przyszłości
Jeżeli powiesz Tak
będziesz miał możność
powtarzać to słowo
jutro pojutrze zawsze
na każde nowe żądanie
tym sposobem
zachowując sobie
prawo głosu

STAŃCZYKÓWNA

Archiwum polityczne

Polska w marszu do Europy

Dla obserwatora z zewnątrz Polska 1996 nie jest krajem łatwej formuły. W odróżnieniu od półwiecza socjalizmu, z jego uzurpacją społeczno-gospodarczej harmonii i stabilnym bezprawiem, a także inaczej niż u początków III Rzeczypospolitej – kiedy powszechne aspiracje kierowały się ku łatwo opisanemu porządkowi – dzisiaj szczegóły polskich realiów odmawiają ułożenia się w obraz wyraźnych konturów, albo oczywistych perspektyw.

Handel

Z podróży po Polsce pozostają w pamięci przede wszystkim kramy: pod Bramą Floriańską handlarze, żebracy i seks, bryła gdańskiej Oliwii pokryta reklamami, przy drogach sklepiki i kioski gęstniejące w emblematycznych centrach sprzedaży, pomiędzy którymi kolosalne bazy pod Łodzią i na stadionie dziesięciolecia w Warszawie wskazują na zakres ludowego kapitalizmu w jego niedoinwestowanej, za to nieskończenie elastycznej, ruchliwej fazie. Handel rozwinął się u nas najszybciej i nadal uchodzi za główne źródło powodzenia, także w dostawie towarów importowanych oraz obsłudze przygranicznej i krajowej dystrybucji.

Tymczasem sześć lat po otwarciu interesu wiele spośród sześciuset tysięcy prywatnych sklepów zagrożonych jest konkurencją zagranicznych supermarketów, które tym chętniej instalują się w Europie Środkowej, że ich rozwój na rodnym terenie zaczyna napotykać na sprzeciw władz,

niechętnym okiem patrzących na upadek tradycyjnej sieci lokalnego handlu. Jak dotąd, supermarkety uchodzą u nas za miejsca dostępne ludziom zamożnym – inaczej niż na rozwiniętym rynku, gdzie ciągną one w dół cały mechanizm cen, podtrzymując siłę nabywczą konsumentów, ale i wykańczając małe sklepy. Proces taki powinien powtórzyć się i u nas, jeśli specjalna sytuacja handlu ukierunkowanego na wąskie kręgi zamożnego nabywcy ustąpi u nas rynkowi masowego nabywcy, zachęcanego agresywną wojną cen. W tej sprawie pouczające będzie prześledzenie interesu, na jaki może liczyć kapitał w polskim handlu.

Wschodnioeuropejski interes

Od upadku komunizmu do roku 1995 udało się przedstawić polski handel zagraniczny na kierunek zachodni, a zarazem podwoić jego wartość w cenach stałych. Interes wschodnioeuropejskiego handlu wiąże się z silnym zapotrzebowaniem na towary importowane, przywiezione z zagranicy lub montowane na miejscu. W Warszawie, Pradze czy Kijowie mogą one być droższe niż w Paryżu, choć niemal zawsze wyróżniają się monotonią asortymentu. Szukanie zysku w nadzwyczaj wysokich cenach wskazuje jak dotąd na uboczne znaczenie polskiego kierunku w strategii kapitału, który zwykle rozgląda się za objętością operacji handlowych, z rekompensatą niskiego zysku jednostkowego w wielkości obrotu.

Przy kilkakrotnie u nas niższych zarobkach wybrane towary mogą mieć horrendalne ceny, co ogranicza potencjalne możliwości importu. Skupiając się na zmodernizowanych sektorach wytwarzania i spożycia gospodarka utrwała ogólny cykl regresji, ponieważ drogi import z przeznaczeniem dla elit finansowany jest przez ubogą większość, której niskie zarobki umożliwiają stosowanie dumpingowych cen w eksporcie. Zarabiając mało pracownicy niewiele też angażują się w wykonywaną pracę, nierzadko zmuszeni do szukania kilku źródeł zarobków naraz, co ogranicza ich wydajność. To zaś sprzężeniem zwrotnym obniża zainteresowanie kapitału, tłumiąc wzrost handlu, co może sprzyjać zamknięciu wspom-

nianego cyklu regresji gospodarki. Tendencję taką można już dostrzec w stosunku do szybko rozwijających się regionów Azji i Ameryki, a także w niektórych sektorach – budownictwo, infrastruktura czy spożycie wysokowartościowej żywności – w odniesieniu do krajowych wskaźników z czasów Polski Ludowej.

Elitarny charakter handlu i punktowe inwestycje zagraniczne są nieuchronnym następstwem liberalnego otwarcia się ubogiego kraju, jakim jest Polska, na zachodni rynek. Ogólny bilans sytuacji mógłby ulec pewnemu wyrównaniu, gdyby Polska ze swej strony szukała rekompensaty w kierunku wschodnim, gdzie społeczeństwa są jeszcze uboższe. Umożliwia to drenaż zysków w ten sam sposób, jak ma to miejsce u nas z drogim importem i dumpingowymi cenami eksportu. Do pewnego stopnia już się to dzieje, zarówno w ulicznym handlu, gdzie można za bezcen kupić efekty rosyjskiej i ukraińskiej pracy, jak i w eksporcie na Wschód.

By jednak tego rodzaju transfer osiągnął znaczące rozmiary, stopniowo prowadząc od wyzysku do obustronnie korzystnej wymiany, potrzeba wyraźnie określonej polityki wschodniej, której celem byłby rozwój gospodarczych uzupełnień, inspirujących wszystkie zainteresowane strony do wysiłku w dziedzinie asortymentu i jakości. Resentymentom polskim towarzyszą tu jednak wszystkie czynniki izolacji i chaosu w gospodarce i polityce naszych wschodnich sąsiadów, co niweczy szanse na wielki proces emancypacji regionu. Kraje postkomunistyczne, nadal pozostając na marginesie międzynarodowej wymiany, przegrywają pierwszy etap wojny handlowej, płacąc za pół wieku zacofania i kompleksów. Przyjęły one zasady bogatego rynku, nie mając temu rynkowi wiele do zaoferowania, a zarazem ignorują potencjał wymiany wzajemnej, która mogłaby ożywić ich pracę na wielką skalę. Ugrzęźnięcie partnerów byłego obozu we wzajemnych antypatiach może przyczynić się do zastąpienia żelaznej kurtyny przepaścią ekonomiczną, z gospodarką wschodnioeuropejską po części nawet zgraną z rynkiem zachodnim, lecz w niewielkim stopniu zaangażowaną w globalnym handlu.

Sprawa naszego handlu wschodniego posiada kapitalny aspekt strategiczny. Nikt rozsądny nie będzie oczywiście kwestionował integracji z Zachodem, z tym że – jak we

wszystkich przedsięwzięciach wolnego kraju – wiele zależy od sposobu jego przeprowadzenia, a w szczególności od zharmonizowania go z resztą imperatywów narodowej racji stanu. Trudno ignorować szkodliwość izolowania naszych wschodnich sąsiadów i antagonizowania Rosji, zarówno dla bezpieczeństwa narodowego, jak i skuteczności gospodarczej na długą metę. Dialektyka polskiej tożsamości międzynarodowej jest jasna: w zachodnich strukturach kraj nasz nie jest oczekiwany jako wróg Rosji i strażnik kordonu sanitarnego w stosunku do Ukrainy i Białorusi, lecz jako czynny aktor europejskiego bezpieczeństwa a wszystko, co pozwoli rozsądnie ułożyć sprawę ze Wschodem poprawi polskie stosunki z Zachodem.

Produkcja

O ile handel przyciąga uwagę w analizach dynamiki gospodarczej, to mniej mówi się u nas o wytwarzaniu, nie tylko wobec obezwładniającego ciężaru inwestycji, gdzie kapitał wykazuje kłopotliwą powściągliwość, ale i w zgodzie z refleksem restrukturyzacyjnym rozwiniętego rynku, który przenosi wytwarzanie na tereny bardzo taniej i zdyscyplinowanej pracy w Azji i – w mniejszym stopniu – Ameryki Łacińskiej, a w Europie do Wielkiej Brytanii i Portugalii, raczej niż do Europy Wschodniej. W tych warunkach sektorem uprzywilejowanym na Zachodzie stają się usługi, co zachęca do tego samego i u nas, na razie w sferze środków przekazu, turystyki i oprogramowania informatycznego. Tymczasem wytwarzanie ma u nas dużą przyszłość wobec kolosalnych potrzeb infrastruktury, modernizacji przemysłu i wzrostu spożycia, czego sam import nie załatwi. Niepokojącym sygnałem jest tu wzrost importu ze strony firm już zainstalowanych w Polsce, które, nastawione na przyszłą sprzedaż w Polsce, na razie wolą się zaopatrywać na Zachodzie, utrwalając deficyt handlu zagranicznego.

Samą strukturą tych inwestycji lekko poprawiła się w ostatnich dwóch latach. Po napływie kapitału w dziedzinie przetwórstwa, montażu i dystrybucji – samochody, papierosy, żywność, supermarkety – pojawia się on i w produkcji

ciężkiej, jak stal, energia, ropa naftowa, cement, papier, szkło, wreszcie w najbliższej przyszłości autostrady. Pewne ożywienie wykazuje wytwórczość w telekomunikacji.

Z dziesięciopunktowym wzrostem wytwarzania w skali rocznej produkcja krajowa przekroczyła w połowie lat dziewięćdziesiątych poziom z ostatniego roku przed zmianą ustroju. To dobra wiadomość, lecz z pewnością kiepska podstawa do narodowej pychy: wśród krajów rozwijających się nasz siedmiopunktowy w 1995 roku wzrost produktu krajowego brutto przekroczyli tacy niedawni outsiderzy jak Wietnam (9% wzrostu), Turcja (8%) czy Słowacja (7,5%), przy czym inflacja u naszych południowych sąsiadów jest przeszło dwukrotnie mniejsza. Warto tu zwrócić uwagę na specyfikę Słowacji, o silnej roli państwa i wyraźnej preferencji dla kapitału krajowego.

Z pewnością troskę budzić musi stan budownictwa, dróg i rolnictwa. Bez zdecydowanej woli politycznej sytuacja może tu zmierzać ku narodowej katastrofie hamując cały proces rozwojowy gospodarki, zwłaszcza że koniunkturalna rola eksportu w bilansie polskiego rozwoju nie daje dziś podstaw do optymizmu.

Spoleczeństwo

W wielkich miastach i na zachodnich rubieżach kraju ludzie deklarują poprawę swej sytuacji. Jest ona jednak bardzo zróżnicowana nawet w jednym regionie, na przykład ruchliwe ulice Zgorzelca silnie kontrastują z widocznym zastojem Dusznik. Ogólnej opinii ubóstwa na prowincji, z pewnością prawdziwej, zaprzeczają liczne tam przykłady porządku i pewnej zasobności, na przykład w Lanckoronie, Limanowej, Starym Sączu czy Ciężkowicach, wszystko to miasta z południowej Polski. Listy poszukujących pracę są długie, lecz nierzadko spotkać można bezrobotnego na zasiłku, który przede wszystkim chce uniknąć przydziału pracy, bo pracuje na czarno w warsztacie, albo przewozi towary przez granicę. Poza tym na wsiach nadal wiele budują, a w Gorcach i na Podhalu skarżono mi się, że trudno o pracownika.

Poprawiła się dyscyplina pracy; w zaprzyjaźnionym

zakładzie nie piją już od lat, wyraźnie widać czystość, a zadowolony majster mówi, że robotnik wykona polecenie posprzątania podłogi. W urzędach i sklepach obsługa na ogół grzeczna, choć można spotkać sprzedawczynie, które odzyskały postać obrażonych panienek, albo robotników drogowych siedzących w zamyśleniu wokół dziury w szosie.

Pomiędzy tym plebejstwem centymetr nad ziemią podfruwają byznesmeni w szczelnych garniturach, które na jesieni znikną pod płaszczami o połach do samej ziemi, niczym królewskie gronostaje. Ostentacja: wystawność siedzib wznoszonych poza zatłoczonym, znieruchomiałym w urbanistycznym chaosie miastem, agresywna jazda szybkimi wozami po straszliwych, niebezpiecznych drogach, krzykliwość reklam wbitych w pięćsetletnie mury. Chęć „pokazania”, promująca ideologiczną raczej niż rzeczową stroną układów, wydaje się silnym motywem nowych stosunków społecznych w najróżniejszych dziedzinach: „w odpowiedzi na powszechną znieczulicę traktujemy swe psy jak przyjaciół” – mówią aktorzy krakowskiego teatru Bagatela dziennikarzowi tygodnika *Wprost*.

Podziały: kipiąca energia młodych, czasem bardzo młodych ludzi z reflekssem pośpiechu i głodem powodzenia w oczach, przekonanych, że porządek handlowy jest dla nich. Rezygnacja starszych, niepewnych swego miejsca i niepewnych z czego będą żyli na starość.

Zanik instynktu wspólnotowego, izolacja, zagrożenie: domofony w bramach, karty magnetyczne przy wejściu do prywatnej szkoły, która dla wyjaśnienia nosić będzie nazwę szkoły społecznej, puste kina i teatry, puste salony, puste kawiarnie, puste trybuny piłki nożnej. Regułę zdają się potwierdzać inicjatywy społeczne, ciągle te same nazwiska liderów akcji charytatywnych, zespołów resocjalizacji, inicjatyw i grup kulturalnych; kultura i ruch stowarzyszeń nie wybuchnęły po opadnięciu arkanów politycznych, nie przeniknęły na osiedla, poza centrum miast, gdzie oznaką nowych czasów pozostaje gęsta sieć zuniformizowanych sklepów spożywczych z żywnością według zachodnich standardów, lecz o bardzo ograniczonej ofercie. Ludzie ubierają się nieźle, lecz jedzą gorzej, niż kiedykolwiek: spada spożycie mięsa, owoców i jarzyn, zdumiewająco mało piją mleka i jedzą

serów; w Paryżu można dość trafnie rozpoznać Polaków, w tym dzieci, po ziemistej cerze i zepsutych zębach.

Rosną zakupy sprzętu elektronicznego, samochodów, coraz częściej poprzez kredyt bankowy. Nie dysponujemy nowymi statystykami spożycia, dane za 1993 mówiły o dwupunktowym wzroście w stosunku do dziesięcioprocentowego skoku wydajności. Niewielki wzrost zarobków w walucie zachodniej opierać się może przede wszystkim na pełzającym ruchu parytetów. Obserwacja cen sklepowych pokazuje, że w zasadzie nie istnieje konkurencyjna walka cen, pomimo dużej ilości sklepów; na rynku brak antyinflacyjnego mechanizmu podaży.

Widać dużo ludzi dobrze sytuowanych, lecz trudno oprzeć się wrażeniu, że niektórych dręczy niepokój i niepewność wobec zagrożeń, z jakimi trudno się pogodzić po łatwym starciu parę lat temu. Pomiędzy frustratami snują się postacie niefortunnych polityków z pokolenia gierkowskiej opozycji i dawnej Solidarności, w zdumieniu kontemplujących nadchodzącą starość, która bynajmniej nie przybliży ich czasu. Widać również artystów nadal zabiegających o występy w emigracyjnych świetlicach, a także twórców i uczonych, którzy jeszcze mogą podpisać apel o finansowanie kultury, lecz w gruncie rzeczy pogodzili się z własną nieprzydatnością na rynku, bo przecież myśl, której nikt nie kupi, jest to niedobra myśl. Zresztą rynek daje spore możliwości, rynek swojski, gdzie problemem może być nie tyle znalezienie własnej „niszy”, to jest niezaspokojonych potrzeb w grupie wypłacalnych klientów, lecz odnalezienie znajomego, który nam da zarobić.

Rola prasy

Latem tego roku, znajdując dużo materiałów o Redaktorze, odniosłem wrażenie, że *Kultura*, obok Czczeńców i orientacji zjednoczeniowych to jedyne formuły narodowej zgody. Trudno jednak dać głowę, jest to oznaką poinformowania, o co chodzi w tej *Kulturze*, z tymi Czczeńcami albo wejściu w struktury Zachodu. Kult Giedroycia i wyrozumiałe potraktowanie *Kultury* partyjną etykietką, redukcja czczeń-

skiej tragedii do manichejskiego motywu walki Dobra ze Złem, albo zamykanie problematyki integracji w obrazie historycznego piruetu, w którym podpisanie jakiegoś dokumentu wystarczyć ma za akt wszechstronnej emancypacji, rysują ten sam motyw koncepcyjnej niezaradności, ideologiczną raczej, niż rzeczową reakcją na sygnały z nagle skomplikowanego świata.

Tymczasem spokojny dystans zawsze pomaga przetrwać trudne chwile. Wyspy zamożności, podziały, wzrost zagrożeń, pomieszanie pojęć, wszystko to są rzeczy normalne, naturalnie towarzyszące głębokim procesom dostosowania się do rynku w stanie tektonicznych wstrząsów. Będzie to jednak przedsięwzięcie obfitujące w pułapki tam, gdzie komunizm wszczepił społeczeństwu optymizm wstępującej trajektorii rozwoju; następstwem są trudności w zrozumieniu, że nie można przejść do nowego ustroju nie tracąc korzyści ze starego.

W tych warunkach wielkie znaczenie ma gotowość środków przekazu do odtworzenia pewnej spójności w sferze pojęć tworzącego się rynku, co sprzyjałoby celowej ruchliwości narodu w obu niepokojących go obszarach: otaczającej go rzeczywistości i trudnych lat przyszłego wieku. Zwłaszcza, gdy po kilku latach wytężonego marszu do zdrowej złotówki i indywidualnej zaradności, wszystko rozprysnęło się w tysiące szczegółów, nad którymi unosi się obojętność narodu.

Do szczegółów tych trudno o klucz, ponieważ wiele słów wypranych ze znaczenia, źle przyswojonych albo przekłamanych. Tym sposobem od razu na wjeździe do kraju znalazłem w *GW* obszernie halucynacje kapitalisty opowiadającego o swej moralnej czystości, natomiast w tygodniku *Wprost* – duży tekst o pedofilii, który pomija aspekty moralne, zdrowotne i społeczne, za to opisuje co, gdzie i za ile. Tematy, które po latach cenzury wywołują silne zainteresowanie, opracowywane bywają powierzchownie, bo służyć muszą przede wszystkim jako sensacja, zaskakująca ciekawostka; szczególnie nadają się tu nowiny z rozwiniętego rynku. Doświadczamy zatem, że „w gospodarstwach rolnych na Zachodzie krowy słuchają muzyki Bacha”, co zdumiałoby rolników zachodnich, lecz miejmy nadzieję, że nie zwiedzie naszych. Że „dzięki *karaoké* ludzie przestają być biernymi odbiorcami muzyki”, gdzie jednak należałoby dodać, że stają się

kabotynami. Że „standard GSM (telefonów przenośnych) wyznacza nową jakość w sposobach komunikowania się ludzi”, chociaż postępowi technologii towarzyszy zjawisko w gruncie rzeczy dokładnie przeciwnie, niż poprawa jakości komunikowania się. Że „na początku przyszłego stulecia radio, telewizja i sieci komputerowe będą działać jako jeden zintegrowany system multimedialny”, przy czym zapomniano poinformować, że użytkownicy tego „systemu” połykać będą sznycle w pigułce i mieszkać w szklanych wieżowcach o pięciuset metrach. Że „indywidualne decyzje o kształceniu się powyżej obowiązkowego poziomu można traktować jako decyzje inwestycyjne”, co niefrasobliwie rysuje najmniej kłopotliwy fragment rzeczywistości, w dzisiejszych warunkach bowiem wchłonięcie młodzieży przez uniwersytety oznacza również chwilowe odciążenie rynku, który dla dużej części absolwentów nie znajduje miejsc pracy.

Powyzsze cytaty pochodzą z jednego numeru *Wprost* (33/1996), gdzie ilustrowały one podstawowe tezy dużych artykułów oraz wielkiego ogłoszenia (GSM). Podobny bukiet rewelacji przytoczyć można z dowolnego wielkonakładowego pisma, gdzie futurystyczna poczciwość i gorliwy liberalizm dziennikarzy narysują nieświadomą karykaturę spraw, być może dlatego, że ich przesadzony rysunek sprzedaje się równie dobrze, jak seks. Redaktorzy zarabiają nieźle i jako ludzie rozsądni wiedzą, że prochu nie trzeba wymyślać, a nawet posiadać, natomiast trzeba go sprzedać. Ci spośród nich, którzy nie zarabiają dobrze, żyją z posady w innym piśmie, innym radiu, innej telewizji albo ze staży w zachodnich redakcjach. W tym labiryncie zawodowych motywacji trudno się zorientować, co w gazecie siedzi, o co w artykule chodzi, a wreszcie z jakiego kraju ten produkt. Popularne tygodniki i dzienniki ogólnopolskie stają się wówczas łatwym terenem irytacji – w odróżnieniu od gazet lokalnych, które nierzadko robią dobre wrażenie; co do mnie z przyjemnością czytywałem dzienniki wrocławskie, gdańskie czy krakowskie.

Rozróżnienie to bierze się chyba z innego pojęcia zawodu w zależności od tego, czy się siedzi w Warszawie, czy na prowincji. Redaktor gazety lokalnej robi produkt informacyjny i rozrywkowy, zdając sobie przy tym sprawę, że jego zarobki i samo istnienie zależy od fachowości, z jaką

zmontuje on i tę informację, i tę rozrywkę. Redakcje tzw. niezależne, jakich dziesiątki powstały w całym kraju w latach 1989-1990, robiły to niefachowo i wszystkie padły. Pozostały zespoły tzw. postkomunistyczne, które odwróciły się od ideologii, do wszystkiego są przodem, nie aspirują do roli mentora, za to wiedzą jak złamać tekst, jak zmontować kolumnę, jaki dać tytuł i jak robić korektę.

Wie to również redaktor warszawski, ale może on być stworzeniem rozdartym pomiędzy swą misją opiniotwórczą i misją handlową, frustracje polityczne i statystyki czytelnictwa, co w artykułach sprzyja atmosferze zadęcia, taniej agresywności, pośpiechu i powierzchowności.

Dużego znaczenia nabrali dziennikarze od gospodarki, tworzący jedno z bardziej wpływowych ośrodków konformizmu i niezaradności w kraju. Niezachwiani w swej formacji liberalnej nie wierzą oni w kierowanie rynkiem, ale słuchają tylko kapitanów gospodarki. Są bezkrytyczni wobec mechanizmów rynkowych, lecz ignorują niewygodne sygnały realnego rynku w stanie głębokich przemian. Mówią o zarobkach, ale nie o jakości pracy, mówią o handlu, lecz nie o wytwarzaniu, mówią o skuteczności inwestycji, lecz ignorują aspiracje społeczne, interesuje ich globalizacja rynku, lecz nudzi sprawa międzynarodowego podziału pracy i miejsca w nim naszego społeczeństwa, opisują chwałę indywidualnego sukcesu, ale pomijają warunek konieczny jako trwałości, jakim jest poczucie bezpieczeństwa większości.

Wynikiem jest zubożenie zaradności koncepcyjnej i posiew złudzeń, co dobrze przedstawia sprawa zjednoczenia z Unią Europejską. Tutaj dziennikarze idą w zawody z politykami w produkcji niedomówień i półprawd, oferując kto bliższą datę „wstąpienia”, kto bardziej bałamutną diagnozę integracyjnego procesu. Tymczasem podpisy w tej sprawie nadwiślańscy politycy składają będą przez najbliższe pół wieku, zanim gospodarka polska wystarczająco dostosuje się do kryteriów zachodnich, co pozwoli na pełne obalenie systemu barier i rzeczywistą integrację.

Od tej strony prasa polska, skoncentrowana na oświadczeniach zachodnich kancelarii i stanie wskaźników makroekonomicznych, daje wyjątkowo mylące świadectwo wskutek sankcji, jakiej udzielają koniunkturalnym deklaracjom

zachodnich mężów stanu oraz wybiórczym wysiłkom polskich władz. Te ostatnie, od lat już przyczajone na reducie mone-tarno-budżetowej, beztróska zaniedbują reformy strukturalne. Tymczasem ich opóźnienie może wystraszyć zachodnich wyborców bardziej, niż woluntarystyczny budżet, wprawdzie nie spełniający kryteriów z Maastricht, za to zaangażowany w materialne dostosowanie gospodarki do zachodnich kryteriów. Podobnie dwuznaczną skuteczność ma ideologia jednocyfrowej inflacji: kraje rozwijające się nie mogą mieć inflacji na tym poziomie, co rynek rozwinięty z tego samego powodu, dla którego ten ostatni nie może mieć dynamiki gospodarczej porównywalnej z regionami rozwijającymi się.

Z perspektywy kancelarii zachodnich

Na widok wieżowców przy Dworcu Centralnym w Warszawie, dyskotek w Jastrzębiej Górze albo Rynku Głównego w Krakowie gość z Zachodu odczuje przede wszystkim ulgę, że w Polsce można się czuć jak u siebie w domu, wszelkie bowiem oznaki cywilizacji na obszarze czekającej go komunistycznej schedy przyjemnie go zaskakują. Jeśli przyjechał na inwestycyjne zwiady, to stara się znaleźć swoje miejsce w dwuznacznym obrazie polskiej gospodarki, gdzie zachęcające widoki w handlu detalicznym, reprodukcji zachodnich towarów, prywatyzacji i spekulacji, silnie kontrastują z ruiną infrastruktury, zapaścią budownictwa, archaicznym rolnictwem i rozdętym, a zarazem niedoinwestowanym przemysłem ciężkim. W tych warunkach oczekiwać będzie od swych władz, że w traktacie zjednoczeniowym z Polską utrwali i zabezpieczą jego interesy. Jeśli zaś nasz turysta nie wiąże z Polską żadnych planów gospodarczych, to przynajmniej liczy, że politycy nie doprowadzą do katastrofy poprzez nagłe połączenie dwóch nie przystających do siebie światów.

Według raportu Instytutu Badań Ekonomicznych w Wiedniu z czerwca ub.r. przyjęcie państw środkowo-europejskich doprowadziłoby do zaburzenia wspólnego rynku rolniczego, już z lekka osłabionego wcześniejszym przystąpieniem Austrii, Finlandii i Szwecji. Wejście Polski, Węgier, Czech, Słowacji, Bułgarii i Rumunii podwoiłoby ilość

rolników i podniosło produkcję o 30%, podczas gdy ogólny potencjał gospodarczy wzrósłby jedynie o 3%. Następstwem byłaby eksplozja podaży rolnej i załamanie budżetu Unii, którego największym obciążeniem już dziś są dotacje rolnicze.

Innym kolczastym *dossier* jest stalownictwo, zmodernizowane w Europie Zachodniej za pomocą bolesnych zmian strukturalnych, kosztem bezrobocia i dopłat budżetowych. Tymczasem stal wschodnioeuropejska jest znacznie tańsza i Unia broni się od lat za pomocą licencji i barier celnych, a od ubiegłego roku Komisja Europejska rozpatruje skargę *lobby* zachodnioeuropejskich producentów Eurofer na wschodnioeuropejski *dumping*.

Sprzedaż ze stratą oraz niskie zarobki umożliwiają eksport środkowoeuropejskiego bezrobocia na Zachód, hamowanego jak dotąd licznymi barierami; nagłego ich zniknięcia nie zaryzykuje oczywiście żaden polityk Unii. Do barier tych należą kwoty importowe Unii sprzyjające zyskom w handlu z Europą Wschodnią, które wyniosły dwa i pół miliarda ecu w 1992 i blisko sześć miliardów w roku następnym.

Dreńjąc w Polsce gotówkę Unia zarazem energicznie broni się przed konkurencją taniej pracy, na co dziś pozwala pełna suwerenność obu partnerów; po wejściu w skład Unii sytuacja ulegnie zmianie i nasz kraj szukać będzie dotacji, jak czynią to południowo-zachodnie regiony Europy, a także będzie się domagał swobodnego ruchu siły roboczej i produktów, co groziłoby odwróceniem dzisiejszych bilansów pomiędzy partnerami, nadal rozdzielonymi granicą na Odrze i Nysie.

W ostatnim okresie można więc zauważyć rosnącą nerwowość polityków Unii Europejskiej w miarę zbliżania się terminów integracyjnych. Nerwowość tę ujawniło w szczególności październikowe spotkanie piętnastki w Dublinie, przygotowujące przyszłoroczną konferencję międzyrządową na temat zmian w układzie z Maastricht. Politycy krajów Unii mają coraz więcej kłopotów w utrzymaniu kursu zjednoczeniowego już tylko we własnym towarzystwie, bez uwzględniania wschodnich pretendentów, i na początek słychać głośno o konieczności renacjonalizacji polityki rolnej, oraz utrzymania częściowej samodzielności monetarnej i całkowitej autonomii w polityce społecznej. Innymi słowy, rozmowa jest

o nowym kształcie zbawiennych barier.

W polityce wschodniej chodzi przede wszystkim o ochronę standardów Unii bez rujnowania się na potrzeby jej nowych członków. Stanowiący odwrotną stronę tej perspektywy rachunek korzyści i kosztów polskiego społeczeństwa zależy więc będzie od barier i terminów w stopniowym dostępie do zachodnich instytucji, do których formalne członkostwo może być przyznane dość szybko, rozpoczynając wieloletnie terminowanie już nie na odległość, lecz w obejściach mistrza.

Robert KACZMAREK

Widziane z Brukseli

JCPCIKINS? CZYLI: JAK, CZY, PO CO
I KTÓRĘDY IŚĆ NA SKRÓTY?

I. CZY JEST NA TO RADA? NIE MA!

Madeleine Albright jest obecnie ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy ONZ i, co nie zawsze było automatycznie związane, członkiem gabinetu prezydenta Clintona. Znam ją jeszcze sprzed dyplomatycznej fazy jej biografii. To mądra pani, doświadczony (nic dziwnego, Czeszka z pochodzenia) polityk, znana z bardzo konkretnego i jasnego sposobu wypowiedzania się. Bardzo więc byłem zdziwiony kiedy w codziennym biuletynie rozsyłanym przez ambasadę amerykańską ujrzałem jej nazwisko nad tekstem noszącym tajemniczo pokręcony tytuł, składający się głównie z inicjałów: „*Albright's UNSC remarks on UNPREDEP in FYROM*”.

Dziwne, pomyślałem, taka poważna osoba a zajmuje się, w oficjalnym dokumencie i to na koszt podatnika amerykańskiego, rozrywkami umysłowymi. Mam pewną znajomość

oficjalnych inicjałów, skrótów, kodów oraz gier hazardowych, ale tu mnie zatkało. Zacząłem krzyżówkę. Oto wynik:

UNSC: „United Nations Security Council” – to proste, po ludzku i po polsku: *Rada Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych*. Każde dziecko zna.

UNPREDEP: to już bardziej skomplikowane, „United Nations Preventive Deployment Force”, czyli *Siły Zapobiegawczego Rozmieszczenia Narodów Zjednoczonych* (w każdym razie coś w tym rodzaju w wojskowo-dyplomatycznej polszczyźnie).

FYROM, coś zupełnie nowego, „In the Former Yugoslav Republic of Macedonia” czyli *W Bylej Jugosłowiańskiej Republice Macedonii* (taki był językowy skutek niemożności dojścia Narodów Zjednoczonych do zgody co do nazwy tej republiki, jako że Grecja, w obawie przed pozbawieniem jej prawa do Aleksandra Wielkiego zwanego też Macedońskim, zastrzegła sobie na tę nazwę monopol i była gotowa bronić go siłą).

Tego samego dnia, kiedy z czystego zamiłowania rozwiązywałem zagadkę UNPREDEP’u, zadzwonił red. Giedroyc. I powiedział: **DP NMPP, CSS, ZCMRzJP. ZCZSI. TPM. JSSJwTG. PWzB, SWBiWS. CJNTR?**

Ciekawe, co?! Tak by to wyglądało w inicjałach. W normalnym języku Jerzy Giedroyc powiedział: „*Drogi panie, (nigdy nie zaczyna inaczej, słowa ‘drogi’ nie należy traktować dosłownie), niech mi pan pomoże. Czytelnicy skarżą się, że coraz mniej rozumieją z języka polityków. Zachodzi zjawisko chorobliwego zafascynowania skrótami i inicjałami. To prawdziwa mania. Ja sam się już w tym gubię. Pan widzi z Brukseli, stolicy wszystkich biurokracji i wszystkich skrótów. Czy jest na to rada?*”

NM, odpowiedziałem, „nie ma”. To część cybernetycznej cywilizacji. „NPJS”, czyli „Niech pan jednak spróbuje, powiedział red. Giedroyc. ZTZPTK,AS, czyli „żeby to zrobić porządnie trzeba Kopalnińskiego, ale spróbuj”, odpowiedziałem.

W alfabetycznym porządku, z reguły, z małymi wyjątkami, po angielsku (istnieje także francuska wersja, ale jest rzadziej na świecie używana i wobec tego mniej pożyteczna)

i w ogromnym skrócie, rozwiązując tylko niektóre z tych puzzli, inicjałów i skrótów, które czytelnik *Kultury* może napotkać w życiu codziennym i z którymi musi się czasem zmagać na naszych, czy innych, drukowanych łamach. W zasadzie mieści się to wszystko w kategorii usług świadczonych przez *Kulturę* jej czytelnikom. Dlatego, tam gdzie wydaje mi się to uzasadnione, ten swoisty słownik uzupełniony będzie możliwie skromnym komentarzem.

II. OD A. DO Z.

A.A.A.A.

AAC, (albo **AC**) **anno ante Christum, przed naszą erą (pne).**

AD, Anno Domini, roku pańskiego (naszej ery).

AF, Air Force, amerykańskie siły powietrzne.

Ciągle w akcji (np. w Bośni). Na szczęście.

AFL-CIO, American Federation of Labour – Congres of Industrial Organisations, Amerykańska Federacja Pracy – Kongres Organizacji Przemysłowej.

Jedna z amerykańskich organizacji najbardziej zasłużonych w akcji pomocy dla „Solidarności” i polskiej opozycji demokratycznej w ogóle, zwłaszcza po proklamowaniu stanu wojennego. Właśnie ukazała się w Ameryce książka, z której wynika, że pomoc ta przekroczyła 50 milionów dolarów. Według źródła „solidarnościowych”, było tych dolarów znacznie mniej: ok. 7 milionów. *Kultura* już nieraz zwracała uwagę, że fakty do dziś nie są znane i że nikt, ani w Polsce, ani zagranicą, nie przeprowadził wiarygodnego rozliczenia.

AFN, American Forces Network, amerykańska wojkowa sieć radiowa.

Kiedys jedno z głównych źródeł wiarygodnych informacji (i dobrej muzyki). Nadawała z Berlina zachodniego, głównie dla NRD, ale korzystali i inni za żelazną kurtyną.

AJC, American Jewish Committee, Komitet Żydów Amerykańskich.

Jedna z głównych organizacji żydowskich w USA, wyjątkowo „popularna” jako „potężne żydowskie antypolskie

lobby” w najbardziej patriotycznych kołach amerykańskiej Polonii. Do punktu wrzenia doszło ostatnio na tle m.in. rocznicy kieleckiej, kiedy skutki „narodowego”, prymitywnie antysemickiego wystąpienia prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej pana Moskala musieli wspólnymi siłami łagodzić prezydent Aleksander Kwaśniewski i „Kurier z Warszawy”, były dyrektor „Wolnej Europy”, Jan Nowak Jeziorański.

am, ante meridiem, przed południem;

ANC, African National Congress, Afrykański Kongres Narodowy.

Wystarczy zacytować hasło „Mandela”.

ANZUS, Australia – New Zealand – United States, pakt wojskowy między Australią, Nową Zelandią i USA.

AP, Associated Press, amerykańska agencja prasowa.

Obok francuskiej AFP i angielskiego Reuter’a, jedna z niewielu naprawdę światowych i wiarygodnych agencji prasowych.

ASEAN, Association of South-East Asian Nations, Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej.

Kiedyś jedna z biedniejszych części świata, dziś region „tygrysów”, to znaczy krajów o najwyższej stopie wzrostu gospodarczego. Premier Kołodko uważa, że Polska jest dziś „tygrysem” Europy Środkowej.

B.B.B.B.

BBC, British Broadcasting Corporation, brytyjska sieć radiowa.

BBC World Service (serwis zagraniczny). Jest to na pewno najlepsza, najbardziej obiektywna i wiarygodna, najdalej sięgająca, najszerzej i najmądrzej informująca i najgorzej opłacająca swych współpracowników radiostacja na świecie. Najlepsze źródło nadziei i jeden z elementów przetrwania wszystkich zniewolonych społeczeństw na świecie. Wszyscy próbowali, ale nikomu nie udało się jej naprawdę naśladować. Zagrożona obecnie przez reformatorski obłęd dyrekcji BBC. Warto ogłosić światowy alarm w jej obronie.

BC, before Christ, przed naszą erą.

BEM, British Empire Medal, Medal Imperium Brytyjskiego.

Imperium już nie ma, medal został. Zawisł na piersiach bardzo wielu Polaków. Tym, którzy zostali na Zachodzie, niewiele pomógł. Tym, którzy wrócili z nim do Polski, bardzo mógł zaszkodzić.

BERD, Bank of European Reconstruction and Development, EBOR, Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju.

Bardzo ważna i bogata instytucja. Inwestuje, do tego została powołana, w krajach po-komunistycznych. Siedziba w Londynie. Dyrektorskie miejsca zajmują tam m.in. byli premierzy: Węgier – Nemeth i Polski – Jan Krzysztof Bielecki.

C.C.C.C.

CARE, Cooperative American Remittance for Europe, Amerykańskie Spółdzielcze Towarzystwo Przesyłek do Europy.

Młodszym czytelnikom *Kultury* warto przypomnieć jak wielką rolę CARE odegrało w pomocy dla Polski.

DC, Diplomatic Corps, korpus dyplomatyczny. CC, Consular Corps, korpus konsularny.

Literki potrzebne do oznakowania samochodów, które parkują byle gdzie i nie płacą kary.

CIA, Central Intelligence Agency, Centralna Agencja Wywiadowcza.

Centrala szpiegowska USA. Ostro krytykowana za brak skuteczności przez Kongres (parlament) i prasę amerykańską. Bardzo wysoko oceniana przez KGB i służby z nim zaprzyjaźnione. Do niedawna odpowiedzialna za wszystko co było antykomunistyczne na wschód od Łaby.

CIRCA, circa, około, mniej więcej.

CMEA, Council of Mutual Economic Aid, Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, RWPG.

Należy do historii, ale warto przypomnieć jej czasy dla ukojenia nostalgii.

D.D.D.D.**DC Decimal Classification, klasyfikacja dziesiętna.****DM, Deutsche Mark, marka niemiecka.**

(Warto mieć.)

DT (*), delirium tremens, obłąd opilczy.

Ostrzeżenie przed wiarą, że picie wódki z umiarem nie szkodzi nawet w największych ilościach.

E.E.E.E.**ECE, Economic Commission for Europe, Europejska Komisja Gospodarcza. EKG (przy ONZ).****ECG, electrocardiogram, elektrokardiogram.****ECOSOC, Economic and Social Council, Rada Gospodarczo-Społeczna przy ONZ.****EFTA, European Free Trade Association, Europejska Strefa Wolnego Handlu. Siedziba w Genewie.****ERP, European Recovery Program, Program Dźwignięcia Europy, inaczej znany jako „Plan Marshalla”.**

Jego odrzucenie przez Polskę i Czechosłowację, na skutek weta Stalina, było jednym z sygnałów definitywnej sowietyzacji Europy Środkowej.

ESQ, Esquire, JW Pan, albo Wielce Szanowny w adresie.

Angielska uprzejmość. Zamiera.

etc, et cetera, i tak dalej...

Bardzo wygodne kiedy się już nie ma niczego więcej do powiedzenia.

EU, European Union, Unia Europejska (UE). Siedziba w Brukseli.Nawet jeżeli pominąć nie sprawdzony epizod o Zeusowym byku i przepięknej Europie, to historię myśli jednoczącej nasz kontynent można odnaleźć i tak bardzo dawno. W XIX wieku, Napoleon, Lamartine, Wiktor Hugo już o tym, każdy na swój sposób, myśleli. W 20-tych latach XX wieku powstaje **UEBL**, Unia Gospodarcza Belgii i Luksemburga, potem Briand lansuje projekt Stanów Zjed-

noczonych Europy. W czasie II wojny światowej, Churchill proponuje Radę Europy, w 1944 roku powstaje **BENELUX** (Belgia, Holandia i Luksemburg), w 1949 powstaje Rada Europy (patrz dalej), w 1950 (plan Schumana) rodzi się **CECA**, francuski skrót od **Communauté Européenne du Charbon et de l'Acier**, Europejska Wspólnota Węgla i Stali (Niemcy, Włochy, Francja i Benelux). W 1955 roku w Messynie sześć państw postanawia utworzyć, a w 1957 Traktat Rzymski powołuje do życia Wspólny Rynek. Jako **EEC, European Economic Community**, Europejska Wspólnota Gospodarcza, potem od 1993 roku, na fali ustaleń Traktatu w Maastricht (1991), jako **EU, European Union**, wspólnota powoli pączkuje: zrazu do 9, potem do 12, obecnie 15 członków. Unię, czyli zrealizowaną ideę zjednoczonej Europy, można oceniać na wiele sposobów. Moralnie: stanowi ona podstawowy instrument pokoju i pojednania między Niemcami a Francją czyli pokoju w Europie. Politycznie: pozwoliła uratować i umocnić system demokratyczny i poszanowanie praw człowieka. Gospodarczo: jest niewątpliwie u źródła długich lat dobrobytu w zachodniej Europie. Stanowi dziś największy blok handlowy na świecie. Jej budżet (1997) sięga 120 miliardów dolarów (z czego 40% na **PAC**, czyli, po francusku Wspólną Politykę Rolną). Choć UE wykazuje dziś wiele zmarszczek (ogromne bezrobocie, niezdolność wypracowania wspólnej polityki społecznej, zagranicznej i obronnej), w ogonku do Unii Europejskiej ustawiło się już nowych kilkanaście państw. W największym skrócie można powiedzieć, że funkcjonować w Unii nie będzie łatwo ani tanio, ale byłoby jeszcze trudniej i drożej pozostać na trwałe poza nią. Jeżeli chodzi o Polskę, dla której wejście w struktury UE ma także znaczenie historyczne (kotwica w cywilizacji zachodniej), to prezydent Chirac zapowiedział jej wejście do UE na rok 2000. Biurokracja europejska przypuszcza, że wątpi i sugeruje rok 2002. Według fachowców, też mało realny.

oraz:

CE, Council of Europe. Rada Europy. Siedziba w Strasburgu.

Najstarsza instytucja europejska. Jej głównym zadaniem

jest troska o obronę praw człowieka i obywatela, szerzenie tolerancji i szacunku dla mniejszości. Przynależność do niej stanowi coś w rodzaju zaświadczenia demokratycznego dziewczęstwa. Niektóre zaświadczenia wydaje się na kredyt: Rosja została przyjęta w czasie interwencji w Czeczenii. Lepiej, powiedzieli „kredytodawcy”, mieć ją w środku niż na zewnątrz. To się dopiero okaże.

CFSP, Common Foreign and Security Policy, Wspólna Polityka Zagraniczna i Bezpieczeństwa.

Formuła jest szerzej znana, nie wiadomo dlaczego, we francuskim skrócie **PESC: „Politique étrangère et de sécurité commune”**. Jest jak horyzont: im do niej bliżej, tym bardziej się oddala. Sen ojców traktatu z Maastricht. Nie do zrealizowania, tak ostra, choć czasem absurdalna i *à la long* szkodliwa (*vide* klęska w Bośni, czy kompromitacja na Bliskim Wschodzie etc.), jest sprzeczność między naturalnym ponadnarodowym charakterem takiej polityki a egoizmem poszczególnych państw.

CEEC, Central and East European Countries, kraje Europy Środkowej i Wschodniej.

Ta formuła jest także, jak wyżej, lepiej znana we francuskim skrócie **PECO: „Pays de l'Europe centrale et orientale”**. Skrót wymyślony dla wygody biurokratów, którzy mogą w ten sposób jednym wyrazem odfajkować pół kontynentu. W istocie cały problem integracji można sprowadzić do pytania jak wyjść z **CEEC** (albo **PECO**) i wejść do Europy, pod pełną własną nazwą każdego kraju osobno.

CM, council of ministers, Rada ministrów poszczególnych resortów, przede wszystkim spraw zagranicznych i gospodarki.

W RM każdy kraj dysponuje określoną liczbą głosów. Wielkie kraje – dziesięcioma głosami, potem w dół, do dwóch głosów dla Luksemburga. W sumie 87 głosów, kwalifikowana większość – 62, blokująca mniejszość – 26.

EC, European Council, Rada Europejska.

Złożona z szefów lub premierów państw członkowskich. RE znana jest szerzej jako „szczyt” europejski. Zbiera się w zasadzie raz na sześć miesięcy. Teoretycznie podejmuje podstawowe decyzje dla UE. W praktyce, nie zawsze dochodzi do zgody albo, jak często bywa, godzi się na

najmniejszy wspólny, na ogół mizerny, mianownik.

EMU, Economic and Monetary Union, Unia Gospodarcza i Monetarna.

Ma wejść w życie 1 stycznia 1999. Jednostka monetarna o nazwie **EURO** ma być wprowadzona w obieg w ciągu następnych trzech lat.

EUC, European Union Commission, Komisja Unii Europejskiej.

Organ wykonawczy i zarządzający (na co dzień) UE. Składa się dziś z 20 komisarzy o 5-letnim mandacie, zatwierdzanych (teoretycznie) przez parlament europejski (EP). Wielkie kraje mają po dwóch komisarzy, inne po jednym. Co będzie po (ewentualnym) rozszerzeniu, ciągle nie wiadomo. Niektórzy komisarze wysyłani są do Brukseli na tak zwaną *voie de garage*, czyli boczny tor, aby po prostu pozbyć się ich z odpowiedniej stolicy. Inni po to, aby po okresie wiernej służby dla ojczyzny, zapewnić im wygodny koniec kariery. Niektórzy, raczej rzadko, desygnowani są nawet w uznaniu ich kompetencji. Ewentualne nostalgii (oraz zły klimat Brukseli) kojone są, bez oporu, bardzo wysokim uposażeniem (15 do 20.000 dolarów... miesięcznie) i sporymi *avantages en nature*. Mimo niewątpliwych uroków posady, liczba komisarzy nie może bez końca rosnąć. Już dziś, w dwudziestkę, podejmowanie decyzji nie jest łatwe. Komisja UE to dla jednych prawdziwy motor UE, dla innych biurokratyczny moloch. Obie strony mają rację.

EP, European Parliament, Parlament Europejski.

Trzy siedziby: w Strasburgu, Luksemburgu i Brukseli.

Wybierany w głosowaniu powszechnym proporcjonalnie do liczby mieszkańców. Frakcje parlamentarne tworzą się nie na zasadzie geograficznej a ideologicznej: socjalistyczna (najsilniejsza), chadecka, liberalna etc. Teoretycznie parlament ma spore uprawnienia budżetowe, kontrolne i nominacyjne (zatwierdza np. traktaty o integracji czy o stowarzyszeniu), w istocie ma bardzo ograniczony wpływ na sposób kierowania Unią. Nazywa się to skromnie „deficytem demokracji”. Absurdalne (wyłącznie prestiżowe) rozbić na trzy siedziby jest źródłem bałaganu organizacyjnego i kolosalnego marnotrawstwa finansowego. Jest także źródłem afer i przekupstwa. Głównie wokół budowy nowych budynków.

Cena budowy ogromnego kompleksu parlamentarnego w Brukseli wielokrotnie już przekroczyła wstępny kosztorys, chociaż budowa ciągle w toku. Żeby było jeszcze drożej to trwa równocześnie budowa gmachu takiego samego parlamentu, ale w Strasburgu. Wszystko za moje podatki.

EURATOM, European Community of Atomic Energy, Europejska Wspólnota Energii Atomowej. Siedziba w Brukseli.

IGC, Inter-Government Conference, Konferencja Międzyrządowa (KM).

Złożona z ekspertów państw członkowskich UE. Powołana w 1995 roku dla przygotowania wielkiej reformy wewnętrznego funkcjonowania UE. Punktem wyjścia (i dojścia) KM jest założenie, że bez takiej reformy, rozszerzenie UE w ogóle nie wchodzi w rachubę. Obecne instytucje UE służyć miały wspólnocie sześciu państw, potem dziewięciu, następnie dwunastu, obecnie piętnastu. W perspektywie państw tych ma być 25 albo 30. Dziennik urzędowy UE wychodzi już dziś w 11 językach. Tłumacze stanowią 20 procent personelu Komisji UE, 50 procent personelu Parlamentu Europejskiego. Przy 15 członkach Unii liczba kombinacji językowych sięga 100. Wprowadzenie nowego języka wymagałoby zatrudnienia każdorazowo 200 tłumaczy. To nie jedyny temat KM. Jaka np. jest przyszłość zasady jednomyślności w podejmowaniu decyzji? Kiedy może decydować zwykła większość głosów? Dlaczego małe kraje muszą znosić dyktat wielkich? Jaki Anglik czy Francuz zgodzi się na uzależnienie losu jego ojczyzny od głosu Luksemburga czy (kiedyś) Polski? KM ma w zasadzie przygotować brukselską wieżę Babel na wyzwania XXI wieku. Na razie się na to nie zanosi. KM jest bardzo spóźniona: ma zakończyć prace w połowie 1997 roku. Wniosek: albo KM skończy na czas, ale wtedy właściwie na niczym, albo się przeciagnie, a wtedy wejdzie w kolizję z wyborami w Anglii, Francji i Niemczech, procesem wprowadzania „euro” czyli wspólnej monety, itd. Inaczej mówiąc, KM zejdzie na plan dalszy. Z punktu widzenia Polski nie jest to perspektywa wesoła: negocjacje integracyjne z PECO mają bowiem rozpocząć się sześć miesięcy po zakończeniu KM. Kiedy? Jeden z jej uczestników porównał KM do przysłowiowej „pielgrzymki z Echternach” (tradycyj-

na i popularna w tym luksemburskim mieście wolno i majestatycznie „tańcząca procesja”) na, nie mniej przysłowiowym, Titanic’u.

PHARE, Polish and Hungarian Aid for Economic Recovery, Pomoc w gospodarczej odbudowie dla Polski i Węgier.

Bardzo pożyteczna (i zasobna) instytucja i działalność, koordynowana przez Komisję Zarządzającą Unii Europejskiej w Brukseli. Pomaga w tranzycie gospodarki planowej do rynkowej, z dyktatury do demokracji. Zrazu przeznaczona tylko dla obu wymienionych krajów, dziś obejmuje już Albanie, Bułgarię, Czechy, Estonię, Węgry, Łotwę, Litwę, Polskę, Rumunię, Słowację i Słowenię.

TACIS, Technical Assistance for CIS, pomoc techniczna dla krajów, w polskim skrócie, WNP, Wspólnoty Niepodległych Państw.

Pomaga jak PHARE: w Armenii, Azerbejdżanie, Białorusi, Gruzji, Kazachstanie, Kirgistanie, Mołdawii, Mongolii, Rosji, Tadżykistanie, Turkmenistanie, Ukrainie i Uzbekistanie.

WEU, West European Union, Unia Zachodnio-Europejska.

W przyszłości „ramię zbrojne” Unii Europejskiej. Na razie, *vide* Bośnia, bez Amerykanów Europa poradzić sobie nie może.

FFF.

FAO, Food and Agriculture Organisation, Organizacja do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (przy ONZ). Siedziba w Rzymie.

FBI, Federal Bureau of Investigation, Federalne Biuro Śledcze.

Amerykańska służba bezpieczeństwa. Co jakiś czas udaje się jej odnaleźć szpiega. Kiedyś chodziło prawie wyłącznie o szpiegów sowieckich i z nimi zaprzyjaźnionych. Dziś już cały świat interesuje się głównie tajemnicami technologii amerykańskiej. Największą sprawą wykrytą ostatnimi laty przez FBI było aresztowanie, po bardzo wielu latach i ogromnych

stratach (także ludzkich), niejakiego Aldrich'a Ames'a, od nazwiska podwójnego szpiega, pracującego w CIA dla KGB.

G.G.G.G.

G-7, Group of Seven, Grupa Siedmiu najbardziej uprzemysłowionych krajów świata.

Zbiera się raz do roku na poziomie szefów państw i rządów USA, Kanady, Japonii, Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch. Istnieje od roku 1975. Rosja jest zapraszana ze względów wyłącznie koniunkturalno-prestiżowych. Gorbaczow, dla wyrażenia mu wdzięczności za rozłożenie ZSSR zdążył uczestniczyć tylko raz. Jelcyń bywał zapraszany głównie w ramach udziału Zachodu w kampanii wyborczej w Rosji. Czy będzie w stanie nadal bywać w tym towarzystwie, okaże się po operacji serca.

GATT, General Agreement on Tariffs and Trade, Układ ogólny w sprawie Cel i Taryf.

GMT, Greenwich Mean Time, średni czas zachodnioeuropejski, (według południka Greenwich).

GSM, Global System for Mobile Telecommunication, jeden z powszechniejszych systemów telefonii komórkowej, w skrócie zwany „komórką”.

Niezbędny element nowoczesnej elegancji. Bardzo poleca się noszenie go z lekką ostentacją. Od razu wykazuje przynależność do lepszej kategorii. Potworne urządzenie: dzwoni na koncercie, w kinie i w restauracji.

H.H.H.H.

H.R.I.P., hic requiescit in pace, tu spoczywa w pokoju (na nagrobku).

HM, His (Her) Majesty, Jego (Jej) Królewska Mość.

Hertz, hertz, jednostka częstotliwości (może być w mega).

IIII.

IAEA, International Atomic Energy Agency, Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej. Siedziba w Wiedniu.

IATA, International Air Traffic Association, Międzynarodowy Związek Transportu Powietrznego.

IBRD, International Bank of Reconstruction and Development, Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju. Znany także jako Bank Światowy. Siedziba w Nowym Jorku.

ICFTU, International Confederation of Free Trade Unions, Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych. Siedziba w Brukseli.

Bardzo zasłużona w pomocy dla „Solidarności”. Bardzo pomocna w zainstalowaniu i rozwoju działalności zagranicznego biura „Solidarności” w Brukseli. Ówczesny, długoletni szef tego biura jest obecnie ministrem w kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego.

ICJ, International Court of Justice, Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Siedziba w Hadze.

ICPO, International Criminal Police Organisation, Międzynarodowa Organizacja Policji Kryminalnej (Interpol).

IFCTU, International Federation of Christian Trade Unions, Międzynarodowa Federacja Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Patrz wyżej pod ICFTU.

Polak, sekretarz generalny IFCTU został, z mianowania premiera Mazowieckiego, pierwszym ambasadorem RP przy Unii Europejskiej.

IFJ, International Federation of Journalists, Międzynarodowa Federacja Dziennikarzy. Siedziba w Brukseli.

Skupia dziennikarzy z byłego tzw. wolnego świata.

ILO, International Labour Organisation, Międzynarodowa Organizacja Pracy. Siedziba w Genewie.

Natychmiast po powstaniu uznała „Solidarność”, jako reprezentatywny polski związek zawodowy.

IMF, International Monetary Fund, Międzynarodowy Fundusz Monetarny. Siedziba w Waszyngtonie.

inc. incognito, nie znany.

IOC, International Olympic Committee, Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Siedziba w Lozannie.

Niektórzy twierdzą, że jest to organizm składający się z bogatych lub wpływowych osób (albo jedno i drugie), rozmaitych szejków, lordów i dygnitarzy politycznych, zupełnie się nie znających (i nie uprawiających) na sporcie, wysyłanych do Lozanny, w celu pozbycia się ich z domu, na mniej lub bardziej niezasłużoną emeryturę.

IPU, Inter-Parliamentary Union, Unia Międzyparlamentarna.

Turystyka polityczna, zbędna ale kosztowna, na koszt podatnika naturalnie.

IQ, Intelligence quotient, współczynnik inteligencji.

Rodzaj inteligentnej zabawy. Samo osiągnięcie wysokiego IQ absolutnie o niczym nie świadczy. Niektórzy uczeni posłużyli się porównaniem średniej IQ białych i czarnych w USA dla udowodnienia nierówności ras. Znałem idiotów o stosunkowo wysokim IQ.

IRA, Irish Republican Army, Irlandzka armia republikańska.

Zbrojna organizacja katolików w Północnej Irlandii, domagająca się, przy pomocy bomb i granatów, zabijania niewinnych ludzi, połączenia Ulsteru z republiką Irlandii. Wojna trwa już od stuleci, co nie przeszkadza Londynowi w udzieleniu innym lekcji jak walczyć z terroryzmem.

IRC, International Red Cross, Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Siedziba w Genewie.

IS, Intelligence Service, służba informacyjna (wywiad brytyjski).

Znany przede wszystkim z powieści Fleminga i filmów „My name is Bond. James Bond”.

K.K.K.K.

K.K.K., Ku-Klux-Klan. Skrajnie prawicowa, rasistowska organizacja amerykańska.

K.O., knock out, znokautować (powalić) w boksie.

Pojęcie i chwyt stosowany także, w przenośni, a czasem dosłownie, w polityce.

L.L.L.L.

L.S.E., London School of Economics, Londyńska Szkoła Nauk Ekonomicznych.

Bardzo dobra uczelnia.

Ltd., limited, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

M.M.M.

M.P., member of parliament, członek parlamentu, poseł (do Sejmu).

N.N.N.N.

NASA, National Aeronautics and Space Administration, Narodowy Zarząd Lotniczy i Kosmiczny (USA).

NSC, National Security Council, Narodowa Rada Bezpieczeństwa (przy prezydencie USA).

Jeden z najbardziej istotnych instrumentów sprawowania władzy przez prezydenta USA. Wśród doradców do spraw bezpieczeństwa prezydentów USA, jednej z najważniejszych funkcji w państwie amerykańskim, było dwóch europejczyków: Henry Kissinger, z pochodzenia niemiecki Żyd, przy prezydencie Nixonie i Zbigniew Brzeziński, z pochodzenia Polak, w gabinecie prezydenta Cartera.

N.N.N. Bis

NATO, North Atlantic Treaty Organisation, Organizacja Traktatu Północno-Atlantyckiego, czyli Pakt sojusz atlantycki.

W Polsce znany wyłącznie pod swoim angielskim skrótem. Siedziba w Brukseli. Sojusz powołany został na mocy Traktatu z Waszyngtonu w roku 1949. Powstał jako, jak się okazało, skuteczny, polityczny i wojskowy instrument obrony

demokratycznych państw Ameryki Północnej i Europy Zachodniej przed po-jałtańską ekspansją sowiecką („Żelazna Kurtyna”). Formuła pierwszego sekretarza generalnego NATO, lorda Ismay’a, wyjaśnia wstępny cel Paktu: „To keep USA in, Germany down and Russia out”. W miarę upływu czasu, formuła zmieniała zasięg i sens, ale Pakt pozostał. Jego siła i, mimo okresowych konwulsji, jego zwartość, były niewątpliwie podstawowym czynnikiem przetrwania demokratycznego Zachodu i jego zwycięstwa w zimnej wojnie. Od rozpadu Związku Sowieckiego i Paktu Warszawskiego, NATO jest w fazie poszukiwania formuły na nowy, pototalitarny porządek w Europie. Jednym z elementów tej nowej formuły jest projekt rozszerzenia NATO na niektóre kraje po-sowieckiej Europy. Wbrew (malejącemu) zdecydowanemu *veto* Rosji, niechęci niektórych państw członkowskich i części... prasy anglo-amerykańskiej, wszystko wskazuje, że w 1997 roku NATO zaprosi trzy kraje Europy Środkowej: Polskę, Czechy i Węgry, do wszczęcia procedury integracyjnej. Nie będzie to proces ani gładki ani tani. Wprost przeciwnie, ale dojście Polski (i pozostałych) do statusu pełnoprawnych członków NATO, równoległe do reformy wewnętrznej NATO (dostosowanie sojuszu do wyzwań XXI wieku) i zawarcia poważnego i wszechstronnego traktatu o strategicznym partnerstwie z Rosją, zmieni niewątpliwie układ sił w Europie na korzyść stabilizacji i demokracji.

oraz:

SHAPE, Supreme Headquarters of Allied Powers in Europe, Główna Kwatera Naczelnego Dowództwa Mocarstw Sojuszniczych w Europie, (NATO).

SACEUR, Supreme Allied Commander in Europe, Naczelny Dowódca Wojsk Alianckich w Europie (NATO).

(John Shalikashvili, 92-93, urodził się w Warszawie).

CINCEUR, Commander-in-Chief Europe, Dowódca Wojsk Amerykańskich w Europie.

CINCAFMED, Commander-in-Chief, Allied Forces, Mediterranean Command, Głównodowodzący Alianckimi Siłami Okręgu Śródziemnomorskiego.

Ten sam skrót CINCA może być *Cent* dla Europy Środ-

kowej, CLANT dla Atlantyku itd. Instytucje ważne w perspektywie wejścia polskich wojskowych do aparatu NATO. Nieznajomość języka angielskiego, nie mówiąc już o skrótach, jest wymieniana jako jedna z przeszkód na drodze integracji.

PfP, Partnership for Peace, Partnerstwo dla Pokoju.

Powstała z inicjatywy amerykańskiej organizacja skupiająca kraje NATO i byłego Paktu Warszawskiego. Dla jednych „nagroda pocieszenia” za konieczność pozostania, na długo lub nawet na zawsze, poza ramami NATO, dla niektórych prawdziwa „poczekalnia” (wspólne manewry, dopasowywanie infrastruktury, wprawki językowe i łącznościowe) na drodze do prawdziwej integracji z NATO, dla wszystkich teren poznania się, osławiania się i zbliżenia.

O.O.O.O.

OECD, Organisation for Economic Cooperation and Development, Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. Siedziba w Paryżu.

Polska jest od niedawna 28 członkiem OECD.

OPEC, Organisation of Petroleum Exporting Countries, Organizacja Krajów Eksportujących Naftę.

op, posth. opus posthumanum, wydanie pośmiertne.

OSCE, Organisation for Security and Cooperation in Europe, Organizacja dla Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

OBWE, zrodzona z KBWE, powołanej na konferencji w Helsinkach w 1975 r. Powitana zrazu nader sceptycznie, z uwagi m.in. na proklamowanie granicznego *status quo* w Europie czyli sowieckich zdobyczy pojałtańskich, „dokument końcowy” z Helsinek okazał się w końcu bardzo pożyteczny. Jego tzw. „trzeci koszyk” legitymizował ruchy dysydenckie i opozycyjne w krajach bloku sowieckiego i w jakimś stopniu związał ręce KGB czy UB w walce z opozycją demokratyczną.

P.P.P.P.

PEN, Poets, Playwrights, Editors, Essayists and

Novelists, Poeci, dramatopisarze, wydawcy, eseści, pisarze (Pen-Club).

P.M. Prime Minister, premier rządu.

p.m. post meridien, po południu.

P.O.B. post-office box, skrzynka pocztowa.

P.O.W. Prisoner of War, jeńiec wojenny.

R.R.R.R.

RADAR, Radio Detection and Ranging, określanie odległości przy pomocy radia, radiolokacja.

RFE, Radio Free Europe, Radio Wolna Europa.

W historii walki z totalitaryzmem RWE zajmuje jedno z najbardziej poczesnych miejsc. Jej likwidacja jest najbardziej dramatycznym przykładem krótkowzroczności zagranicznej polityki Stanów Zjednoczonych. Strata nie do odrobienia.

R.S.V.P. repondez s'il vous plaît, uprasza się o odpowiedź. Na ogół bezskutecznie.

S.S.S.S.

SALT, Strategic Armaments Limitation Talks, rokowania (i układ) amerykańsko-sowiecki (obecnie rosyjski) w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych (broń atomowa).

Obie wysokie strony są na etapie ratyfikacji SALT II, ale ta ilość głowic atomowych, jaka spoczywa ciągle w ich arsenałach, wystarczy aby wielokrotnie zniszczyć kulę ziemską. I jej mieszkańców.

S.J. Societas Jesu, Towarzystwo Jezusowe, zakon Jezuitów.

S.V.P., S'il vous plaît, proszę uprzejmie. Po francusku.

W fazie zanikania.

T.T.T.T.

TELEX, telegraph exchange, dalekopis.

Odchodzi powoli w technologiczny niebyt. Nadeszła faza faxu. Niedługo fax także ustąpi. Nadchodzi epoka Internetu.

T.N.T. Trinito-toluene, trotyl.

Materiał niezbędny do prowadzenia działalności terrorystycznej. Zawsze w imię szczęścia narodów.

U.U.U.U.

UFO, Unidentified Flying Object, niezidentyfikowany przedmiot latający.

Śledzenie UFO to bardzo dobre zajęcie na pogodną starość.

UN, United Nations, Narody Zjednoczone. Siedziba w Nowym Jorku.

a w tym:

SC, Security Council, Rada Bezpieczeństwa (przy ONZ).

Piętnastu członków, w tym 5 mniej lub bardziej wielkich mocarstw: USA, Rosja, Chiny, Francja i Wielka Brytania. Każdy z piątki ma prawo veta.

UNCTAD, UN Conference on Trade and Development, Konferencja Narodów Zjednoczonych do spraw Handlu i Rozwoju.

UNEP, UN Environment Program, Program NZ do spraw Ochrony Środowiska.

UNDP, UN Development Program, Program NZ do spraw Rozwoju.

UNHCR, UN High Commissioner for Refugees, Wysoki Komisarz NZ do spraw Uchodźców.

UNICEF, UN International Children's Emergency Fund, NZ Program pomocy dzieciom.

UNICJ, UN International Court of Justice, Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, (Haga).

UNWFC, UN World Food Council, Światowa Rada Żywności.

UNESCO, United Nations Educational, Scientific and Cultural Organisation, Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury. Siedziba w Paryżu.

Do niedawna UNESCO przejawiała niezdrowe ambicje, m.in. w dziedzinie tzw. „nowego porządku informacyjnego”, wyraźnie inspirowane przez byłą ZSSR i niektóre kraje Trzeciego Świata. Na tym tle m.in. USA opuściły UNESCO i jeszcze do niej nie wróciły.

UNRRA, United Nations Relief and Rehabilitation Administration, Biuro Narodów Zjednoczonych do Spraw Niesienia Pomocy i Odbudowy Obszarów Zniszczonych.

Łza się w oku kręci. Starsi ludzie pamiętają czas, kiedy hasło „paczki z UNRRY”, nie było skrótem, a było programem na przeżycie.

USIS, United States Information Service, Służba Informacyjna Stanów Zjednoczonych.

V.V.V.V.

VOA, Voice of America, Głos Ameryki.

Potencjalnie bardzo pożyteczna instytucja. Niestety, rząd amerykański nie wie czego chce i obcina fundusze radia, tak jakby USA miały na świecie już tylko samych przyjaciół.

W.W.W.W.

WC, Water-closet, ubikacja.

Skrót na drzwiach niestychanie pożytecznej instytucji. Nie mylić z wątpliwej pożyteczności programem telewizyjnej polskiej.

WCC, World Council of Churches, Światowa Rada Kościołów (chrześcijańskich poza katolickim).

Powszechnie szanowana instytucja, występująca na ogół w obronie słusznej sprawy: praw człowieka, tolerancji itd. Tak bardzo ufna w intencje ludzkie, że aż naiwna. W okresie zimnej wojny dawała się wykorzystywać propagandzie sowieckiej, m.in. w akcji „na rzecz pokoju”. Patrz WCP.

WCP, World Council of Peace, Światowa Rada Pokoju.

Królowa dezinformacji w okresie zimnej wojny. Finansowana i manipulowana przez Moskwę. Szczyt „poputczykostwa”. Dziś w stanie zaniku.

WHO, World Health Organisation, Światowa Organizacja Zdrowia. Siedziba w Genewie.

WIPO, World Intellectual Property Organisation, Światowa Organizacja Własności Intelektualnej. Genewa.

WTO, World Trade Organisation, Światowa Organizacja Handlu, (dawniej znana jako GATT, czyli Układ Generalny Taryf i Handlu. Siedziba w Lozannie.

III. BAWMY SIĘ DALEJ

Kilka uwag na zakończenie:

a) To co wyżej to tylko wybór. Całość (też względna) obejmuje jakieś 100.000 haseł i wypełnia drukowany maczkiem tom objętości całego *Cichego Donu*. Wystarczy powiedzieć, że nasz remanent nie obejmuje np. w ogóle słownika informatycznego wyjątkowo obfitującego w niezrozumiałe skróty.

b) To samo dotyczy komentarzy autorskich. Z braku miejsca nie zostały skomentowane tak powabne hasła jak GATT, EMU, IMF, INTERPOL, NASA, WEU, Czerwony Krzyż itd.

c) Czytelnicy o ciągle niezaspokojonej żądzy przeniknięcia tajemnic skrótów i inicjałów mają prawo wołać „jeszcze”.

d) Rubryka jest otwarta dla wszystkich. Każdy może wniesić do niej uzupełnienia i ulepszenia, z tym że zastrzeżone są, naturalnie, prawa autorskie do tej nowej, ulepszonej, formy „alfabetu”.

e) *Kultura* rozpisuje ogólnoswiatowy konkurs na najdłuższy skrót i najbardziej skomplikowany inicjał, autentyczny i w stanie używalności. Oto przykład, uprzedzam lojalnie, że bardzo trudny do pobicia, autentyczny, albowiem za-

rejestrowany w „Guinness Book of Business Records”. Składa się z 17 liter: LAMSSPRSTMSHMMTWH! Nie warto się męczyć, nikt nie odgadnie: są to inicjały amerykańskiego związku zawodowego osób zatrudnionych przy kopaniu ziemi, przy pracy w kamieniu, marmurze itd itp.

f) WZ, czyli wesołej zabawy.

PWB151096, czyli

„Pisane w Brukseli, 15 października 1996”

L.U. czyli Leopold UNGER

Warunki prenumeraty „Kultury” w Polsce na rok 1997:

Cena prenumeraty rocznej wynosi **70 zł** (wraz z przesyłką).

Prenumerata roczna obejmuje numery 1–12/1997

Cena prenumeraty na 1. półrocze 1997 (numery 1-6) wynosi **40 zł**.

Warunki prenumeraty „Zeszytów Historycznych” w Polsce na rok 1997:

Cena prenumeraty za cztery numery (119, 120, 121, 122) wynosi **50 zł** (wraz z przesyłką).

Wydanie krajowe *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* może być sprzedawane wyłącznie w Polsce.

Wpłaty należy przekazywać do dnia 31 stycznia 1997 na konto:

Towarzystwo Opieki nad Archiwum

Instytutu Literackiego w Paryżu

Bank Zachodni SA II O/Warszawa

Nr 380014-7520-132-3000

z zaznaczeniem: prenumerata *Kultury*

lub *Zeszytów Historycznych*

Czytając powakacyjne sondaze

Kraj

1.

Wątkoniłem się przez trzy miesiące, wypada więc rozpocząć od zaległości.

Janusz Trybusiewicz polemizuje (*Kultura* 7-8/1996) z moim tekstem „Dwie Polski” (*Kultura* 4/1996). Jego zdaniem, Polskę dzieli rów tektoniczny. Ta pomysłowa metafora ma uprzytomnić, dlaczego Wolicki nie umie znaleźć linii, która dzieli Polskę na dwoje: ponieważ nie szuka dość subtelnie, w imponderabiliach („w klimacie, w powietrzu, tym się oddycha”) i zwłaszcza dostatecznie dawno „w przeszłości, gdzie biją źródła antagonizmu (...) w przeszłości żywej”.

W moim tekście nie kwestionowałem toczących się w Polsce sporów, ani możliwych polaryzacji. Kwestionowałem konstrukcję, która wszystkie te spory przyporządkowuje jednemu zasadniczemu podziałowi („Dwie Polski”). W polemice z Aleksandrem Hallem starałem się po kolei eliminować możliwe wykładnie takiego absolutnego antagonizmu aż pozostała ostatnia, kulturowa. Dwie Polski to miały być dwie kultury. I tę właśnie ostatnią wykładnię wykluczałem jako „całkowicie zwróconą w przeszłość, na tzw. rozliczenie we wszelkich ujęciach. W teraźniejszości wszystkie wyróżniki się rozmyślają, a wobec przyszłości obie domniemane „kultury” są po prostu bezsilne i niezborne” (podkreślam: obie). Teraz więc Janusz Trybusiewicz chce, żebym znów zaczął wywód od początku... Nie zacznę.

Tam, gdzie Trybusiewicz odnajduje imponderabilia, ja, znacznie prozaiczniej, widzę efekt doświadczeń ludzkich, przepuszczonych przez filtry uprzedzeń, stereotypów i

„kamanii politycznych”. Nic w tym tajemniczego. Kiedy natomiast czytam u mojego polemisty, że „tamtych – nie wierzymy. Inna jest ich nuta, inna melodia duchowa, obca nam” i tak dalej, muszę pytać: my, to znaczy – kto? Bo np. Kwaśniewski został prezydentem głosami większości Polaków. A zatem „my” to nie jest większość narodu? W jednym miejscu, opisując PRL, Trybusiewicz pisze: „Doświadczenie uporzenia było najbardziej masowym doświadczeniem moralnym PRL. Nie dla wszystkich jednakowo dotkliwym. Ci z dobrych rodzin z tradycjami mieli jasną świadomość imponderabiliów i znali dokładną cenę kompromisu. Inni – a tych była większość – byli z magmy społecznej”. Dorozumiewam się, że na Kwaśniewskiego głosowała magma, natomiast „my” są z dobrych rodzin z tradycjami... No tak, na arystokratycznym poziomie się nie dogadamy. Wolę więc przyjąć, że „my” było *pluralis majestatis* i że to mój polemista tak odczuwa polski klimat. Odczucia się do polemiki nie nadają. Widuję też ostatnio teksty o tym, że poczucie narodowe Polaków się cofa... Autorzy tak to czują.

Nie całkiem pojmuję, co oznacza postulat „moralnego rozliczenia” PRL. Rozliczać systemy i formacje można, zdaje się, w książkach, tych zaś w naszych bibliotekach nie brakuje. Chodzi więc zapewne o rozliczenie ludzi. Aliści: „Nikt rozumny nie chce w Polsce stawiać politycznych szubienic. Nikt nie chce ścigać Józefa Oleksego dla samej satysfakcji zemsty na nim czy na SLD. Nikt rozumny nie chce politycznej banicji SLD – banicji 30% narodu (...) Satysfakcja moralna z ewentualnego ‘odwetu’ na SLD byłaby krótkotrwała, a skuteczność jego być może odwrotna od zamierzeń. Cóż tedy?” – pyta mój polemista. I odpowiada: „Myślę, że klucz do przyszłości wydaje się dziś leżeć przede wszystkim w rękach samej SLD... (Jest nim) głęboka reforma państwa tak, by zapewnić jego prawom i interesom pełną suwerenność i nadrzędność nad interesami partii politycznych i grup wpływu”.

To rzeczywiście dobry wskaźnik wiarygodności partii, współdziałanie w takiej reformie. Każdej partii, nie tylko SLD, choć istotnie najpierw sprawdzać należy tych, co rządzą. Zatem na koniec zgadzamy się z moim polemistą. Chciałbym jedynie, aby zauważył, że jeśli prawdziwie szuka dla kraju dobrego wyjścia ze złej sytuacji, to swego apelu nie może

pojmować retorycznie. Innymi słowy, musi zakładać możliwość, iż będzie on wysłuchany. To by zaś znaczyło, że SLD mieści się w tej samej Polsce – rozdartej, skłóconej, ale tej samej... Rowu tektonicznego natomiast nie sposób byłoby zakopać. Tam, gdzie ziemia się trzęsie, będzie się trzęsła znowu i zawsze.

Krótko o drugiej zaległości.

Otrzymałem uprzejmy list od Mieczysława F. Rakowskiego, który ma do mnie żal za sformułowanie (*Kultura*, 7-8/1996) – „rozkaz wicepremiera Rakowskiego o jej rozwiązaniu”, (tzw. Stoczni Gdańskiej w 1988 r.). Rakowski był wówczas premierem, a nie wice-, błąd oczywisty, *mea culpa*. Stocznia miała być postawiona w stan likwidacji, a nie rozwiązana – wówczas dystynkcja prawnicza, ale jednak dystynkcja, zatem raz jeszcze *mea culpa*. Wreszcie to nie był rozkaz Rakowskiego, ponieważ „nie z wojskiem miałem do czynienia”, pisze b. premier, lecz decyzja Rady Ministrów PRL. Tutaj – stop. Rozkazy wydaje się nie tylko w wojsku i bywają Rady Ministrów bardziej jeszcze nawykłe do słuchania rozkazów niż starsi szeregowi.

To tyle zaległości.

2.

Na dziesięć miesięcy przed wyborami parlamentarnymi widać już zarysy nowego Sejmu. Utrzymujące się od kilku miesięcy w sondażach tendencje wskazują, że partie obecnie rządzącej koalicji, nawet jeśli by zdołały zachować poparcie z 1993 roku, to najpewniej nie będą miały większości. Przede wszystkim nie powtórzy się wielka premia w postaci dodatkowych mandatów za pierwsze miejsca w rywalizacji: miejsca bowiem mogą nie być pierwsze, a zwłaszcza przeciwnicy nie będą tak rozproszeni, żeby ich głosy się zmarnowały wskutek pięcioprocentowego progu. Po drugie, jest bardzo prawdopodobne, że w rezultacie mobilizacji i procesów zjednoczeniowych na prawicy do urn pójdą wyborcy, którzy dotychczas tego nie robili i którzy udzielą wsparcia siłom najbardziej anty-*SLD*. W sumie, według aktualnych symulacji *SLD* dostałaby jakieś 130 mandatów; *PSL* 70 (na 460 miejsc w izbie).

Po drugiej stronie będzie Akcja Wyborcza Solidarność, *AWS*, który to nowy skrót oznacza świeżo zarejestrowaną for-

mację, grupującą ok. 20 patrii, partyjek i kanapek politycznych owiniętych jak rośliny pnące wokół NSZZ Solidarność. Ściśle mówiąc, sama Solidarność do AWS nie należy, tylko jej upoważniona reprezentacja polityczna z Marianem Krzaklewskim, przewodniczącym AWS i NSZZ w jednej osobie. Ale wiadomo już, że ok. dwóch trzecich członków Komisji Krajowej związku wybiera się kandydować do Sejmu. Rozróżnienie pomiędzy NSZZ Solidarność a jego reprezentacją polityczną sygnalizuje jednak, że AWS jest wprawdzie formacją wspieraną przez znaczną większość delegatów na zjazd związkowy i tym samym jeszcze znacznie większą większość aparatu NSZZ – ale zapewne nie tak znaczną większość członków. Jeżeli w ogóle większość... AWS rywalizuje bowiem o poparcie z Ruchem Odbudowy Polski, ROP Jana Olszewskiego. Rywalizacja jest tym bardziej zaciekle, że rozróżnień programowych, jak dotąd, brak, nastawienia czy też skłonności ideowe są tożsame, natomiast istnieje znaczna doza niechęci wzajemnej w przywódczych kręgach obu formacji. Jan Olszewski i najbliżsi mu działacze uważają się nie bez racji za tych, którzy zainicjowali w kampanii prezydenckiej *come-back* prawicy. I nigdy nie ukrywali pogardy dla partyjek, które teraz obsiadły Solidarność „jak pchły kundla” (to cytaty) i nie zapomnieli też swej nienawiści do Wałęsy. Krzaklewski nie odpowiada wprawdzie za „Bolka”, ale ROP nie może mu darować, że przejął wiatr we własne żagle i marginalizuje teraz konkurentów. ROP, który pod koniec minionego sezonu dorównywał Solidarności w sondażach, teraz jest daleko w tyle, na poziomie Olszewskiego z wyborów prezydenckich i jeszcze niżej. Po raz pierwszy pojawił się w połowie października w komentarzach jako kandydat do upadku „pod próg”. Rozgorczenie działaczy ROP obejmuje również zachowania hierarchii, która jak się zdaje, zdecydowanie obstawia AWS. Ludowy, jak to kiedyś nazywano, katolicyzm tej formacji, pielgrzymki, litanie, nowenny, opluwanie Labudy i wszystkich „morderców niewiniątek” znacznie bardziej odpowiada kierowi niż skrajna politycznie, ale wcale nieskłonna do posłuszeństwa Kościołowi partia Olszewskiego i Wrzodaka. Zwłaszcza, że koalicyjna ze swej istoty AWS stale będzie potrzebowała kościelnych doradców i mediatorów. Papieskie „Trzymać się i nie popuszczać” ogłoszone 13 października

do pielgrzymów z Solidarności z okna kliniki Gemelli znalazło się w głównym tytule nowej gazety warszawskiej *Życie*, założonej przez Tomasza Wołkę i jego dawną ekipę z *Życia Warszawy* oraz dziennikarzy usuniętych z I programu telewizji. *Życie* przypomniało w ten sposób, że papież wspiera bezpośrednio poczynania Mariana Krzaklewskiego. *Nota bene*, ta nowa gazeta zapowiada się całkiem ciekawie i jeśli nauczona doświadczeniem redakcja nie da się ponieść stroniczości w przyszłorocznej kampanii wyborczej, cywilizowana prawica zyska na ogólnopolskim rynku prasowym od dawna potrzebną trwałą reprezentację. Bowiem dotychczas lektura zalegających lady kioskarskie tytułów z tego nurtu robi przynębiające wrażenie: głupota i frustracja...

Aktualny układ sił na prawicy nie jest wcale ostateczny. AWS nie ma jeszcze żadnego programu, a trzeba byłoby nie lada alchemika, żeby wytopić wspólne tezy dla liberałów z Ruchu Stu i ortodoksów z ZChN – a potem uzgodnić je z gwałtownie rewindykacyjnymi postulatami NSZZ Solidarność. Własne trusty mózgow AWS wspomaga wprawdzie Instytut Lecha Wałęsy z niez mordowanym Andrzejem Zakrzewskim oraz Jan Rokita jako nie całkiem oficjalny delegat Unii Wolności, ale wiadomo, że w sensie programowym ta pomoc na nic się nie może przydać, ponieważ zadanie jest niewykonalne a pomocnicy starają się tylko tak wpłynąć na bieg rzeczy, żeby kampania wyborcza AWS nie przyniosła przynajmniej szkody ich własnym interesom politycznym. AWS nie będzie miała żadnego wspólnego programu, a tylko w najlepszym razie platformę minimum, z natury rzeczy negatywną. ROP jako formacja jednolita potrafi powiedzieć znacznie więcej, co nie znaczy, że rozsądniej. O ile wszakże z brakiem programu AWS się pogodzi, bo w kampanii i tak dominować będzie sztyld Solidarności, o tyle trudniej będzie przeskoczyć barierę obsady list wyborczych. Sztab związkowy liczy na to, że politycy ze sprzymierzonych partii będą już do czasu obsadzania list tak przyuczeni do potakiwania, iż zadowolą się pokornie tym, co im związek przeznaczy. Więcej sporów może być w samym związku. Rozpęd wprawdzie jest wielki. Marian Krzaklewski czuje się znakomicie jako przyszły premier, nadzieje rosną, listy życzeń są coraz dłuższe. Jest mimo to sporo bardziej trzeźwych działaczy, którzy wiedzą,

że NSZZ Solidarność wchodzi na niebezpieczną grań. Jeśli przegra wybory i nie będzie rządził, wówczas zawód będzie gorzki. Ale jeśli wygra i będzie rządził, to może się to skończyć katastrofą dla związku (i nie tylko).

W tym wszystkim nie o to chodzi, iżby działacze związkowi byli nadmiernie, chorobliwie ambitni. Będzie ich wciągać logika sytuacji. NSZZ Solidarność wyłonił już kiedyś z siebie reprezentację polityczną, która go jako Obywatelski Klub Parlamentarny zawiodła (a w odczuciu szarych związkowców wprost zdradziła). Z tego OKP zrodziły się potem różne partie, które teraz lubią o sobie mówić, że są „z nurtu solidarnościowego”. Wszystkie powstawały odgórnie, z kanapy sejmowej. Natomiast sam związek był politycznym martwym pniem, dopóki w pewnym momencie nie zaczął udawać chadeckiej partii z katolicką nauką społeczną jako programem politycznym. Do zakorzenionej nieufności wobec sojusznicych partii dołączyło się wtedy poczucie, że jako samodzielne podmioty polityczne są one do niczego nieprzydatne. Żałosne doświadczenie z układaniem wspólnej kandydatury prezydenckiej było ostatnią kroplą. AWS jest teraz dla związku tym samym mniej więcej, co Front Jedności Narodu dla PZPR: wygodną listą wyborczą. Kiedy jednak przyjdzie do rządzenia, encykliki okażą się kiepskim przygotowaniem, a jedyne, co działacze rzeczywiście w tej dziedzinie umieją, są doświadczenia z rokowań z władzą, z komisji trójstronnej. Mało. Tym bardziej, że trzeba będzie siedzieć z obu stron stołu.

3.

Wobec perspektywy utraty władzy koalicjanci zaczynają się miotać. Pierwszym poważnym sygnałem była rozgrywka wokół rekonstrukcji rządu. Cimoszewicz najpewniej świadomie sprowokował konflikt dymisjonując Buchacza z PSL, ministra współpracy gospodarczej z zagranicą, tuż przed likwidacją resortu. Było aż nadto powodów, ale premier wykonał swój ruch bez uprzedzenia, jawnie lekceważąc umowę koalicyjną. PSL szumiało wierzgało, groziło zerwaniem koalicji, ale w końcu położyło uszy po sobie. Już w listopadzie będzie kolejne starcie: wokół budżetu.

Nieustanne manifestowanie przez PSL, zwłaszcza prezesa Pawlaka, że stronnictwo jest prawdziwie polskie i katolickie,

sprawiło, że co najmniej dziennikarze uwierzyli w zerwanie koalicji i odwrócenie sojuszy. W istocie, klientela wyborcza PSL nigdy do tego nie dopuści: jeśli tylko wynik wyborów będzie taki, że SLD i PSL nadal będą mogły rządzić, choćby jako rząd mniejszościowy, to klientela PSL będzie za kontynuacją. Tylko w sojuszu z SLD, który umiejętnie hamuje protesty miast, polscy producenci żywności mogą być tak skutecznie chronieni. Minister rolnictwa, Roman Jagieliński, który doskonale o tym wie, jest w PSL najgorętszym rzecznikiem utrzymania sojuszu z SLD. A manifestowanie przez PSL płomiennej wiary i posłuszeństwa wobec Kościoła i jego nauk, w niczym pragmatykom z SLD nie wadzi, przeciwnie, może być nawet przydatne, kiedy SLD chce ubić jakiś targ z Kościołem, a nie chce narazić się swemu elektoratowi...

Jeśli jednak SLD z PSL nie będą mogły nadal rządzić?

Zachowania SLD po raz pierwszy od 1993 sygnalizują niepewność i może nawet zaczątki paniki. Wspomniana rozgrywka została wprawdzie wygrana przez premiera ale kierownictwo SLD zdaje sobie sprawę, że teraz jest już trochę za późno na satysfakcje z dodatkowych posad: odniesiony triumf umacnia w elektoracie przekonanie, że za rządu odpowiada nie koalicja ale SLD i on też będzie przede wszystkim rozliczany. Mówił o tym w dość alarmistycznym tonie Józef Oleksy na Radzie Naczelnej SdRP 12 października.

Dotychczasowa strategia SLD w sprawach społeczno-gospodarczych polegała na rozmaitych punktowych ustępstwach i na odsyłaniu wszystkich bardziej globalnych zagadnień do nieustannie obiecowanych reform. Trzeba uczciwie przyznać, że większość tych reform, które się stale robią i nie mogą zrobić, obecna koalicja odziedziczyła po poprzednikach. Nieraz działa zresztą sprawniej od nich: reforma szkolnictwa wniesiona właśnie do parlamentu; reforma centrum już wdrażana, podobnie reforma służby cywilnej. Ale najważniejsze i najtrudniejsze ekonomicznie i socjalnie zmiany – systemu emerytalno-rentowego, służby zdrowia i ubezpieczeń zdrowotnych są nadal w lesie. Podobnie, na decyzje zasadnicze oczekuje szkolnictwo wyższe czy system podatkowy. Otóż dotychczasowa strategia SLD wyczerpała swe możliwości.

Tak np. wokół emerytur i rent narasta ostry kryzys. Rząd

dąży konsekwentnie do zastąpienia waloryzacji indeksowanej na płacach, która umożliwi rencistom i emerytom uczestnictwo we wzroście dochodów, waloryzacją indeksowaną na cenach, która zamraza (przynajmniej teoretycznie, bo wobec opóźnienia indeksu nigdy nie jest pełna) aktualny, realny poziom rent i emerytur. A jest to w przynajmniej jednej trzeciej poziom głodowy. Dochodzeniu do tego celu towarzyszą otwarte kanty. Tak np. Miller jako minister spraw socjalnych obiecywał gromko emerytom, że dostaną o 5% realnie więcej (w 1995), tylko nie dodał, iż o te 5% wzrośnie cały fundusz rent i emerytur, łącznie z mundurowymi, które są uprzywilejowane i indeksowane w całości na płacach*. Po odliczeniu, cywilom z +5% został minus... Od 1996 pod pretekstem, że inflacja tak pięknie maleje, dwie waloryzacje co roku zastąpiono jedną, kradnąc przy okazji tę, która się należała za IV kwartał 1995, dopiero Trybunał Konstytucyjny ją przywrócił.

Te manewry doprowadziły w końcu do ostrego konfliktu SLD z jego emeryckim elektoratem. Emeryci nie bardzo nadają się do manifestacji, ale głosować w 1997 będą. Teraz więc SLD trąbi na odwrót (częściowy): waloryzacje mają być znowu dwie w roku a w 1997 emerytury i renty cywilne mają wzrosnąć realnie o 1,5%, mało bo mało, ale jednak...

Wszystko to nie zmienia faktu, że reformy systemu nadal nie widać. Wiadomo, oczywiście, że może to być tylko reforma stopniowa i powolna, ale powinna się już była rozpocząć. Brak jednak, podobnie jak poprzednim rządów, woli politycznej: taka reforma musi być na początek dofinansowana z budżetu i nigdy nie uda się jej tak wymierzyć, żeby nikt nie stracił (kwestia gwarancji wartości składek w funduszach emerytalnych).

Podobnie dzieje się z innymi reformami ważnymi społecznie. SLD jest sparalizowany sprzecznością pomiędzy własną „liberalną duszą” a obietnicami składanymi wyborcom.

Koalicja od dawna obiecywała obniżkę stóp podatkowych, z 45-33-21 do 40-30-20 lub przynajmniej, na

* Inną uprzywilejowaną grupą są rolnicy, którzy na swój fundusz emerytalny nic prawie nie płacą.

początek, do 43-31-20 w 1997. Tymczasem w ostatniej chwili oba kluby koalicyjne odrzuciły ten projekt Kołodki, z którego „mini reformy” podatkowej zostaje tylko... skreślenie kilku ulg.

W roku przedwyborczym taka decyzja wydaje się jawnie samobójcza. Ale jest w niej właśnie logika niezdecydowania. Projekty Kołodki są zaciekle atakowane, zwłaszcza przez Unię Pracy, która przedstawiła własny projekt reformy stawek podatkowych (z czwartą, najniższą grupą 15% lub maksymalnie 17%): w sondażach zyskał on masowe 68% poparcie. W tych warunkach niezmiennosc podatków daje się może jeszcze bronić (np. wspomnianym orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego, na które trzeba pieniędzy); natomiast zmiana w odmiennym kierunku, dająca przywilej warstwom zaможnym wywołałaby wściekłość. Ponadto pieniądze zaoszczędzone w budżecie będzie można zużyć na łatanie w roku wyborczym tych dziur, przez które wycieka najwięcej głosów.

Bez walki SLD z władzą nie zrezygnuje. Ale pomiędzy klęską a sukcesem widzi on jeszcze inne możliwości. Jedną z nich jest zachowanie jednej trzeciej mandatów (co najmniej 154), co w połączeniu z *veto* prezydenckim daje mniejszość blokującą, zmusza prawicowy rząd do ustępstw i ostatecznie kompromituje.

Inną możliwością jest zmiana sojuszy.

4.

Wbrew powtarzanym w Warszawie opiniom jestem zdania (wyrażałem je już na tych łamach), że zarówno Unia Wolności jak Unia Pracy będą obecne w parlamencie 1997. Ich problem będzie jednak polegał na tym, że aby móc rzeczywiście oddziaływać na wydarzenia, musiałyby dysponować reprezentacją większą niż aktualna. Na to, delikatnie mówiąc się nie zanosi. Alians wyborczy obu partii wydaje się wykluczony: różnią się już nie tylko programami ale mentalnością. Wspólnoty może im wystarczyć na pakt o nieagresji (modny ostatnio termin), nie więcej.

Unia Pracy już zadeklarowała na swym zjeździe (12-13 października), że do wyborów pójdzie sama. Ma teraz koherentny program. Jest jedyną formacją lewicową zarówno w społeczno-ekonomicznym jak i kulturalnym sensie. W sonda-

zach odzyskuje pozycje z dobrych czasów.

Unia Wolności nic nie zadeklarowała. Jednak lata płyną i partia ta przestała, choć z trudem, zachowywać się jak Małgosia, która zawsze ma rację. Jedyną możliwością, by Unia Wolności znalazła się w jakiejś koalicji wyborczej z AWS jest interwencja Lecha Wałęsy. Skuteczna. Warunkiem wstępnym takiej skuteczności byłoby najpierw odbicie się ROP od dna i relatywny spadek notowań AWS; i jeszcze musieliby działacze ROP doznać zawrotu głowy od sukcesu i podzielać solidarnościowcom na nerwy. Dużo tych warunków. Najpewniej Unia Wolności też będzie walczyć sama.

Natomiast po uformowaniu się parlamentu obie partie mogą uczestniczyć w rozmaitych koalicjach nawet takich, które dziś wydają się egzotyczne. Oto, na przykład, koalicja z SLD, dostatecznie liberalnym, żeby pasować do Unii Wolności i dostatecznie socjaldemokratycznym, żeby strawiła go Unia Pracy. Każda z Unii objęłaby resorty, na których jej zależy. Możliwe? Możliwe. Ale mało prawdopodobne. Najpewniej obie Unie będą nadal w opozycji a Polska będzie rządzona socjalnie na lewo a kulturalnie na prawo, lub odwrotnie. Ale nie w centrum.

15 października 1996

Krzysztof WOLICKI

P.S.: Rozhulałem się jako prognosta, ponieważ w *Kulturze* (4/1996) przewidziałem, co się stanie po tegorocznej Nagrodzie Literackiej Nobla. Pisałem, że po staremu różnimy się w Polsce poetami: Herbertem i Szymborską z Różewiczem. Szymborska dostała Nobla i oto odezwali się miłośnicy Herberta. Jeden uznał, że Akademia Szwedzka weszła w epokę zniewieściałości i odrzuca spizową cnotę. Inny ogłosił, że jako b. kolaborantka Szymborska powinna przedstawić samokrytykę, odbierając nagrodę. Był to zresztą ten sam pan, który przed rokiem agitował za nieprzyjmowaniem poetki do Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Skutecznie.

Szwedzi nas zresztą pamiętają. Za Reymontem a przeciw Żeromskiemu agitatorzy jeździli ponoć nawet do Sztokholmu.

K.W.

Z ukosa

Rozmawiam z S. On bardziej konserwatywny, ja bardziej liberalny, ale łudzę się, że nasze polityczne odcienie są oprawione w taki sam zdrowy rozsądek. Dogadujemy się, że w wolnej od siedmiu lat Polsce, obaj nie mamy dzisiaj swojej politycznej reprezentacji. Ja próbowałem z „Ruchem stu”, ale liderzy tej partii, Czesław Bielecki i Andrzej Olechowski ciągną w dwie różne strony. Nie mogę być z Olechowskim, który nadal gra na Wałęsę, chociaż zgadzam się z nim, że „Ruch stu” w „Akcji Wyborczej ‘Solidarność’” jest obcym ciałem. Czy mogę być z Bieleckim, który by uwiarygodnić się w oczach prawicy, pisze broszurę polityczną z Andrzejem Ziemkiewiczem, stałym autorem *Gazety Polskiej*? Ziemkiewicz opublikował tam niedawno tekst gloryfikujący „Świętą Inkwizycję”. Mnie na takie kompromisy z brakiem rozsądku nie stać.

Marsze przeciw złagodzeniu ustawy antyaborcyjnej, kroczą w imię obrony życia, a tyle w nich jadu. Ujawniają się on gdy głowa takiego marszu zabiera się do przemawiania, a rozgłośnie transmitują to żałosne gadanie, gdzie rozważa się, kto ma polskie serce a kto go nie ma. Jak nie katolik, to wiadomo, że obcy, nie Polak, bo przecie „dzięki tej wierze jesteśmy Polakami”. Odzywają się krzyki: „precz z Żydami, a to słycać nie tylko na ulicy, a też w katolickich rozgłośniach. Prezydent jest nazywany bandytą, a posłowie liberalni, to dzieci Hitlera. Na wiecach partii ROP Żydom zawsze towarzyszą masoni, a mecenas na to patrzy, a mecenas Olszewski tego słucha, i nic. Jak jego zwolennicy trochę przesadzą, to mówi, że to jest prowokacja. Dlaczego nie powie: „kto się bawi fobiami, sieje nienawiść, nie idzie ze mną”. Czy nie mówi tak, bo niemal wszyscy jego zwolennicy mają owe słabości?

Przerażony Senat odrzuca złagodzenie ustawy głosami ludowców. Dla przewodniczącego „Solidarności” Mariana Krzaklewskiego to znak, że więcej postkomuniści to dobrzy

Polacy. Ludowcy coraz częściej odbywają różne pokuty by zmazać grzechy przeszłości, ale ich sytuacja jest trudna. Choć jest wielka nienawiść do SLD i pogarda SLD do nich, ale tylko ten nienawistny koalicjant zapewnia im to, co dla nich najważniejsze, czyli obfite łupy wojenne. Więc chyba tylko pozornie zbliża się realizacja scenariusza, w którym narodowa prawica i ludowi postkomuniści zejdą się pod sztandarami socjalizmu w gospodarce i Polski dla Polaków. Jest na to coraz większe pole, ale są wielkie przeszkody, praktyczne.

Smalone duby jakie ostatnio prawi przewodniczący „Solidarności” Marian Krzaklewski, drzącym ze wzruszenia głosem, kompromituje „Akcję Wyborczą Solidarność”. Ale oczywiście, jak posłucha się Zygmunta Wrzodaka z Ursusa, który chce Krzaklewskiego zastąpić, to obecny przewodniczący jest przy nim oazą umiaru i kultury. Wrzodaka nawet wstyd cytować. Ta ryba marnuje się dzisiaj w Polsce, trzeba ją wpuścić w brunatną wodę lat 30-tych w Niemczech.

I kto by pomyślał, mamy wolność a dno znowu pokazuje głębę w następnym dniu. Przy ministrze kultury Zdzisławie Podkańskim (PSL), arogancki był minister Kazimierz Dejmek wydaje się aniołem, a pewnie i Podkański wiele zyska, gdy przyjdzie na jego miejsce inna gęba. Po krytykowanym prezesach telewizji, przyszedł Ryszard Miazek (PSL), i wszyscy jego poprzednicy ogromnie wyszlachetniali. Następcą Miazka niemal na pewno każe nam za Miazkiem wzdychać. Czy w finale paradoksów przyjdzie czas, że będziemy płakać po rządach postkomunistów?

Najważniejsza jest jednak gospodarka, która ma się nieźle, ale chyba nie dobrze, bo partactwo nadal się krzewi. Czyli kolejny rok potwierdza prawdę, że tolerancja materii na niekompetencję jest ogromna, ma jednak granice. A czy grozi nam jakaś forma ograniczenia naszej wolności? Nie sędzę. W tym kraju zawsze był potężny magazyn różnych form wolności, to jest owa tradycja szlachecka i żywe myślenie: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie” i „nic o nas bez nas”.

Kiedy idę do kina, spotykam młodą publiczność rozpartą szeroko w fotelach, żującą gumę i popijającą piwo, nie inaczej niż w Paryżu, a twarze tej młodzieży nie mają już blizn przeszłości. To pierwsze pokolenia bez blizn wojny i komunizmu. Ten film irlandzki jest za prosty, ale sympatyczny, o prob-

lemach erotycznych: trzech braci Irlandczyków, oczywiście gorliwych katolików. Nie jest to paszkwil na katolicyzm, ale ironii tam bardzo wiele, i nasza młoda katolicka publiczność znakomicie odczytuje dowcipy i śmieje się z sytuacji pogubienia, jakiej doświadcza wobec erotyki katolik przestrzegający wskazówek kościoła.

Czasami bywam na przyjęciach organizowanych przez właścicieli małych firm, gdzie towarzysko integruje się nasz młody kapitalizm. Widzę jak rośnie polska klasa średnia. Wszyscy są młodzi, mają sporo optymizmu wobec Polski i wiele obaw czy nasza polityka nie zwariuje do końca. Obawiają się partii populistycznych i tego co nazywają „polskim skansenem”. Lękają się też, że szybkie przyłączenie Polski do Europy, może być dla naszej gospodarki groźne.

G., który mieszkał długo w Niemczech, pyta mnie: „Czy nie zauważyłeś, że każdego dnia płacąc za coś natykasz się w Polsce na sprzedawcę, który nie może ci wydać pieniędzy, jeżeli płacisz banknotem wysokiego nominału”. Rzeczywiście tak jest i prawda że takie sytuacje nie zdarzają się na Zachodzie. Tam częścią interesu jest dbałość o drobne. Właśnie to zaniedbanie detalu ujawnia nasze głębinowe problemy. Niechlujstwo polskie dotyczy też businessu. Zbyt wielu ludzi nadal tu myśli, by brać swoje i wiać w krzaki. „Jesteśmy nadal w przedszkolu” – mówi G. – „co to jest profesjonalizm zrozumiałem dopiero po powrocie do Polski, bo tak bardzo go tu nie ma”. Nasi młodzi przedsiębiorcy nie lękają się wielkich firm, ale średniego kapitału, który np. w Niemczech jest tak nieludzko pracowity i sprawny.

Ja do dziś nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, gdy rok temu pokazywano mi w Niemczech jak pracują duże i małe firmy, to szaleńcze, niemal samobójcze tempo i wytrzymałość pracy. Myślałem wtedy o trzeciej wojnie światowej, która może być wojną gospodarczą a jej podboje będą trwałe. Jeśli do takiej wojny dojdzie, nie mamy żadnej szansy. To już naprawdę będą konie przeciw czołgom. Wracając na przyjęcie: wszyscy narzekają, że w Polsce nie ma nawyku solidnej pracy, której tradycja grubiała na Zachodzie przez wieki. Częste i mocne są w tym środowisku opinie antyklerykalne. Ci ludzie wychowani w tradycji katolickiej nie mają nic przeciwko katolicyzmowi otwartemu, ale przeraża ich prymas Glemp i

polscy kler. Są mocno związani z ojczyzną, na ogół już nie chcą emigrować, jednocześnie lekko mówią: „ale to dziwny naród, ci Polacy, liczba szaleńców i pobabrańców psychicznych, przekracza wszelkie dopuszczalne normy”. Opowiadają o problemach ze znalezieniem dobrego pracownika. Ujawniają się chore postawy godnościowe, poczucie że mi się należy, każdy uważa się za Bóg wie co i żąda wielkiej pensji. To wszystko powoduje, że znalezienie człowieka, który byłby sprawną maszyną do pracy, jest w Polsce prawie niemożliwe. Z reguły szuka się pracowników do lat 30, bo starsi są już zwykle niereformowalni.

Na tym samym przyjęciu rozmawiam z Anglikiem, który przebywa czasowo w Polsce. Jakbym czytał wspomnienia Brytyjczyków i Amerykanów z Polski wieku XIX. Już nie sklepy, nie ubrania ludzi ich dziwią, to się zmieniło, ale smutek polskiej ulicy. Zamknięty w twarzach ludzi bez jednego uśmiechu, jakiś głęboko zakorzeniony wyraz zawiedzenia wobec życia i świata. Zauważa też, że ci sami ludzie w domu, zwłaszcza kiedy jest alkohol, nagle rozpromieniają się. Potem jednak biesiadując przy stole zaczynają zajadłą dyskusję, która dla kogoś kto nie zna naszego języka wydaje się kłótnią, która nieuchronnie prowadzi do morderstwa. A to, o dziwo jest zwykła rozmowa.

Zbadano naszą opinię publiczną w sprawie aborcji i okazuje się, że wyraźna większość jest za. Wedle Kościoła robienie takich badań jest niemoralne. Przepytano też starannie nasze dzieci, czyli nastolatki na okoliczność seksu. Wynika z tych badań Sodoma i Gomora, oraz zgrzytanie zębami. Walec liberalizmu sunie nieubłagalnie z Zachodu na Wschód i tylko jakiś cud może go powstrzymać. Krzyczy zupełna bezradność szkoły, Kościoła i rodziców. Młodzi dowiadują się o seksie z wielu źródeł, ale nie w szkole i nie od rodziców. Kościół raczej zamazuje obraz. Tylko 5% ojców twierdzi, że potrafi rozmawiać ze swoimi dziećmi na temat erotyki. Kampania Kościoła przeciw środkom antykoncepcyjnym dała żadne wyniki, gdy chodzi o stosunek do pigułki, natomiast „sukcesem” Kościoła jest to, że te środki są drogie i mało dostępne. Tolerancję co do współżycia przed ślubem deklarowało w latach 80-tych tylko 40% młodych. W roku 1994 już 64%.

Dzisiaj aż 90%! Można więc mówić o rewolucji obyczajowej w młodym pokoleniu. To już nie walec, to liberalna lawina, która sunie z Zachodu na Wschód.

To że obyczajowość zmienia się szybko jak dekoracje w teatrze, czuję na własnej skórze. Jechałem niedawno samochodem z moją młodą przyjaciółką, ona prowadziła swój zgrabny wóz. Nagle przypomniała sobie, że zapomniała zażyć pigułkę antykoncepcyjną. Poprosiła abym ją odnalazł w bezgranicznie obszernej i ciężkiej skórzanej torbie. Co dźwiga w torbie będąca w środku swoich 20 lat polska *businesswoman*? To już zestaw międzynarodowy; telefon komórkowy, tampaxy, nie ma jeszcze zbyt wielu kart kredytowych, jest elektroniczny notes... czuję że tonę w czeluściach torby, ale jest srebrna blaszka z pastylkami. Teraz muszę znaleźć na niej napis „niedziela”, są za małe litery, a taki dobry miałem wzrok, teraz mam jakby gorszy. Czyli ja też już stoję przed wielkim sądem w procesie starzenia się. Wyłuskuję pastylkę i wkładam w soczyste usta kierowcy. Mijamy przedmieścia Warszawy, chaos sztyldów, pokracznej architektury, sprawia wrażenie jakby przez ten rejon przeszło jakieś kolorowe trzęsienie ziemi. Z samochodowego radia płynie polskie BBC. Gdybym tego posłuchał ileś lat temu, byłbym pewien, że świat w następnej dokądzie stanął na głowie i powylały mu z kieszeni zdumiewające rzeczy. Oto mówią, że Afganistan wyrzyna się nawzajem w wojnie domowej, gdzie górą jest fundamentalizm muzułmański, a jeszcze wczoraj pisałem rzewne wiersze o Afganistanie walczącym z imperium. A to imperium nie potrafi pokonać militarnie małej republiki Czeczenii. Lecz gdy bohaterzy górale triumfują, na ruinach swego kraju, wprowadzają nieludzkie islamskie prawa, z chłostą za handel alkoholem, z obcinaniem rąk za kradzież. I co mamy z tym zrobić? My świadkowie z miejsca tak ciężko doświadczonego przez Rosję? Ta Rosja nagle prezentuje się jako nosiciel europejskiego humanitaryzmu. Oto jeden z licznych paradoksów naszego czasu. Słucham też w tym radiu niegdyś moich kolegów z opozycji, którzy mówią językiem dawnych naszych wspólnych wrogów. Ale się porobiło!

Porusza mnie paradoksalność tych zdarzeń do tego stopnia, że czuję jak krępują mnie pasy bezpieczeństwa, a mój kierowca jest niewzruszony. Ona urodziła się za późno by

czuć w tych komunikatach jakieś paradoksy. Zastała świat nie czarno-biały, ale kolorowy, zbyt skomplikowany i relatywny by opowiadać się po jakiejś stronie. I za bardzo nad nim się zastanawiać.

Dotarliśmy do jej rodzinnego domu. Są rodzice, ojciec – wysoki rangą wojskowy, kiedyś patrzyłbym na niego z ukosa, teraz patrzę normalnie. I jest 11-letnia siostra, rezolutna ładna dziewczynka. Pytana przez nas, czy ma chłopaka, mówi, że taki jeden jest jej adoratorem, więc ona też ma do niego skłonność. I jako dowód opowiada: „Wczoraj w szkole podszedł do mnie kolega tego Michała i powiedział mi, że on ma ochotę mnie przelecieć” – mówi dziewczynka nie znając znaczenia słowa. Nieszczęsna matka lewituje nad stołem, a my krztusimy się ze śmiechu. Patrzę na meble, tu są na wysoki połysk, u Niej meble z Ikei. I tak samo jest z myśleniem.

Jestem liberałem w sprawach obyczajowych, ale zanik norm i zasad, który zaczyna królować w najmłodszych generacjach jednak mnie niepokoi. Lecz kiedy słucham zawodzenia bab kościelnych i naszej narodowej prawicy, to myślę, że brak zasad, jeśli w tle nie ma agresji i frustracji, jest mniejszym złem od zasad chorych. Młodzi o sztywnych konserwatywnych poglądach z biegiem lat staczą się w moralny stupor, a młodzi o luźnym gorsecie, stają się w miarę wpływu lat liberalno-konserwatywni.

Środków antykoncepcyjnych nie używała kotka, którą na mojej klatce schodowej dokarmiała staruszka mieszkająca drzwi w drzwi. Kiedy zauważyłem, że kotce zrobił się brzuch, zapytałem kobietę: „no i co to będzie?”.

„Niech pan się nie niepokoi, już ja się tym zajmę” – powiedziała i błysnęła szklami okularów.

Pewnego dnia ujrzałem, że kotka jest znowu chuda, lecz bardzo niespokojna. A sąsiadka miała w obliczu dostojeństwo kata i siostry miłosierdzia zarazem. Kotka miauczała i biegała niespokojnie szukając swoich dzieci. Było coś bardzo ludzkiego w tej nieludzkiej sytuacji. Ktoś do mnie zastukał. To była inna sąsiadka: „czy pan wie co zrobiła ta 80-letnia kobieta? Z zimną krwią zamordowała jej dzieci”. Wskazała na kotkę, która próbowała wcisnąć się do mojego mieszkania, a ja powstrzymałem ją nogą, co nie było grzeczne biorąc pod

uwagę jej dramat. Musiałem jednak w tej rozmowie zająć stronę starszej kobiety, bo skoro nie zastosowaliśmy środków antykoncepcyjnych wobec kociej lokatorki, to „coś” trzeba było zrobić. I rozwinąłem apokaliptyczną wizję mnożenia się kotów, których małe będą miały małe. Dowiedziałem się, że jestem człowiekiem bez uczuć humanitarnych. Najpierw próbowałem wytłumaczyć, że mój humanitaryzm dotyczy ludzi, a mój animalizm uważam za podrzędny wobec humanitaryzmu, co niestety zaświadczam jedzeniem mięsa nie ludzkiego a zwierzęcego. Nie omieszkałem wspomnieć, że sąsiadkę widywałem w sklepie gdzie wisi mięso zamordowanych zwierząt. Sprawa jednak stała się dla niej zbyt skomplikowana, na co nie zareagowała dobrze, więc musiałem się od niej odgrozić swoimi drzwiami. Już po ich drugiej stronie przypominałem sobie, że sąsiadka przecież znęcała się nad swoją matką, i generalnie nie znosi ludzi. Coś trzeba lubić, więc lubi koty. Nie aż tak jednak, by się nimi zająć. Histeryczni obrońcy dzieci nienarodzonych, i życia ludzkiego, niemal zawsze sprawiają wrażenie, że lubią nienarodzonych, a mają jakiś dramatyczny kłopot z narodzonymi, szczególnie z tymi co nieco podrośli.

Nie wiem kiedy zacząłem być wrażliwy na architekturę, czyli na fizyczne otoczenie w którym żyjemy. Jedno pewne, bez tej wrażliwości byłoby mi w Polsce żyć źle. Tu brzydota miast i naszej prowincji idzie w zawody z powszechnym brakiem wrażliwości estetycznej. Urodzeni w śmietniku, nie widzą śmieci. Dramatem była wojna i fatalny czas dla odbudowy i ta nieszczęsna wielka płyta. Lecz nadal jest zagadką czemu w PRL budowano szpetniej niż choćby na Węgrzech czy nawet w Rumunii. Jest w tym rejonie Europy jakiś rodzaj niechlujstwa i braku estetycznej tradycji, na co musiała pracować historia, i coś jeszcze, co próbuję uchwycić, a nie potrafię.

Kiedy oglądam Warszawę z grupą architektów ze Szwecji, a cudze oko sprzyja wyostrzeniu własnego, widzę wyraźnie, że nasza architektura przedwojenna nie odbiegała od standardów zachodnich, dzisiaj jesteśmy gdzieś, nie wiadomo gdzie, ale bardzo daleko. Co się buduje dzisiaj jest lepsze niż za PRLu, nowe techniki i materiały wymuszają lepszy standard. Ale to

są kalki zachodnich kalek, czyli twory kalekie. Warszawa tak okrutnie zniszczona przez wojnę, potem przez wielką płytę, dzisiaj krzewi się budowlami, których będziemy się kiedyś wstydić. Warszawa, miasto prawie bez „miejsc”, miasto przeciągów, po którym nie spaceruje się.

Na Żoliborzu oglądamy nowe małe budownictwo. Architekt odpowiedzialny za dzielnicę, opowiada, że nie dało się w żaden sposób przekonać przyszłych właścicieli by ujednolicił fasady tych budynków, co jest takie ważne dla estetyki. Tu ujawnia się od razu polski, wspaniały, ale też przeklęty indywidualizm. Każdy u nas musi mieć inny dach, inne okna, by pokazać, że jest kimś innym niż sąsiad.

Gdy chodzi o dużą skalę, w ciągu ostatnich lat zbudowano wiele, ale nie powstał ani jeden budynek wybitny. I ani śladu jakiegoś polskiego wzoru, nawiązywania do naszej tradycji, nic. Nie ma też żadnej koncepcji wobec np. Warszawy i myślenia globalnego. Są za to tysiące egoizmów, które szarpia sukno. Po jakimś przyjęciu wychodzę z byłym prezydentem Warszawy Stanisławem Wyganowskim. Jest przerażony stanem korupcji w mieście, i że niemal wszystkie przetargi na działki budowlane są przyznawane za łapówki. Znajomi architekci, niestety, to potwierdzają. A politycy informowani o tym wzruszają ramionami, jakby chcieli powiedzieć, że to cena transformacji.

Spirala kradzieży w Polsce. Do symbolu urasta fakt, że ministrowi spraw wewnętrznych, Zbigniewowi Siemiątkowskiemu ukradziono służbowego peugeota. Żonę tego ministra od tropienia złodziei, sami złodzieje dosyć kulturalnie obalili na ziemię, doznała jedynie lekkich potłuczeń, i odjechali. Kiedy dowiedzieli się czyj to był wóz, wpadli w popłoch i szybko go oddali. Uznano to za dowód operatywności służb podległych ministrowi. To już kolejny przypadek, gdy znika samochód państwowego dygnitarza.

Gdy Sławomir Mrozek wracał do Polski, uciekając przed bandytyzmem w Meksyku i przed gnijącym Zachodem, ostrzegałem, że jak pomieszka w Krakowie, to się rozczaruje, bo prawość, poczucie bezpieczeństwa i świeżość nie są mocną stroną naszej ojczyzny. I już na samym progu Polski okradziono żonę Mrozka, która straciła meksykański dowód

osobisty, co jest dla Mrozków katastrofą, bo nie mogą teraz sprzedać swojej fermy.

Kiedy w czwartek przyszedłem do domu, przeraził mnie wskaźnik ilości komunikatów nagranych na moją sekretarkę. Ile nowych form ma dzisiaj niepokój? A to był dopiero początek lawiny uruchomionej przez Nobla dla Szymborskiej. I jak to się wszystko skomercjalizowało! Taka nagroda musi zostać przemielona przez tysiące młynów, zamieniona na gadanie, gadanie i jeszcze raz gadanie. Niestety wziąłem udział w tym zgiełku, który dotyczył przecież osoby cichej, skromnej, która woli norkę swojego skromnego mieszkania od wielkiej sceny. U artystów pycha przebiera się często w pozory skromności, ale u Szymborskiej to jest autentyczne. Odbyło się wielkie polowanie na Szymborską, z nagonką, z udziałem wielkich i małych mediów. Była wtedy w Zakopanem w domu pisarzy „Astoria”, gdzie spędziłem najbardziej smakowite chwile mojego życia, a gdzie każdy mieszkaniec mniej lub bardziej marzył o tym, co się przydarzyło właśnie Szymborskiej. B. udało się do Niej dodzwonić ze Sztokholmu, bodaj z informacją o nagrodzie. Powiedziała, że nie może nawet uciec w góry, bo pogoda jest fatalna.

Pamiętam Szymborską z dzieciństwa, przyjaźniła się z moimi rodzicami, ale bardziej niż osobę pamiętam kolaże, które przysyłała moim rodzicom, bo takie są zwykle listy poetki. Wycinała ze starych pism tytuły, fotografie i zestawiała je w zabawne i dowcipne formy. Kiedy zesła lawina czasu, tyle zabierając, tyle przynosząc, takie kolaże zaczęły do mnie przychodzić. Odwiedzałem ją sporadycznie w stanie wojennym. Potem byłem Jej współgospodarzem w Sztokholmie, w tym samym Sztokholmie, gdzie przyznano jej w trzy lata później Nobla. Pamiętam jak zrywała się gdy proponowaliśmy Jej by odwiedziła Szwedzką Akademię. Bezgranicznie irytowały ją jakieś aluzje, że może dostać Nobla. W Szwecji miała tylko trzy lub cztery spotkania, raczej kameralne, ale wydawało się, że dla niej to było o cztery za wiele. To, że musi występować na scenie przed publicznością, było dla niej jakąś wielką niezręcznością i wstydem. Ale trzeba przyznać, że Jej męka miała wdzięk Jej wierszy.

Teraz sytuacja Szymborskiej jest trudna. Poezja to jak

najmniej słów. A jak największej ich ilości oczekują *mass media* od noblisty. Szymborska może wyjdzie z tego cało dzięki naturalnej niewinności, ale my, którzy ją znamy, nieustannie wywoływani do świetlnej tablicy *mass mediów*, jesteśmy narażeni na wygłupy w telewizji, w radiu, w prasie i Bóg wie gdzie jeszcze. Przy słowach świetnej poezji jakże żałosne jest to gadanie prozą. A suma wiedzy jaką przekazaliśmy światu, może być mimo dobrych intencji, myląca. Bo wyszło na to, że dla nas stało się dobrze, ale dla poetki Nobel to jest wielkie nieszczęście, które uczyni z jej spokojnego życia istne piekło.

Prawda jest jednak taka, że poeta pisze dla ludzi, a więc ewentualnie też dla ludzkości, co właśnie zostało ogłoszone. Sytuacja jest bez wyjścia, co znakomicie oddaje fragment wiersza Szymborskiej:

*Wolę śmieszność pisania wierszy,
Od śmieszności ich nie pisania.*

SMECZ

Lekcja Białowieży

Miesiące letnie przyniosły obrońcom polskiej przyrody wiele satysfakcji. Uporczywe wysiłki organizacji ekologicznych, znacznej części prasy oraz bardzo wielu ludzi dobrej woli zakończyły się sukcesem. Pod naciskiem opinii publicznej władze Rzeczypospolitej zdecydowały się na zrealizowanie kilku czekających od lat projektów dotyczących zwiększenia ilości Parków Narodowych i powiększenia powierzchni ochronnej terenów o wyjątkowej wartości przyrodniczej. Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 16 lipca 1996 (*Dziennik Ustaw* 93/1996) powiększona została powierzchnia Białowieskiego Parku Narodowego, utworzono Narwiański Park

Narodowy (Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 1 lipca 1996, *Dziennik Ustaw* 77/1996), Park Narodowy „Bory Tucholskie” oraz powiększono powierzchnię Karkonoskiego i Pienińskiego Parku Narodowego (Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 14 maja 1996, *Dziennik Ustaw* 64/1996).

Te jakże ważne dla społeczeństwa decyzje zostały przyjęte przez prasę nie bez pewnej dozy gorzkości. Obszar Białowieskiego Parku Narodowego został powiększony do 10501,95 ha i nadal obejmuje zaledwie około dwudziestu procent powierzchni polskiej części Puszczy. W dodatku tereny nowo przyłączone do Parku Narodowego nie mają na razie charakteru rezerwatu ścisłego. Podobnie jak w przypadku Narwiańskiego Parku Narodowego dopuszczony będzie w wyznaczonych miejscach np. zbiór roślin dziko rosnących. Zważywszy, że ochroną gatunkową objętych jest zaledwie część (około dwustu) spośród 418 gatunków roślin wyższych znajdujących się w Polskiej Czerwonej Księdze, podobne zastrzeżenie pozostawia pod znakiem zapytania przetrwanie części siedlisk gatunków przyrodniczo szczególnie cennych. Dotychczasowa praktyka władz wobec Puszczy pokazuje, iż trudno jest liczyć na to iż przy wyznaczaniu owych miejsc zbioru czynnikiem decydującym będzie troska o przyrodę. Tym bardziej iż jak informuje *Gazeta Wyborcza* (22.07.1996) zaledwie kilka dni po podjęciu decyzji o powiększeniu Białowieskiego Parku Narodowego dokonano kolejnych wycięć 150-letnich dębów na terenie leśnego kompleksu promocyjnego, którego celem zgodnie z ministerialnymi deklaracjami jest ochrona starodrzewia.

Dyskusja na temat ochrony Puszczy Białowieskiej i polskiej przyrody wywołała wiele kontrowersji. Jest oczywiste, że wobec stanu środowiska naturalnego i jego konsekwencji dla jakości i długości życia Polaków, jak i wysokiego poziomu poczucia ekologicznego zagrożenia, podobne konflikty będą się powtarzać przynajmniej do czasu wypracowania i realizacji nowoczesnej polityki ochrony przyrody. Jakie wnioski można wyciągnąć z polemiki ostatnich miesięcy?

Należy zauważyć iż niestety edukacja ekologiczna pozostawia w Polsce delikatnie mówiąc wiele do życzenia. Konieczne jest jak widać prowadzenie wieloletnich „bojów” nawet w sprawie tak oczywistej jak ochrona Białowieży. Często nawet obrońcy przyrody nie uświadamiają sobie w pełni np. ścisłego związku pomiędzy polityką ochrony przyrody, stanem lasów, jakością powietrza i stanem zdrowia ludności.

Zazwyczaj w deklaracjach dotyczących ekologii zapomina się także, że ochrona przyrody związana jest z licznymi konfliktami interesów, a także kosztami. Zbyt rzadko mówi się o tym, że podobne decyzje trudno oszacować w kategoriach doraźnych zysków ekonomicznych choć przecież są to „inwestycje” wręcz niezbędne, których znaczenie docenić będą mogły dopiero przyszłe pokolenia. Przeglądając prasę i liczne listy czytelników można także odnieść wrażenie iż opinia publiczna nie docenia niektórych zagrożeń środowiska naturalnego. Jakże często proponowano aby politykę eksploatacji drzewa zastąpić rozwojem turystyki, choć przecież polityka turystyczna w tak unikalnym regionie jak Białowieża musi być prowadzona z najwyższą ostrożnością i nastawiona raczej na kwalifikowaną turystykę przyrodniczą niż na masową rozbudowę rekreacyjnej infrastruktury. Już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Rada Naukowa Białowieckiego Parku Narodowego postulowała ograniczenie ruchu turystycznego, który oceniano jako poważne zagrożenie puszczańskiej przyrody. Braki w przyrodniczej edukacji są tym trudniejsze do zrozumienia zważywszy na fakt, że Polska jest jednym z pierwszych państw na świecie, które już w 1933 roku wprowadziły problematykę ochrony przyrody do szkolnych programów nauczania. W dodatku liczne są przecież w Polsce wysokiej jakości publikacje popularnonaukowe, artykuły prasowe oraz audycje telewizyjne i radiowe.

Niezbędnym wydaje się także wypracowanie przez administrację państwową swoistego *modus vivendi* rozwiązywania lokalnych konfliktów. Nie jest to problem łatwy, zważywszy, że utworzenie Parku Narodowego, rezerwatu czy rozszerzenie ochrony gatunkowej prawie zawsze narusza interesy ekonomiczne miejscowej ludności. Problem nie jest nowy, wystarczy choćby przypomnieć, że w Białowieży „miejscowe układy” doprowadziły w okresie międzywojennym do opuszczenia dykcji Białowieckiego Parku przez jednego z najwybitniejszych polskich przyrodników, znanego z bezkompromisowości profesora Józefa Paczoskiego. Zważywszy, że tereny o szczególnych walorach przyrodniczych często znajdują się w sferach ostrego kryzysu ekonomicznego, konieczne jest wypracowanie systemu rekompensat dla miejscowej ludności. W przypadku dyskusji dotyczącej Białowieży można było odnieść wrażenie, że organa administracji państwowej nieraz wręcz „dolewały oliwy do ognia” i jakby celowo starały się zwiększyć poczucie zagrożenia mieszkańców okolic Parku

Narodowego zamiast dokładać starań do złagodzenia konfliktu i skoncentrować się na wypracowaniu alternatywnej propozycji.

Zła wola czynników decyzyjnych tak często w przypadku problemu białowieckiego opisywana przez prasę prowadzi do jeszcze jednego wniosku. Otóż system prawny chroniący przyrodę powinien być tak skonstruowany aby pozostawić jak najmniej miejsca na dowolną interpretację przepisów ochronnych. Dlatego też szczególnie ważne jest zabieganie o to aby poważna część nowych Parków Narodowych miała charakter rezerwatów ścisłych jak również o powiększenie listy gatunków objętych całkowitą ochroną.

Omawiane decyzje ostatnich miesięcy są, co należy jeszcze raz podkreślić, dużym sukcesem. Statut ochronny uzyskało kilka bezcennych i coraz radszych w Polsce terenów o szczególnych walorach przyrodniczych. Można mieć nadzieję, że polityka polska uzyska nowy wymiar w dziedzinie ekologii. Należy także docenić znaczenie i siłę prasy oraz społecznych organizacji, rola jaką odegrały te instytucje w sprawie Białowieży jak i ich częściowe zwycięstwo dobrze świadczą o polskiej demokracji.

Niestety obecny status Puszczy Białowieckiej trudno uznać za zadowalający. Nadal zbyt mała część Puszczy jest chroniona. Niezadowolający jest także status (ochrona nieścisła) nowo przyłączonych terenów. Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 16 lipca 1996 nie doprowadziło jednak do pomyślnego zakończenia „białowieckiego konfliktu”.

Piotr DASZKIEWICZ

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Na pierwszej stronie tygodnika *Moskowskije nowosti* tytuł: "Głodujący akademik". Pod tytułem widnieje fotografia dyrektora Zjednoczonego Instytutu Fizyki Ziemi, członka rzeczywistego Rosyjskiej Akademii Nauk Władimira Strachowa. Wybitny uczony ogłosił głodówkę na znak protestu przeciw wyniszczaniu nauki rosyjskiej. "Wszystkożerna świnia mafijnego kapitalizmu – wyraził się profesor – już chrupie kości rosyjskiej nauki". Głodujący akademik jest zjawiskiem rzadkim. Natomiast wiadomości o głodówkach i strajkach robotników i urzędników płyną ze wszystkich stron Rosji: z Dalekiego Wschodu, z Północy, z guberni centralnych... Strajki są we wszystkich krajach świata zjawiskiem normalnym. Jednak powód obecnej fali strajków rosyjskich jest wyjątkowy. Świat pracy domaga się wypłaty zaległych poborów. Wiele przedsiębiorstw i fabryk od miesiący nie płaci pracownikom pensji. Po pierwsze dlatego, że państwo nie jest w stanie wyegzekwować podatków. Nie ma więc pieniędzy, a drukować pustych banknotów nie chce w obawie przed inflacją. Jest i druga przyczyna, choć zdarza się rzadziej: przeznaczone na wypłaty pieniądze idą na prywatne konta bankowe, gdzie obracają nimi nieuczciwi dyrektorzy czerpiąc z tego pokazne dochody. To właśnie jest "wszystkożerna świnia mafijnego kapitalizmu".

Już wiosną i latem zapowiadano zbliżający się jesienny kryzys. Wydawało się, że zwycięstwo Borysa Jelcyna w wyborach zdoła mu zapobiec. Jego choroba spowodowała, że wybuchł. Rosja znalazła się w pół-przysiadzie, pozycji, którą Lech Wałęsa uważa za najbezpieczniejszą. Ale jest to pozycja

najwyżej na pół roku. Data operacji prezydenta nie jest jeszcze znana. Zdecydował się koniec końców operować i to wyłącznie w Moskwie. Rosyjscy lekarze nie chcą jednak wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Kiedy zachorował Lenin, kategorię odmówił oddania się w ręce lekarzy komunistów, uważając, że należy wybierać albo jedno, albo drugie. Jelcyn nie chce wyjeżdżać na operację: szuka się więc możliwego wyjścia z sytuacji. Jeśli zabieg się powiedzie, konwalescencja będzie wymagała jednego do dwóch miesięcy.

Drugi wariant – operacja się nie powiedzie – pociągnie za sobą nowe wybory i nową trzymiesięczną kampanię wyborczą. Wracamy do tych samych sześciu miesięcy.

Kryzys gospodarczy. Kryzys społeczny. Kryzys kultury. Przede wszystkim jednak kryzys polityczny. Prezydent w szpitalu, kandydaci na jego miejsce coraz zważniej przesuwają figury na szachownicy politycznej. Uwagę zwraca przede wszystkim generał Lebień. Wcisnął się w wąski krąg polityków, by pod koniec sierpnia wysforować się na jego czoło, jeśli chociaż o kapitał zaufania u obywateli rosyjskich. Sondażę są we wszystkich krajach wskaźnikiem wątpliwym, co dopiero w Rosji. Jakieś wyobrażenie o nastrojach jednak dają. W sierpniu 1996 roku 34% indagowanych stwierdziło, że generałowi Lebieńowi ufają. Ośrodek, który przeprowadzał ten sondaż (WCIOM) zauważa, że wyższym stopniem zaufania cieszyli się tylko Gorbaczow w apogeum pieriestrojki (51%) i Jelcyn po zwycięstwie nad sierpniowym puczem 1991 roku (72%). Giennadij Ziuganow, który zajął drugie miejsce po generale Lebień, zdobył 16% zaufania.

Socjologowie, którzy przeprowadzali ten sondaż stwierdzają, że zaufanie do Lebień wyrażają wyborcy wszystkich kierunków politycznych: 48% osób, które głosowały na demokratę Jawlinskiego, 45% zwolenników Jelcyna, 44% zwolenników Żyrynowskiego.

Gdyby wybory odbywały się wkrótce, popularność Aleksandra Lebień mogłaby mieć duże znaczenie. Wiadomo jednak, że łaska narodu na pstrym koniu jeździ. Przeciwnicy charyzmatycznego emerytowanego generała – zarówno w rządzie jak w opozycji – przypuścili skoncentrowany atak na sekretarza Rady Bezpieczeństwa. Głównym przedmiotem ataku jest zakończenie wojny w Czeczenii. Pismo *Zawtra*, które

wczoraj nazywało się "gazetą duchowej opozycji", a dziś zmieniło nazwę na "gazeta państwa rosyjskiego", wygraża: "Ani na chwilę nie zapomnimy: on pierwszy ugodą z Czeczenią rozpoczął rozpad Rosji, rozpałił nad nią krwawą łunę separatyzmu, rozboju i rozłamów... W wyniku jego umiłowania pokoju płomień ogarnia Kaukaz i Powołże, trzeszczeć zaczyna Jakutia i tereny nadmorskie...". Kiedy generał Lebied' ogłosił w Dumie, że podpisał zawieszenie działań wojennych w Czeczenii, minister spraw wewnętrznych Kulikow ubolewał: "Idziemy nie za mądrymi wskazówkami Kutuzowa, lecz za przestępczą polityką autorów układów monachijskich, architektów drugiej wojny światowej. Patos takich fałszywych zbawień leży u podstaw wszystkich kapitulantów od Pétaina do Własowa".

W przeddzień wyborów Borys Jelcyn zrozumiał, że czas kończyć wojnę w Czeczenii. Zadanie to powierzył Aleksandrowi Lebiediu. Jego niespodziewanie szybki sukces postawił przeciw niemu zwolenników wojny i potencjalnych kandydatów na fotel prezydencki. Sukces Lebiedia zamienił się w ciężar, który musi teraz nieść, nie mając za plecami żadnej partii, żadnego ruchu, żadnego oparcia finansowego. Jego główną słabością jest jednak brak pola działania. Prezydent porучzył mu "rozwiązanie kwestii czeczeńskiej". Z zadania się wywiązał i teraz nie ma nic do roboty. Na brukselskie rozmowy o rozszerzeniu NATO pojechał raczej jako osoba prywatna. Polityka zagraniczna leży w gestii prezydenta, który ma ministra spraw zagranicznych. Aleksander Lebied' jest tylko sekretarzem Rady Bezpieczeństwa, organu doradczego, którego funkcje Jelcyn bardzo ograniczył po mianowaniu na jej czoło Lebiedia.

Aleksander Lebied' szuka sojuszników. W Moskwie mówi się ostatnio, że zbliżył się z byłym naczelnikiem ochrony prezydenckiej, generałem Korżakowem, którego Jelcyn odsunął. Reputacja Korżakowa, oskarżonego o korupcję, kradzieże itd., nie może dodać blasku kandydatowi na stolec prezydencki, ale w polityce wszystko jest możliwe...

Za naturalnego następcę prezydenta uważa się premier Wiktor Czernomyrdin.

Jeśli prezydent nie jest zdolny do pełnienia swej funkcji, premier staje się regentem i organizuje wybory. Już ta

prerogatywa daje mu pierwszeństwo. Za Czernomyrdinem stoi potężny TEK, kompleks paliwowo-energetyczny. Ze wszystkich możliwych kandydatów Czernomyrdin jest najbardziej milczący. Wobec Borysa Jelcyna zachowuje formalnie niezłomną lojalność. Na zapleczu jednak i on szuka sojuszników. Obserwatorzy byli zaskoczeni, że Duma bez oporów ponownie zatwierdziła Czernomyrdina na stanowisku premiera. Do rządu swego powołał komunistę Amana Tulajewa i powierzył mu tekę związków z krajami NWG. Tulajew nie jest "byłym komunistą" – tych w rządzie jest ogromna większość – lecz komunistą obecnym, wiernym wyznawcą ideologii komunistycznej. Także burmistrz Moskwy Jurij Łużkow stanął do kampanii wyborczej. Potępia on surowo Lebiedia za zakończenie wojny w Czeczenii i stara się stworzyć sobie poparcie w regionach. W Petersburgu mówi się, że Anatol Sobczak nie bez udziału Łużkowa przegrał wybory na burmistrza drugiego miasta Rosji.

Jeśli wybory odbędą się niedługo, Giennadij Ziuganow ma bardzo poważne szanse na zwycięstwo. Jego porażka w wyborach nie doprowadziła – wbrew przewidywaniom wielu obserwatorów – do rozpadu komunistycznej partii Rosji, nie ucierpiał też prestiż jej wodza. Ludzie zaczęli do niego przywykać. Jest mało prawdopodobne, by udało się po raz drugi oprzeć kampanię wyborczą na motywie "zagrożenia komunistycznego", tym bardziej, że przywódcę komunistów zaczynają popierać ci, bez których nikt jeszcze nie zwyciężył, mianowicie "władcy dusz", czyli inteligencja. O naturze i wymowie ich poparcia można się czegoś dowiedzieć z rozmowy, jaką Aleksander Prochanow, naczelnny redaktor *Zawtra*, przeprowadził z filozofem Aleksandrem Zinowiewem. Polskiemu czytelnikowi zbyteczne przedstawiać autora "Przepastnych wyżyn" i "Świetlanej przyszłości". W 1975 roku dostałem maszynopis "Przepastnych wyżyn", który długi czas bezskutecznie tułał się po zachodnich wydawnictwach. Napisałem entuzjastyczny list do Jerzego Giedroycia, proponując mu wydanie książki. Redaktor opublikował notatkę, która była pierwszym zwiastunem, że pojawiła się wybitna analiza systemu sowieckiego. Co nastąpiło potem, należy do historii. Wydanie kolejnych książek, sława, stopniowa zmiana nastrojów i poglądów Aleksandra Zinowiewa. Oto, co mówi dziś...

Tytuł (*Zawtra*, nr 39, 1996) podaje główną myśl filozofa: "Państwu potrzebna jest ideologia". Ideologia ta, zdaniem Zinowiewa, powinna być komunistyczna. Nie należy jednak zapominać, podkreśla filozof, że "ruchu komunistycznego, idei komunizmu nie wymyślili marksiści. Już u Chrystusa znajdziemy wszystkie główne elementy komunizmu. Potem Tomasz Morus, Campanella itd.". To, naturalnie, nie Zinowiew wymyślił, ale myśl o chrześcijańskich korzeniach komunizmu może się przydać do stworzenia ideologii państwowej. U podstaw tej ideologii musi leżeć partia. "Dlaczego popieram Ziuganowa? - zapytuje Zinowiew. - Partia, która za nim stoi, jest elementem państwowości". Następnie Zinowiew oświadcza, że "nie istnieje ani jedno współczesne państwo zachodnie, które nie opierałoby się na partii". Rosji zaś partia potrzebna jest szczególnie, bo "Rosjanin to w ogóle specjalny człowiek. Jedyny na świecie - człowiek wolny, uwolnij go tylko od norm postępowania, dopiero się zacznie!"

Aleksander Prochanow przypomina zacytowaną wyżej rozmowę i zauważa, że jego rozmówca był wtedy pogrążony w czarnej melancholii, w przyszłość patrzył z głębokim pesymizmem. Tym razem natomiast jest raczej optymistyczny. Dlaczego? "Dostrzegłem nagle - odpowiada filozof - że Rosja jest w stanie skonsolidować siły, i to skonsolidować je bardzo poważnie. Pojawił się przywódca godzien szacunku. Ziuganow to poważna sprawa". Aleksander Zinowiew nie przestaje wynosić go pod niebiosa: "Znam Ziuganowa od dawna i nadzwyczaj wysoko go cenię jako przywódcę politycznego. Myślę, że na obecnej rosyjskiej arenie politycznej Giennadij Ziuganow jest postacią najwybitniejszą. Ma on wysoki potencjał intelektualny, jest wykształconym działaczem politycznym, stoi za nim najmodniejsza w dzisiejszej Rosji partia polityczna, prawdziwa partia, a bez partii żadna indywidualność nie może być poważną postacią polityczną". Po chwili znów wraca do Ziuganowa: "Ziuganow jest człowiekiem wykształconym, zawodowym pracownikiem aparatu władzy, ma obok wykształcenia fizycznego-matematycznego także wykształcenie filozoficzne, to bardzo szczęśliwe zestawienie". I znowu: "Jestem przekonany, że najwybitniejsza postać w dzisiejszej polityce - to Ziuganow".

Historia zna wiele przypadków, kiedy "ludzie myśli"

zakochują się w "ludziach czynu". Znane są też przypadki czynnego udziału ludzi kultury w życiu politycznym. W tym samym numerze *Zawtra* ukazała się niewielka notatka pod wymownym tytułem "Limonow brutalnie pobity". Czytelnik dowiaduje się z niej, że 18 września koło szóstej wieczór czasu moskiewskiego został przymknięty i mocno pobity wódz partii nacjonal-bolszewickiej Edward Limonow. Limonow w swoim czasie żywo współpracował z pismem *Zawtra*. Potem Prochanow pokłócił się z nim. Notatka jest przeto sucha, lakoniczna i podkreśla: "Limonow - teoretyk 'silnej ręki' - sam padł ofiarą wzrastającego w Rosji terroru politycznego". "Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało", powiedziałby Moliere.

Aleksandra Zinowiewa łączy z Edwardem Limonowem pewien szczegół. Limonow na konferencjach prasowych "nie twierdzi, lecz przypuszcza, że napaści na niego dokonały struktury bliskie generałowi Lebediowi i na jego polecenie". Dla Zinowiewa nie ulega kwestii, że jeśli wyniki wyborów prezydenckich zostałyby podważone, "na straży stałby Lebed', który każdego buntownika po prostu utopi albo zadusi, nie wahając się ani chwili".

Dawni Rzymianie mawiali: "Czasy się zmieniają, a my wraz z nimi". Sałytkow-Szczedrin tłumaczył: "Po rosyjsku znaczy to tyle: kapelmistrz zmienił tempo, zatańczymy więc inaczej...". Wielkiemu satyrykowi nie przyszło do głowy, że kiedy nagle zabraknie kapelmistrza, tancerze będą go gorączkowo szukać, gotowi za pulpitem dyrygenckim postawić byle kogo.

15.10.1996

Adam KRUCZEK

Kronika kulturalna

Recepcja literatury polskiej we Francji – uwagi wydawcy

W ciągu ostatnich miesięcy miałam okazję dwukrotnie zabrać głos na temat odbioru polskiej literatury we Francji na zaproszenie dwóch uniwersytetów francuskich: w Lille (Université Charles de Gaulle) z okazji międzynarodowego sympozjum „La littérature polonaise en France et ailleurs”, które odbyło się w dn. 15 i 16 listopada 1995 i w Marne la Vallée, na spotkaniu z absolwentami Ośrodka Studiów Europejskich (Centre d'Etudes Européennes), które miało miejsce 14 lutego 1996. W Lille, na życzenie organizatorów, uwagi moje dotyczyły głównie aspektów raczej technicznych problemu, takich jak kryteria selekcji tytułów przeznaczonych do publikacji, wysokość nakładów, kosztu fabrykacji i kalkulacja ceną książek, dystrybucja, rezultaty sprzedaży, recenzje w prasie literackiej, promocja, kontakty z bibliotekami, itp. Na uniwersytecie w Marne la Vallée, uwagi o recepcji literatury polskiej we Francji na prośbę słuchaczy, rozszerzone były na inne kraje Europy środkowo-wschodniej.

W sumie, mimo wrażenia, że cyfry i fakty, które podawałam w ten sposób do publicznej wiadomości, były jak przysłowiowy kubek zimnej wody wylany na głowy słuchaczy, nie znalazłam się pod pręgierzem zawiedzionych, wręcz odwrotnie, zachęcono mnie do częstszych tego rodzaju wystąpień, gdyż, jak mi zakomunikowano, są to sprawy całkowicie nieznane tak wykładowcom literatury polskiej i innych „langues-o” we Francji, jak i studentom oraz czytelnikom zachodnim i krajowym.

Czyżby dziewiczy teren zatem? Czyżby nikt nie pamiętał,

że przeszło czterdzieści lat temu wypowiedział się na temat miejsca literatury polskiej na świecie – jak odważnie, jak błyskotliwie – Witold Gombrowicz? Wystarczy otworzyć tom I „Dzienników” (1953-1956). Już na drugiej stronie rozdziału pierwszego (cytuję tekst wg wydania z 1971 roku, trzeciego z kolei, przez Instytut Literacki, tom 205 Biblioteki „Kultury”) czytamy:

„Artykuł Lechonia w *Wiadomościach* pt. 'Literatura polska i literatura w Polsce'. Jak dalece to może być szczerze? Wywody te zmierzają jeszcze raz (ach, już tyle razy!) do wykazania, że równi jesteśmy najlepszym literaturom światowym – równi, ale zapoznani i niedocenieni! Pisz (a raczej mówi, gdyż był to odczyt wygłoszony w Nowym Jorku dla tamtejszej Polonii):

'Nasi uczeni w piśmie przez to, że przeważnie tylko polskim zajęci, nie mogli spełnić zadania wyznaczenia naszej literaturze właściwego miejsca wśród innych, znalezienia światowej rangi dla naszych arcydzieł... (...) równych największym na świecie, przekonać ich, że ta poezja jest z tego samego metalu, tej samej najwyższej próby co Dante, Rasyń i Szekspir'. (...)

I tak dalej. Z tego samego metalu? To chyba niezbyt udało się Lechoniowi. (...) Byłże Mickiewicz mniejszy od Danta? Jeśli już mamy oddawać się tym pomiarom, powiedzmy, że oglądał on świat z łagodnych wzgórz polskich podczas gdy Dante wyniesiony został na szczyt potężnej góry (z ludzi złożonej), z której inne otwierają się perspektywy. Dante, nie będąc może 'większy', wyżej był umieszczony: dłatego góruje”.

Nie wiem, czy „Dziennik” Gombrowicza jest dzisiaj lekturą obowiązkową w szkolnictwie polskim, ale jestem przekonana, że powinien być. Jako środek kuracyjny, zbawienny w leczeniu bólaczek polskiego organizmu społecznego, od których czym prędzej muszą uwolnić się młode pokolenia.

Moi słuchacze w Marne la Vallée oczekiwali ode mnie uwag mniej teoretycznych niż konkretnych, jednym słowem uwag wydawcy borykającego się z trudnościami zadania na co dzień.

Z krótkiego zarysu historycznego wynika, że oprócz wielkich Rosjan z ubiegłego stulecia (Dostojewski, Tołstoj,

Czechow, Turgieniew), a dzisiaj Solżenicyna (jutro zapewne przyjdzie kolej na wielkiego Andrieja Płatonowa, którego główne dzieła, nareszcie integralnie dostępne, przygotowuje właśnie do druku w Paryżu). W świadomości czytelnika zachodniego, poczytne miejsce w Panteonie literatury światowej, obok kilku Rosjan z okresu terroru sowieckiego, jak Bułhakow, Babel, Pasternak, Achmatowa, Cwietajewa czy Groszman, zajmują również pisarze niemieckojęzyczni z obszarów byłego imperium austro-węgierskiego (np. Stefan Zweig, Robert Musil, Joseph Roth, Artur Schnitzler czy oczywiście, Franz Kafka). Wygląda na to, że są oni bardziej czytelni dla Zachodu niż pisarze krajów, które znajdowały się pod wpływami cesarstw otomańskiego i rosyjskiego. Na przykład wybitny pisarz chorwacki Mirosław Krleža jest we Francji zupełnie nieznany, chociaż najwybitniejsze jego powieści zostały przełożone i wydane w latach sześćdziesiątych przez tak prestiżowe domy wydawnicze jak Le Seuil czy Calmann-Levy. Bośniacki laureat Nagrody Nobla z roku 1961, Ivo Andrić, choć szeroko wydawany, też nie wpisał się głębiej w zachodnią pamięć literacką. Dużo łatwiej „przyjęli się” pisarze czescy czy węgierscy z przełomu stulecia czy lat dwudziestych i trzydziestych naszego wieku, jak Jaroslav Hašek, Karel Čapek, Krudy, Kosztolnyi, Milan Füst czy Sandor Marai (ten ostatni, zmarły kilka lat temu na emigracji w Stanach, bardzo przychylnie przyjmowany jest obecnie we Francji). Ogólnie mówiąc, tradycje habsburskie wydają się bardziej „nośne” na Zachodzie niż południowo-słowiańskie.

Bariera języka stanowi na pewno jedną z głównych przeszkód w osiągnięciu uznania międzynarodowego dla autorów tworzących w języku rodzimym, jeśli nie jest nim jeden z trzech głównych języków komunikacji światowej (angielski, francuski, niemiecki). Joseph Roth i Józef Wittlin, urodzeni jeden i drugi w 1896 roku w małym miasteczku na Podolu, dzielili podobno tę samą ławę szkolną. Można się zastanawiać czy Roth doszedłby do tych samych sukcesów gdyby zamiast po niemiecku pisał po polsku lub, dajmy na to, w yidish? Czy sławni Rumuni, Ionesco i Cioran, staliby się równie sławni pisząc w języku rodzimym zamiast po francusku? Teatr Mrożka często porównywalny jest z teatrem Ionesco, lecz nie osiągnął, mimo sukcesów, tego samego rozgłosu. Nawet

Milan Kundera przeszedł ostatnio z czeskiego na francuski, chociaż jest jedynym pisarzem środkowo-wschodnioeuropejskim, któremu udało się uzyskać szeroką audiencję światową (tzw. wyjątek potwierdzający regułę). W wypadku Kundery nie należy jednak zapominać, że nie tylko wywodzi się z kręgu tradycji habsburskich (o czym była wyżej mowa), ale jego rodowód duchowy sięga francuskiego racjonalizmu epoki Oświecenia spod patronatu Denis Diderot.

Przejdźmy jednak do literatury polskiej, której „kształt ducha”, jak pisze Gombrowicz, „wykuł sto lat temu litewski poeta”. Szukając dzieła które zapisało się w historii literatury jako prawdziwy sukces światowy, widzę tylko „Quo Vadis” Sienkiewicza, powieść za którą otrzymał w 1905 roku Nagrodę Nobla. Jeszcze w latach pięćdziesiątych książka ta znajdowała się na półkach biblioteki każdego szanującego się mieszczańskiego domu francuskiego. W okresie międzywojennym podobno szeroko był czytany we Francji Ossendowski, ale dzisiaj na próżno szukać jego nazwiska w dostępnych słownikach czy przewodnikach encyklopedycznych literatury światowej. Pewną poczytnością cieszyli się w swoim czasie Ferdynand Goetel i Sergiusz Piasecki, jeden i drugi są obecni zresztą w aktualnym „Słowniku pisarzy” Lafont-Bompiani a „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” Piaseckiego, kilka lat temu wydany w nowym tłumaczeniu przez wyd. Noir sur Blanc, uzyskał pochlebne recenzje w prasie francuskiej. Na stałe zapisał się w pamięci literackiej Francji Jan Potocki, ale czy można go uważać za pisarza polskiego, skoro pisał po francusku? To samo z Miłoszem, oczywiście Oskarem, z którym nazwisko to kojarzy się automatycznie pierwszemu z brzegu wziętemu na spytki Francuzowi. W jednym z zeszytów rocznych numerów *Literatury na świecie* (nr 8-9, 1995, str. 228) wpadłam na ciekawą rozmowę polskiego tłumacza literatury niderlandzkiej Andrzeja Dąbrowski z holenderskim pisarzem Willemem Frederikiem Hermanssem, który, zagadnięty o osobiste kontakty z Polską i polską literaturą, cytuje trzy nazwiska: Jan Potocki, Oskar Miłosz i Stefan Themerson. Kilka wierszy Oskara Miłosza sam przetłumaczył. O Janie Potockim mówi: „Był to człowiek godny współczucia. Tacy ludzie pozostają w izolacji ze względu na swoje egzotyczne pochodzenie. We Francji zainteresował się nim Roger

Caillouis, który odkrył ponownie „Rękopis znaleziony w Saragossie”. Ktoś dokonuje takiego odkrycia i przez jakiś czas ludzie mówią: o tak, jakie to piękne. Francuzi jednak nie uważają tego za literaturę francuską, więc zostaje to zepchnięte na drugi plan”. Najbardziej zaskoczyła mnie jednak wzmianka o Themersonie, którego nigdy nie czytałam. W przewodniku encyklopedycznym „Literatura polska” (PWN, Warszawa 1985) pod hasłem „Themerson Stefan” czytam między innymi: „Pozycję lit. zdobył jako autor powieści groteskowo-filozoficznych, ogl. w ang. i pol. wersji językowej, w Londynie i w kraju. (...) Wobec problemów współczesności T. zajmuje postawę oświeceniowego sceptyka i racjonalisty, tropiącego absurdy i paradoksy ukryte w pozornie logicznym porządku ludzkiego świata”. Po tych informacjach można lepiej zrozumieć dlaczego Hermans napisał esej o Themersonie, opublikowany jako wstęp do niderlandzkiego tłumaczenia powieści „Cardinal Polatüo” w 1967, przełożonej w 1968 na francuski, w 1969 na włoski i w 1971 na polski (WL, Kraków). Skądinąd, kolejność tych przekładów też daje do myślenia.

Wracając do języka twórczości z punktu widzenia pojęcia rodzimość/światowość jako antynomii, jest to poważny problem dla większości tzw. „małych” narodów. W wyżej wspomnianym wywiadzie udzielonym swojemu polskiemu tłumaczowi na krótko przed śmiercią (Hermans zmarł w 1995 roku), Holender skarży się na „niepohamowany wpływ angielskiego”. Mówi: „W Holandii, i we Flandrii również, ledwo wyrwano się spod wpływów francuskiego, a już zaczyna się wszystko zangielszczać”. No cóż, w sumie w najszcześniejszej sytuacji zdają się znajdować Irlandczycy – pisząc po angielsku tworzą mimo wszystko literaturę irlandzką i nikt im tego nie kwestionuje.

Piszący po polsku Gombrowicz, który za zadanie sobie postawił „wzbic się ponad Polskę” i któremu się to udało (ale ile musiał się napracować, ile wstępów i komentarzy do własnego dzieła zredagować), wszedł do Panteonu literatury europejskiej. Tak samo jak Bruno Schulz. I nie ulega wątpliwości, że na swój sposób Witkacy, a dzisiaj Czesław Miłosz czy Gustaw Herling-Grudziński na trwałe wpisali się w karty jej historii.

Jednakowoż, dla wydawcy zachodniego, literatura środka i wschodu Europy pozostaje literaturą o wyjątkowo słabym potencjale sprzedaży. Wokół roku 80-tego a następnie 89-ego (kiedy cały świat gorączkowo śledził wydarzenia w Polsce i następnie załamanie się całego bloku komunistycznego), przy pierwszym nakładzie kształtującym się wokół 4.000 egzemplarzy, sprzedaż niektórych książek osiągnęła we Francji szczytowe jak dla tych literatur rezultaty (przeszło 7.000 sprzedanych egzemplarzy „Króla Obojga Sycylii” Kuśniewicza, przeszło 6.000 – „Obsługiwałem angielskiego króla” i „Zbyt głośnej samotności” Bohumila Hrabala i zbioru nowel Tatiany Tołstoj, ok. 5.000 sprzedanych egzemplarzy „Małej Apokalipsy” Konwickiego i „Błazna cesarza” Jaana Krossa, ok. 4.000 sprzedanych egzemplarzy „Umschlagplatzu” Jarosława Marka Rymkiewicza. W tym okresie średni rezultat sprzedaży książki przełożonej z jakiegokolwiek języka Europy środkowo-wschodniej wynosił około 2.000 egzemplarzy. Do tego dorzucić należy sprzedaż tych samych tytułów – po dwu latach eksploatacji wydania oryginalnego – w seriach „kieszonkowych” (*livres de poche*), tak jak „Biblio”, „Folio”, „Point-Seuil”, „GLM” czy „Presses Pocket”, których średni nakład wyjściowy wynosi ok. 15.000 egzemplarzy.

Tymczasem, w roku 1992 rynek książki załamał się we Francji, sprzedaż spadła o połowę i kryzys ten (w całej zresztą Europie zachodniej) trwa do dziś. W konsekwencji, wydawcy zaczęli zmniejszać nakłady i ilość wydawanych tytułów aby zachować równowagę pomiędzy produkcją i kapitałem obrotowym. Najbardziej w tej sytuacji ucierpiały przekłady z literatur najmniej „chodliwych”, czyli z tzw. „Wschodu” Europy. Obecnie, przy wyjściowym nakładzie od trzech do czterech tysięcy egzemplarzy, sporządzanie dwóch tysięcy egzemplarzy książki z zakresu tych literatur uważane jest prawie za sukces, gdyż przy masowych zwrotach z księgarni często się zdarza, że sprzedaż nie osiąga nawet tysiąca egzemplarzy (również w przypadku autorów już znanych i opartych przychylnymi recenzjami w prasie). Ogarnięci paniką wydawcy, tracąc regularnie od 50 do 100 tysięcy franków na każdym wydanym tytule, drastycznie ograniczyli zakup licencji z krajów Europy środkowo-wschodniej. Według rezultatu ankiety zrealizowanej przez francuskie Ministerstwo

Kultury (*Direction du livre et de la lecture*) francuscy wydawcy zakupili w roku 1994: od Polski – 4 licencje, od Węgier – 2, od Rosji – 11, od Czech – 16, przy tym: od Niemiec – 89, od Anglii – 634, od USA – 713.

W tym samym roku, Polska kupiła od Francji 213 licencji, Rosja – 184, Czechy – 104, Węgry – 75, Niemcy – 360, Anglia – 414, USA – 148.

Taka jest sytuacja w dniu dzisiejszym. Czytelnicy francuscy nie kupują naszych książek i na razie można tylko się zastanawiać nad przyczynami tego defektu. Często spotkałam się z zarzutem, że książki, które wydają się trudne. Fakt, że w polskiej np. literaturze współczesnej jest tyle informacji zakodowanych w pokładach podświadomości polskiego odbiorcy, że na podstawie recenzji i licznych w latach osiemdziesiątych prób analizy powieści Konwickiego widać było jasno, że Zachód mimo najlepszych chęci nie potrafi sobie z nimi dać rady. W „Dzienniku” z roku 1953 Gombrowicz przypomina zdanie Czesława Miłozza, że „różnica pomiędzy intelektualistą zachodnim a wschodnim na tym polega, iż pierwszy nie dostał dobrze w d...”. I zastanawia się jak Zachodowi narzucić „własne, odrębne przeżycie stamtąd wyniesione, i swoją nową wiedzę o świecie”. Ale czas przecież robi swoje, Wschód zaczyna dzielić z Zachodem przeżycia i można żywić nadzieję, że nowa, rodząca się dziś literatura, będzie jutro odzwierciedleniem wspólnych dla całej Europy doświadczeń i poszukiwań nowych horyzontów.

Z drugiej strony nie trzeba zapominać, że w dorobku literackim każdego kraju istnieją książki przeznaczone, że tak powiem, na użytek wewnętrzny, odpowiadające doraźnym zapotrzebowaniom czytelnika krajowego czy też jego gustom i wrażliwości ukształtowanym przez tradycje narodowe. Nawet najbardziej ambitne książki mają niewiele szans spotkania się z głębszym zrozumieniem czy uznaniem na rynkach zagranicznych. Umiejętność selekcji tytułów „na eksport” powinna być jednym z głównych zadań dla polskiego środowiska wydawniczego, kiedy już okrzepnie po pierwszych gwałtownych transformacjach i wkroczy w fazę profesjonalnego dostosowania się do warunków rynku międzynarodowego. Trudno dziwić się, że polscy wydawcy są dzisiaj głównie zainteresowani kupnem licencji na Zachodzie, żyją przecież z

tego dzięki wciąż jeszcze nie nasyconemu rynkowi wewnętrznemu. Tymczasem jednak pojawiają się w Polsce nowi utalentowani pisarze i trzeba będzie umieć skutecznie ich wspierać, o co dba zresztą – w zakresie swoich możliwości – Ministerstwo Kultury i Sztuki z pomocą różnych instytucji jak „Dom Książki” czy Fundacja Rozwoju Czasopiśmiennictwa Społeczno-Kulturalnego „Kultura”.

Wydaje mi się, że wśród rodzimych nowości wydawniczych tych ostatnich lat zarysowują się jak gdyby dwie „szkoły”: gdańska, którą reprezentują tacy pisarze jak Paweł Huelle czy Stefan Chwin oraz kresowo-wschodnia, w której zabłyśli talentem Aleksander Jurewicz i Andrzej Stasiuk. Większe szanse na rynkach zachodnich zdaje się mieć szkoła gdańska chociażby z tego względu, że Niemcy – dla których tematy, które poruszają pisarze gdańscy, bliższe są niż wątki związane z przeżyciami Polaków ze wschodnich rubieży – będą im torować drogę do innych krajów poprzez wydania niemieckie. Natomiast książką, która zdaje mi się spełniać wszelkie warunki ku temu, żeby bez większych trudności „przyjąć się” na Zachodzie jest niewątpliwie powieść Macieja Krasickiego „Mamo, biją”. Z przyjemnością stwierdziłam, że bardzo szybko zareagowała na nią Maria Danilewicz Zielińska na łamach *Kultury* (Nr 4/1996). Krasicki w świetnym skrócie pokazał dramat ludzi wyrwanych z korzeniami jak drzewa z rodzimej gleby. Napisał powieść mądrze skomponowaną, żywą, skrzącą się humorem, z całą galerią postaci, których nie sposób nie polubić tak wydają się nam bliskie. Jej wielką zaletą jest jasność przesłania: czytelnik zachodni odczyta ją bez trudu jako parabolę losu wielu mieszkańców krajów „drugiej” Europy. Tak przynajmniej odczytałam tę powieść: okiem wydawcy, któremu marzą się książki dobrze napisane i dla szerszego niż dotychczas, odbiorcy.

Zofia BOBOWICZ

Niezwykłe czasopismo

*Ziemia Kłodzka**, bo to czasopismo chcę przybliżyć czytelnikowi, jest zjawiskiem niezwykłym. Być może jest to jedyne tego typu pismo w Polsce. Ukazuje się od 1989 roku i od samego początku było pismem mocno osadzonym w regionie. Z biegiem czasu stało się pismem trójjęzycznym: polsko-czesko-niemieckim. Najpierw pojawił się język czeski (czerwiec 1992), później, od 1995 roku, niemiecki. Ta trójjęzyczność wypływa z najgłębiej rozumianej lokalności tego pisma. *Ziemia Kłodzka* to przepiękny zakątek Polski położony na pograniczu polsko-czesko-niemieckim ze znanymi nie tylko w Polsce górkami kurortami: Polanicą, Dusznikami i Kudową. Zresztą niczego nie brakuje i innym urokliwym miasteczkom tego regionu takim jak Łądek Zdrój, Nowa Ruda, nie mówiąc już o samym Kłodzku. Historia tej ziemi jest bardzo skomplikowana, zamieszkiwały ją różne narody, ślady różnych kultur są tu ciągle obecne. Za PRL-u, kiedy obowiązywała doktryna „ziem odzyskanych” tę historyczną wielokulturowość pomijano, niezdarnie udając, że my Polacy byliśmy tu od zawsze.

To, co zaraz po wojnie przyjmowano jako coś normalnego, a w każdym razie koniecznego, przez Polaków już tu urodzonych zostało odrzucone. Młodzi ludzie, którzy urodzili się na tej ziemi nie mieli już kompleksu „niemieckiego”: traktowali tę ziemię jako swoją małą ojczyznę, której przeszła wielokulturowość była jej atutem, a nie wstydlivym balastem. Naturalnym następstwem tego sposobu myślenia było odkrywanie śladów czeskiej, niemieckiej, żydowskiej obecności na Ziemi Kłodzkiej i przyjmowanie wielokulturowości ziemi jako niezbywalnej części naszego polskiego dziedzictwa. Nieprzypadkowo w jednym z numerów pisma zacytowano słowa Tomasza Manna, o tym, że kultura to umiejętność dziedziczenia. Z całą pewnością ludzie skupieni wokół *Ziemi Kłodzkiej* potrafią dziedziczyć w najlepszym stylu. Przyjmują

* *Ziemia Kłodzka*. Od Kładskeho Pomezí. Glatzer Bergland. Miesięcznik. Wydawca: Wydawnictwo „Ziemia Kłodzka” i Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka. Rok założenia 1989. Redaktor naczelny Adam Kwas. Redaktor Oficynki Pod Różą Kłodzką Julian Golał

trudną historię tej ziemi z podziwu godną otwartością, która wynikać może tylko z wielkiej miłości do stron ojczystych. *Ziemia Kłodzka* to, myślę, jedno z nielicznych pism, w którym naturalnie brzmi wzruszające powitanie niemieckich pielgrzymów pióra redaktora naczelnego Adama Kwasa: „...odwiedzicie Waszą Ziemię Ojczystą, która wyrokiem historii została oddana w ręce polskie, stając się jedynym miejscem na ziemi dla naszych rodziców, później dla nas i naszych dzieci, tu urodzonych, którzyśmy ukochali ją tak, jak Wy ją kochacie” (*Ziemia Kłodzka*, lipiec 1996).

Po takiej deklaracji nic dziwnego, że pismo poświęca dużo miejsca historii Ziemi Kłodzkiej oraz wybitnym ludziom, którzy się tu urodzili lub przez swoje twórcze życie związani byli z tym regionem. W artykułach poświęconych tej tematyce przywracani są pamięci obecnych mieszkańców tego zakątka Polski ich niemieccy, czescy i żydowscy poprzednicy. Postacie wielkie i mniejsze, jednak takie, które zapisały istotny dla regionu, fragment historii. Wielki twórca barokowej rzeźby Michał Klahr Starszy, Czech z pochodzenia, sąsiaduje w tej pamięci z zapomnianym już prawie śląsko-niemieckim aktorem, reżyserem, poetą, pisarzem i eseistą w jednej osobie Karlem von Holtei'nem. Josef Alois Tichatschek – tenor z Teplic ze zniemczonym Czechem Heinrichem Rubartschem – twórcą schroniska górskiego na Orlicy. Ryszard Grzelakowski przywoływał na łamach *Ziemi Kłodzkiej* m.in. pamięć niemieckich proboszczów katolickiej parafii św. Piotra i Pawła w Dusznikach Zdroju, księży Franza Xawerego Mullera i Alfreda Becka. Pióru Edwarda Osowskiego zawdzięczamy opowiadzenie m.in. historii kłodzkich Żydów czy historii twierdzy kłodzkiej.

Te historyczne wątki uzupełniane są przez prezentację ludzi, którzy tworzyli i tworzą współczesny obraz regionu. I tak w kolejnych numerach pisma czytamy o Andrzeju Janickim, którego dom jest swoistą galerią rzeźby, Kazimierzu Andrzeju Hałajkiewicz – niezującym już malarzu, który związał się z Wrzosówką koło Łądka Zdroju, rzeźbiarzu Stanisławie Olszawskim czy Zbigniewie Horbowym, z którym związana jest historia hutnictwa szkła w regionie, czy Zbigniewie Martynowskim, który miał swój udział w pracach nazwennicznych na Ziemi Kłodzkiej.

Ziemia Kłodzka to pismo zanurzone w społeczności lokalnej. Nic więc dziwnego, że dużo miejsca poświęca problemom samorządowym. Z pisma na bieżąco można śledzić

działalność Stowarzyszenia Gmin Ziemi Kłodzkiej, samorządów tego regionu, polsko-czeskiej współpracy transgranicznej. Z inicjatywy m.in. *Ziemi Kłodzkiej* doszło do zorganizowania Polsko-Czeskich Dni Kultury Chrześcijańskiej, które w roku bieżącym odbywały się już po raz siódmy. Imprezy Polsko-Czeskich Dni... odbywają się po obu stronach granicy, po stronie czeskiej uczestniczą w nich miasteczka Nachod, Broumov, Bila Voda, Jaromer, Police n. Metuji zaś z polskiej Kłodzko, Łądek Zdrój, Nowa Ruda, Wambierzyce, Boguszów Gorce, Jaworzyna Śląska, Krzeszów, Kudowa Zdrój, Leśna, Mieroszów, Rybnica Leśna, Wałbrzych, Złoty Stok, Ząbkowice Śląskie, Żelazno. Ta przydługa wyliczanka jest konieczna by uzmysłowić czytelnikowi, że idea zbliżenia polsko-czeskiego nie jest tylko sprawą wąskiego grona entuzjastów, lecz ma solidne zakorzenienie w społecznościach lokalnych. Pomiędzy Polsko-Czeskimi Dniami... a *Ziemią Kłodzką* istnieje unia personalna. Mianowicie szefem wydawnictwa, które wydaje *Ziemię Kłodzką* jest Julian Golak, który jednocześnie pełni funkcję przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Polsko-Czeskich Dni Kultury Chrześcijańskich. Trudno, zresztą, wymienić wszystkie inicjatywy, którym patronuje pismo, chociażby takie jak kurs języka czeskiego czy akcja na rzecz utworzenia euroregionu na pograniczu Czech, Moraw i Ziemi Kłodzkiej.

Innym rodzajem aktywności *Ziemi Kłodzkiej* jest dialog z jej byłymi mieszkańcami. Tu największe zasługi ma pismo w kontaktach z Niemcami. Wprawdzie w winiecie pisma niemiecki podtytuł pojawił się dopiero w 1995 roku, niemniej już wcześniej tematyka niemiecka była stale w nim obecna. Redaktorzy nie uciekali przed najtrudniejszym dla nich partnerem. Jednym z pierwszych ich „niemieckich” zainteresowań był miesięcznik *Grafschafter Bote* – organ ziomkostwa Niemców kłodzkich. Odwołując się doń redaktorzy *Ziemi Kłodzkiej* nie ukrywali również krytycznego do tego pisma stosunku: „*Grafschafter Bote* jest realizatorem integracyjnego programu ziomkostwa, ale też i polityki centralnego kierownictwa. Podstawową cechą tej polityki jest wynikające z realiów formalne uznawanie, ale nie akceptowanie granicy na Odrze i Nysie. Przy całym szacunku dla innych niż nasze przekonania, stwierdzamy kategorycznie, że tego rodzaju poglądy źle służą niemiecko-polskiemu zbliżeniu, bowiem wyrażają dążenie do zmiany granic w Europie. Takie jest stanowisko naszej redakcji i naszych Czytelników...”

(*Ziemia Kłodzka*, luty 1994). Jasne i zdecydowane stanowisko w sprawie granic nie zamykało dyskusji z kłodzkimi Niemcami na inne tematy. Tu postawa otwartości, o której już pisałam wyżej, sprawiła, że niemieccy korespondenci z biegiem czasu przeszli do oskarżeń i pretensji pod polskim adresem do dialogu, a w niektórych wypadkach nawet zaprzyjaźnili się z ludźmi, którzy współtworzą środowisko czasopisma. Tak było na przykład z rodziną Wittigów wywodzącą się ze Słupca-Doliny. Po pobycie w małej ojczyźnie pisali do ludzi związanych z redakcją *Ziemi Kłodzkiej*: „Poza podziękowaniem, które jesteście Państwu dłużni, za prace na rzecz naszej starej ojczyzny oraz Państwa ojczyzny, jesteśmy Państwu bardzo zobowiązani za dzień spędzony u Państwa i z Państwem, który był punktem kulminacyjnym naszej podróży” (*Ziemia Kłodzka*, wrzesień 1996).

Redakcja *Ziemi Kłodzkiej* dostrzega pozytywny wkład byłych niemieckich mieszkańców regionu w jego dzień dzisiejszy. Stąd na przykład prezentacja sylwetki Georga Hoffmanna – przewodniczącego Zrzeszenia Byłych Mieszkańców Hrabstwa Kłodzkiego i Zgromadzenia Okręgowego Noworudzian. Człowieka, który organizował pomoc m.in. dla szpitali Ziemi Kłodzkiej.

Byli mieszkańcy to również kłodzcy Żydzi. Z nimi również utrzymuje kontakt redakcja *Ziemi Kłodzkiej*. Ich przyjazdy w ojczyste strony są skrupulatnie na łamach pisma odnotowywane, tak chociażby, jak wizyta Peretza May'a, który odwiedził Kłodzko po sześćdziesięciu latach od chwili wyjazdu. Wspólnym polsko-niemiecko-żydowskim staraniem wmurowano tablicę pamiątkową w miejscu, gdzie przed wojną stała w Kłodzku synagoga.

Aby obraz pisma był pełny, trzeba dodać, że od kilku lat każdy jego numer zawiera dodatek ekologiczny pod tytułem „Oficyna Pod Różą Kłodzką” oraz „Pejzaże z słów rozspanych”, który jest, jak głosi podtytuł, poetyckim zaułkiem *Ziemi Kłodzkiej*. Oczywiście ze względu na górsko-uzdrowską specyfikę tej części województwa wałbrzyskiego wiele miejsca zajmuje również turystyka. Atutem pisma jest fakt, że udało mu się stworzyć sieć czeskich współpracowników. Na łamach *Ziemi Kłodzkiej* pisywali Petr Posledni, Tomas Kocicka, Jiri Ozon Malik, Jarosław Rohulan, Jan Frolík, Zdenek Jirasek, Jarosław Sula.

Wypada kilka słów powiedzieć o wydawcach pisma. Są nimi Wydawnictwo „Ziemia Kłodzka” i Solidarność Polsko-

Czesko-Słowacka. Ten drugi współwydawca jest szczególnie interesujący. Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka jest jedną z nielicznych organizacji o rodowodzie „podziemnym”, które przetrwały przełom roku 1989 i z powodzeniem działają nadal. Wprawdzie wielcy założyciele tej organizacji już się w niej nie udzielają, jednak pokolenie trzydziestolatków i czterdziestolatków (młodzież z początku istnienia wówczas Solidarności Polsko-Czechosłowackiej m.in. Mirosław Jasiński, Julian Golak, Wacław Martynowski, Jarosław Broda, Zbigniew Janas, Adam Kwas, Mieczysław Piotrowski, Jerzy Kornhold, Marian Dembiniok, ks. Stefan Witczak, Janusz Okrzesik, Jarosław Szostakowski) mieszkających głównie w województwie wałbrzyskim i wrocławskim, w dalszym ciągu działają na rzecz zbliżenia nie tylko Polaków i Czechów, ale również Niemców. A już zupełnym fenomenem jest fakt, że ludzie ci, oprócz tego, że są członkami Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej, sympatyzują obecnie z najróżniejszymi partiami politycznymi od Ruchu Odbudowy Polski, przez Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Ruch Stu do Unii Wolności. Pomimo tych podziałów politycznych potrafią z sobą rozmawiać i dla dobra małej ojczyzny wspólnie pracować.

Na koniec muszę przyznać, że przy okazji każdorazowej lektury *Ziemi Kłodzkiej* odczuwam pewną zazdrość i zastanawiam się kiedy podobne czasopismo pojawi się na polsko-ukraińskim pograniczu. Kiedy wreszcie przewodniki po Ziemi Przemyskiej nie będą wstydliwie skrywać faktu, że kulturę tego regionu współtworzyli obok Polaków również Ukraińcy, zaś w ukraińskich informatorach o Lwowie będzie również informacja o polskim wkładzie w historię tego miasta. Po tej smutnej refleksji nad polsko-ukraińskim pograniczem dla porządku rzeczy muszę powiedzieć, że moja zazdrość o *Ziemię Kłodzką* jest znacznie mniejsza od sympatii, której nie sposób nie odczuwać dla tego pisma. Redakcji życzę stu lat istnienia i wielu, wielu czytelników!

9 X 1996 Warszawa

Bogumiła BERDYCHOWSKA

Nagrody

Tegoroczną Nagrodę Polskiego PEN-Clubu im. Jana Strzeleckiego otrzymała p. Krystyna Kerstenowa, historyczka i publicystka. Nagrodę Edytorską PEN-Clubu otrzymała p. Maria Danilewicz Zielińska, a Nagrodę im. komandora Kazimierza Szczęsnego Jan Kazimierz Sawicki.

Nagroda „Ikar 96” została przyznana w trakcie tegorocznych Krajowych Targów Książki Władysławowi Kopalińskiemu, a wyróżnienie ks. prof. Józefowi Tischnerowi.

Powstanie nowej nagrody.

Łódzki miesięcznik *Tygiel kultury* ustanowił nagrodę literacką im. Jerzego Kosińskiego za najlepsze książki wydane w 1994 i 1995 r. w języku polskim przez żyjącego autora. Nagroda wynosi 5 tys. dolarów oraz stypendium w USA. Sponsorem jest polska filia szwajcarskiej firmy Rentsch. Kilkumiesięczne stypendium w USA funduje wdowa po Jerzym Kosińskim.

Nagrody Polskiego PEN-Clubu za 1995 rok w dziale poezji otrzymała Wisława Szymborska, w dziale prozy – Władysław Terlecki, a w esejach Jacek Łukasiewicz.

Tegoroczną Nagrodę im. Barbary Sadowskiej otrzymał sanocki poeta Janusz Szubert.

KOMUNIKAT POLCUL FOUNDATION

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 26.9.1996 Dyrekcja Fundacji przyznała dalszych 17 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy i przyjaźni z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Danuta i Leon BROWOWSCY – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej;

Anna BRZESKOT – za działalność kulturalną w Szymanowie;

Tadeusz COZAC – za pracę społeczną na terenie Bielska-Białej;

Michał DOBRYNIN – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej;

Algis KALEDA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej;

Ewa KOWNACKA – za pracę społeczną na terenie Władysławowa;

Aleś KRAUCEWICZ – za pracę na rzecz zbliżenia Polski i Białorusi;

Józef KWIATKOWSKI – za pracę na rzecz zbliżenia polsko-litewskiego;

Janina MOSKALCZUK – za działalność kulturalną na terenie Bełchatowa;

Edward PIÓRKO – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej;

ks. Jacek PONIKOWSKI – za pracę na rzecz ociemniałych w Niepołomicach;

Czesław SENIUCH – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej;

Urszula SŁONINA-ŚWIĘCICKA – za pracę społeczno-kulturalną w Podkowie Leśnej;

Jerzy SURWIŁO – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej;

Aleksandra ŚLUSAREK – za pomoc w osiedlaniu Polaków z Kazachstanu w Niepołomicach;

Robert WYRODA – za pracę społeczno-artystyczną na terenie Krakowa

Z wymienionych osób: 3 otrzymują wyróżnienia im. Eudoksji Rakowskiej; 3 – otrzymują wyróżnienia im. Krystyny i Bolesława Singlerów; 1 – otrzymuje wyróżnienie im. Ireny i Karola Dowoyna-Sylwestrowiczów.

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce.

Są to:

Jan HANASZ, ul. Krasińskiego 57 m. 10, Toruń, tel. 2-82-06
oraz
Anna KONDRACKA, ul. Bogusławskiego 20 m. 80, Warszawa,
tel. 663-26-39

lub też zwracając się wprost do:

POLCUL FOUNDATION

P.O. Box 193,

Rose Bay, 2029, Australia

tel.: (61-2) 9326 2863; fax.: (61-2) 9331 5697

UWAGA: Fundacja wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne.
Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

LISTA CZŁONKÓW WSPIERAJĄCYCH TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

Wanda Bronkowicz-Sittauer, Warszawa	25 ZŁ
Czesław Brzoza, Kraków	100 ZŁ
Dobromiła Chęciówna, Kraków	20 ZŁ
Paweł Ciach, Warszawa	100 ZŁ
Karol Cieślak, Zamość	80 ZŁ
Anna Dobron, Warszawa	50 ZŁ
Halina Dörfler, Szczecin	20 ZŁ
Halina Eysymont, Warszawa	1300 ZŁ
Ziemowit Feddecki, Warszawa	50 ZŁ
Barbara Gumowska, Warszawa	30 ZŁ
Janina Janczak, Brwinów	10 ZŁ
Janusz Jeljaszewicz, Warszawa	100 ZŁ
Helena Kacperska, Warszawa	20 ZŁ
Maciej Łukasiewicz, Warszawa	300 ZŁ
Jan Mensfeld, Poznań	20 ZŁ
Lidia Obrębska, Warszawa	5 ZŁ
Jan Organ, Izdebki	20 ZŁ
P.T.H. „MARKA” Sp. z o.o., Warszawa	300 ZŁ

Andrzej Pacuła, Bochnia	10 ZŁ
Apolonia Pintowska, Szczecin	100 ZŁ
Krzyszyna Pochwalska, Warszawa	20 ZŁ
Jerzy Rosiak, Kalisz	50 ZŁ
Jerzy Szygiel, Warszawa	50 ZŁ
Longin Tomaszewski, Warszawa	25 ZŁ
Jerzy Wiszniewski, Warszawa	30 ZŁ
Barbara Włodowska, Katowice	50 ZŁ
Jan Wyrowiński, Toruń	30 ZŁ

Apelujemy do Czytelników *Kultury* w kraju i zagranicą o wsparcie naszych działań. Wystarczy zadeklarować wysokość rocznej składki członkowskiej i przekazać odpowiednie kwoty na nasze konto:

Bank Zachodni S.A. II Oddział Warszawa: 380014-7520-132-3000

Wpłaty z zagranicy prosimy przysyłać bezpośrednio na:

Fundusz Kultury w Instytucie Literackim w Paryżu.

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Notatki Redaktora

10-go października miało miejsce w Krynicy Forum Ekonomiczne Polska-Wschód zorganizowane przez Fundację Instytut Wschodni. Przyjechało na nie ok. 500 gości z Białorusi, Rosji, Ukrainy i Litwy. Koła rządowe były reprezentowane przez Olega Dawydowa, wicepremiera Rosji. Z Białorusi przyjechał wicepremier Ling, zaś grupie ukraińskiej przewodził minister przemysłu, Mazur. Przyjechali również szefowie banków centralnych z Białorusi i Ukrainy. Był także szef Ukraińsko-Polskiej Grupy Parlamentarnej, Jewhen Żerebeckyj. Nie mówiąc już o dużej liczbie biznesmenów. Ze strony polskiej byli głównie politycy z PSL: marszałek sejmu Zych i wicepremierzy: Jagieliński i Pietrewicz. Niestety, opozycja zachowała się skandalicznie. Prof. Balcerowicz na dwa dni przed Forum zawiadomił, bez podania powodów, że nie przyjedzie. To samo, ale już w trakcie forum, zrobił Andrzej Olechowski. Trzeba sobie przypomnieć, że Andrzej Olechowski podpisał niedawno z ukraińskim Ruchem dokument o strategicznym partnerstwie Polski i Ukrainy.

Trudno się więc dziwić, że przy takim postępowaniu autorytet Polski leży.

Sprawa Forum jest tylko drobnym przyczynkiem ilustrującym brak naszej polityki wschodniej, bo jednocześnie rząd obsadził nasze placówki dyplomatyczne na Białorusi i Litwie osobami całkowicie niekompetentnymi. I to właśnie w momencie kryzysu, jaki te państwa obecnie przeżywają.

Rozumiem, że można mieć krytyczny stosunek do prezydenta RP, ale walka z nim powinna być prowadzona w sposób cywilizowany i kulturalny. Jest on przecież symbolem państwa. Ostatnie demonstracje, jakie miały miejsce na Uniwersytecie Warszawskim w czasie otwarcia roku akademickiego, są niedopuszczalne. Niestety, ani władze akademickie, ani policja nie zapobiegły tym chuligańskim wybrykom Ligi Republikańskiej, i mało tego – w stosunku do sprawców nie wyciągnięto żadnych konsekwencji.

Czy nikt nie zdaje sobie sprawy, że to wszystko prowadzi do destabilizacji państwa?

Od dłuższego czasu organizuje się w Polsce akcje charytatywne pomocy dla Bośni czy Czeczenii. Ich rozmiary są imponujące i świadczą o dużej wrażliwości społeczeństwa, które przecież samo przeżywa poważną depresję gospodarczą. Obawiam się jednak, że te akcje nie zawsze są przemyślane. Bośnią i Czeczenią zajmuje się cały świat i nasza pomoc jest na tym tle znikoma. Natomiast, nie bardzo się myśli o ciężkiej sytuacji w jakiej znajduje się ludność polska na Ukrainie. Radzę przeczytać w tym numerze artykuł p. Anny Strońskiej pt. „Gorzki smak wolności”. Tej skrajnej nędzy nie brakuje również w całym kraju, jak chociażby w Bieszczadach, czy w domach dziecka. Same zbiórki zresztą też powinny być bardziej porządkowane, np. w transportach znajdują się wielkie ilości przeterminowanych leków. Zbyt mało zwraca się uwagi na stronę psychologiczną. Z tej pomocy nie powinna być wyłączona ludność miejscowa, która przecież też jest w ciężkiej sytuacji. Koncentrowanie się wyłącznie na Polakach może wzbudzać niepotrzebne antagonizmy czy zawiści.

Sprawą coraz bardziej niepokojącą jest mała znajomość języków obcych w Polsce. A przecież nasze włączanie się do Europy wymaga tego na każdym odcinku: od spraw wojskowych począwszy do działalności gospodarczej. Poza zastrzeżeniem przepisów domagających się by ludzie wyjeżdżający na

placówki władali językiem kraju, w którym mają pracować, trzeba by wprowadzić premie, specjalne dodatki, nawet dosyć znaczne, a specjalnie powinna być premiowana znajomość kilku języków a nie tylko jednego. Dotyczy to służby celnej, policji, itp., tym bardziej że robimy dużo wysiłku by rozbudować turystykę do Polski.

Premiowanie alkoholizmu. Ostatnio dopuszczono sprzedaż alkoholu przez jednostki straży pożarnej podczas ich imprez. Nie wiem, czy jest to najlepszy sposób premiowania orkiestr strażackich, które są oczkiem w głowie pp. Pawlaka i Podkańskiego.

Niepokojąca jest ilość niepotrzebnych nietaktów popełnianych przez prezydenta RP. Nie ma nikogo w jego najbliższym otoczeniu, kto zapobiegałby tym gafom. Prezydent miał czas, by przyjmować kabotyńskiego piosenkarza Jacksona, a nie miał czasu np. by osobiście wręczyć Order Orła Białego Stanisławowi Lemowi, czy znaleźć chwilę czasu na gratulacje Wisławie Szymborskiej, laureatce Nagrody Nobla.

Bardzo sympatyczne jest zainteresowanie prezydenta sportem, ale nie sądzę by było właściwe poświęcanie tyle czasu olimpiadzie w Atlancie czy przyjmowanie polskiego boksera, który ma kłopoty z wymiarem sprawiedliwości.

Prezydent zajmuje się bardzo polityką zagraniczną, ale szkoda, że nie znalazł czasu by przyjąć naszego ambasadora na Litwie, p. Widackiego, który o swym odwołaniu dowiedział się od pocztyliona. A przecież ambasador Widacki, pracując w bardzo ciężkich warunkach przyczynił się do znacznej normalizacji stosunków polsko-litewskich.

Prezydent przy swych licznych podróżach po świecie robił wszędzie dobre wrażenie – człowieka młodego, dobrze wychowanego, władającego językami. Jest to start bardzo ważny, ale tylko start. Niepotrzebny jest tylko przesadny optymizm, zapowiadanie przy każdej, nawet mało znaczącej wizycie, że uzyskał poparcie np. Słowenii w wejściu Polski do

Unii Europejskiej czy NATO, zamiast przedstawiania jednocześnie wszelkich trudności jakie nas czekają. Metody, które stosował Churchill, były – moim zdaniem – bardziej skuteczne.

Te uwagi piszę z dużą troską, bo wchodzimy w okres bardzo niebezpieczny i trudny, a zbliżające się wybory mogą stworzyć sytuację polityczną bardzo skomplikowaną. I tutaj rola prezydenta może być niezmiernie ważna, jako czynnika reprezentującego ciągłość i stabilność państwa, reprezentanta całego społeczeństwa a nie tylko jednego ugrupowania politycznego. Wymaga to jednak zarówno przemyślaných konkretnych decyzji i większego wysiłku, a nie stosowania uników.

REDAKTOR

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Ci, co odeszli

Pożegnanie z Wiktorem Woroszylskim

Kiedy umierają przyjaciele – umiera wraz z nimi część naszego własnego ja. Umierają wspólne przeżycia, poglądy, rozmowy, dokonane dzieła i zamierzone pomysły. Tak też jest z odejściem Wiktora Woroszylskiego. Moje pożegnanie ze zmarłym przyjacielem nie dotyczy oceny jego dzieła literackiego. Na to znajdują się na pewno ludzie bardziej kompetentni ode mnie. Mnie chodzi o utrwalenie innych śladów: osobistej przyjaźni, wymiany politycznych poglądów i sprawy polsko-ukraińskiej.

Łączyła mnie z Witkiem, bo tak go wszyscy przyjaciele nazywali, jak najszczerza i jak najbardziej autentyczna przyjaźń. Przyjaźń bez najmniejszej skazy, fałszów lub podejrzeń. A pielęgowaliśmy ją przez dziesięciolecia aż do upadku komunizmu ponad – dla mnie wówczas nie przekraczalnymi – granicami „oboza socjalistycznego”. Spotykaliśmy się w rozmaitych miastach, czasem w Paryżu, w Wenecji i Mediolanie, Sztokholmie i Madrycie. Witek był moim głównym doradcą w sprawach kultury w Polsce i innych krajach pod władzą komunistów. A ja te wiadomości i analizy kolportowałem na łamach szwajcarskiej gazety o zasięgu światowym *Neu Zürcher Zeitung*.

Miałem w owych czasach również inne kontakty i znajomości, gdyż inaczej nie mogłem dawać niemal codziennie komentarzy i ocen na temat wydarzeń w krajach komunistycznych. Musiałem je jak najbardziej maskować z uwagi na bezpieczeństwo moich rozmówców. KGB się wściekało, ale nie mogło wpaść na ślady. Postanowili wówczas mnie

zdyskredytować oszczerstwami, że w czasie drugiej wojny światowej byłem wraz z Jerzym Giedroyciem szkolony w gestapowskiej szkole w okupowanym Zakopanem, że z ramienia CIA organizowałem polską „Solidarność” i daję w imieniu Zbigniewa Brzezińskiego i Williama Griffitha polecenia Lechowi Wałęsie i kardynałowi Wyszyńskiemu. Najkapitałniejsze, że Moskwa żądała przedruku tego paszkwilu we wszystkich krajach jej podległych, również w Polsce. Rzecz była tak idiotyczna, że centrala warszawska prowokację odrzuciła, używając argumentu, iż się nie może ośmieszać. Ale w posłusznej NRD ten obłądny „dokument” przedrukowano.

My z Witkiem długo głowiliśmy się skąd się wzięła wzmianka o „szkoleniu” w Zakopanem. Dopiero moja żona przypomniała mi, że ja pierwszy na Zachodzie napisałem o wspólnych konferencjach Gestapo i NKWD w 1940 roku odbywanych właśnie w Zakopanem. Była to więc późna i głupia zemsta następców NKWD spod znaku KGB. Niedawno szef wywiadu ernerdowskiego eks-generał bezpieczeństwa Misza Wolf prezentując swoją książkę o kuchni rosyjskiej (facet na swój sposób ma fason) stwierdził, że cały wywiad w bloku sowieckim usiłował rozbić moją „siatkę” agenturalną, przeciąć powtarzające się stale przecieki do NZZ w Zurychu.

Pomoc Witka była dla mnie niezwykle ważna, gdyż odznaczała się umiarkowaną oceną zachodzących przemian. Dla mnie, przekonanego liberała i oczywiście dla tradycyjnego pisma liberalnego, takie sądy pozbawione zacietrzewienia i resentymentów były bazą dla wystawiania opinii. Były też podstawą dla rozwijania akcji na rzecz wolności, na przykład w kwestii prześladowań członków KOR-u, mobilizowania opinii publicznej na Zachodzie przeciwko traktowaniu Jacka Kuronia, Adama Michnika czy Karola Modzelewskiego. Za wszystkimi tymi akcjami stał przeważnie cichy adwokat Wiktor Woroszyński.

Od upadku komunizmu, kiedy zacząłem odwiedzać Polskę, dom Woroszyńskich na Żoliborzu, przy ulicy Mickiewicza 30, stał się niejako moim drugim domem. Tam począwszy od wspaniałego spotkania w dniu 4 lipca 1989 roku z udziałem pierwszych emisariuszy wolności z Ukrainy Bohdana Horynia i Iwona Hreczka oraz wielu wspólnych przy-

jaciół polskich, odbywały się moje rozmowy i dialogi, którym towarzyszył Witek, dyskretny gospodarz imprez. Te spotkania pozostaną na zawsze w mej pamięci jako najpiękniejsze epizody mojego życia. Tam przyjeżdżali pisarze ukraińscy Iwan Dracz i Dmytro Pawłyczko, tam miały miejsce liczne spotkania z Bogumiłą Berdychowską i Mirosławem Czechem. Stamtąd wiodły niezbyt długie drogi do Jacka Kuronia.

Witek Woroszyński był przede wszystkim poetą i pisarzem i dobrze, że nie dał się uwieść karierze działacza politycznego. Na to był zbyt delikatny i zanadto krytyczny. Ale nie stronił od polityki i dawał temu często wyraz, począwszy od korespondencji z rozstrzelanego powstania węgierskiego w Budapeszcie w 1956 roku. Dla mnie były bardzo cenne jego działania w dziedzinie szeroko pojętej „wschodniej polityki” polskiej. Stał zawsze po naszej stronie czyli sprawiedliwej współpracy z Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Często brał udział w rozmaitych konferencjach i spotkaniach poświęconych polityce i kulturze. Przyjaźnił się z czasów studenckich z najwybitniejszą poetką ukraińską Liną Kostenko, tłumaczył nie tylko jej wiersze, ale i poezje innych twórców, jak np. Stusa czy Hołoborodka. Zajmował się wprawdzie przede wszystkim literaturą rosyjską i napisał na ten temat kilka pięknych książek. Ale jego stosunek do Rosji był zawsze krytyczny, nigdy bałwochwalczy lub naiwny. Dlatego z pogardą odnosił się do tych polskich pisarzy, krytyków lub dziennikarzy, którzy mimo historycznych doświadczeń udawali i nadal udają, że nie widzą niebezpieczeństwa odrodzenia rosyjskich tendencji imperialistycznych. Jego odejście stanowi osłabienie tak bardzo potrzebnego Polsce krytycznego myślenia.

Znamiennym zjawiskiem atmosfery panującej w intelektualnej Polsce jest fakt, że we wszystkich warszawskich nekrologach ani słówkiem nie wspomniano o współpracy Woroszyńskiego z Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami.

Bohdan OSADCZUK

Moje przygody z Wiktorem, tak jak je pamiętam

To był ten chłopak z młodzieńczym trądzikiem, taki jakiego poznałem pół wieku temu: utykał na jedną nogę, badawczo przyglądał się ludziom i zadawał pytania. To był ten niedojrzały, niecierpliwy poeta, który zirykował Juliana Przybosa tak bardzo, że Przyboś krzyknął: „co tu wyrabiają jacyś pryszczaci”. Nie wiem, czy epitet wymyślił Przyboś. Może zrobił to już wcześniej ktoś inny. Ale Przyboś rzucił go w roku 1946 publicznie i podejrzewam, że od tego okrzyku zaczęła się plotka literacka.

Na początku był więc przytyk do trądziku młodego człowieka. Po latach dopiero krytycy powiązać mieli pryszczę z inżynierią dusz i historią literatury, której paradoksalnego dalszego ciągu nikt nie przewidział. A już najmniej mógł go wyobrazić sobie sam pryszczaty student polonistyki z Łodzi, wówczas członek komunistycznej organizacji akademickiej AZWM „Życie”, wielbiciel poezji Majakowskiego, zapalczywy miłośnik wciąż – jego zdaniem – niedostatecznej rewolucji i jeśli dobrze rozumiałem, czegoś podobnego do futuryzmu.

Tego samego dnia, gdy Julian Przyboś przezwiał Wiktora Woroszyńskiego pryszczatym, Tadeusz Borowski, mały, czupurny brunecik, do niedawna jeszcze więzień Oświęcimia, wybuchający raz po raz nerwowym śmiechem, zawołał na tym samym warszawskim Zjeździe Młodych Artystów i Naukowców, że demokracji (miał na myśli nową władzę ludową) trzeba patrzeć na ręce.

Kilka tygodni później Tadeusz w niesłychanie ostrym tonie zaatakował Zofię Kossak-Szczucką głównie za to, że chroniona zbiorowym wysiłkiem współwięźniarek, przeżyła obóz koncentracyjny jakoby dzięki przywilejowi dokarmiania,

gdy inne kobiety masowo ginęły.

Wiktor i Tadeusz stali się przyjaciółmi. Liznęli Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina, niewątpliwie czytali Brechta. Zyskali pewność, że świat urządzony jest mniej więcej jak obóz oświecimski: większość ludzi cierpi męki, nieliczni korzystają z przywilejów; dzieje się tak od czasów starożytnego Egiptu. Z tą wyzywającą niesprawiedliwością, okrucieństwem i zbrodnią należało radykalnie skończyć. Najlepiej, w odczuciu młodych pisarzy, nadawał się do tego celu bolszewizm.

Pewnego razu na zebraniu w Związku Literatów Wiktor słuchał Aleksandra Wata, ostrożnie i zawile polemizującego z marksizmem. Też tam byłem. Z całego przemówienia Wata pamiętam do dziś trzy słowa: ambiwalencja niekongruentnych epifenomenów. Wiktor posłuchał mówcy i był przerażony. Nie wiedział, jak można by odeprzeć takie wywody. Czyżby Wat miał rację? Chyba jednak ktoś lepiej wykształcony w filozofii marksistowskiej znał słuszną ideologiczną odpowiedź na wrogie epifenomeny Wata. Wiktor zapragnął to sprawdzić u źródła mądrości i jak opowiada Trznadłowi, w tym celu postarał się o skierowanie na studia doktoranckie do Moskwy.

„Pojechałem po to, żeby się tam nauczyć wspaniałych argumentów dla obalenia tego, co mówił przeciwko nam Aleksander Wat. Wiadomo, jak to się skończyło. Uzyskałem (...) argumenty raczej na rzecz Aleksandra Wata i to bardzo szybko”.

Znowu pamiętam: latem roku 1954 doktorant Wiktor przyjechał do Polski na wakacje. O Moskwie mówił coś zagadkowego, z tłumionym wzburzeniem, ostrożnie i zawile, jak Wat. Chętniej nucił o Warszawie. „Chcecie to wierzyć, chcecie nie wierzyć, że zakochałem się w moim mieście” – powtarzał z uporem słowa piosenki, patrząc ludziom wymownie w oczy.

Pamiętam też siebie niedługo potem (była jesień) w

Moskwie, z wizytą u obojga: Wiktora i Janki. Ona robi kolację, a potem wszyscy troje rozmawiamy. Już bez piosenek zwierają mi się z przeżyć moskiewskich: odkryli koszarne stosunki, życie tu jest okropne, nędza, strach, tępota i szpiclóstwo. Dobrze, a co w Polsce? O, jednak nie to samo, choć może mylili się trochę, jak sądzą teraz, również co do Polski.

Nie wiedziałem, że z namowy Wiktora dopuszczę się w przyszłości wielu naruszeń „socjalistycznego porządku prawnego”. Po raz pierwszy zrobiłem to wtedy w Moskwie. Przenocowałem nielegalnie u Woroszyłskich. Rano Wiktor obwiał mnie jeszcze tramwajem po ulicach miasta na dowód, że są szare i biedne, a nie promienne i bogate, jak powinny były być. Oczywiście, moja podejrzana nieobecność w hotelu została zauważona.

„Pojeźdź ze mną do Budapesztu” zaproponował Wiktor przed powstaniem węgierskim w roku 1956. Nie pojechałem, głupio sądząc, że mam ważniejsze zajęcia w Polsce. Nigdy nie odżałuję. Pojechał i towarzyszył świadectwu Wiktora nie żyjący już dawno Marian Bielicki.

Jeśli człowiek w ogóle zna prawdę o sobie, po Budapeszcie wygasła we mnie ostatnia iskierka nadziei na komunistyczne ulepszenie świata. Chyba tym bardziej wygasła w Wiktorze.

Jednak on do roku 1958 był jeszcze redaktorem *Nowej Kultury*. Wiosną, wskutek jakichś jego kolejnych błędów ideologicznych, władze partyjne zdenerwowały się i zastąpiły go na stanowisku szefa redakcji Stefanem Żółkiewskim. Wiktor miał prawo zostać w zespole, ale demonstracyjnie opuścił *Nową Kulturę* w towarzystwie grupy kolegów na znak protestu przeciw polityce partyjnej.

„To było wyjście z partii czy wyjście z redakcji?” – pyta względnie umiarkowany jeszcze w roku 1981 Trznadel. „Nie, wyjście z redakcji” – odpowiada Wiktor. „Niektórzy (...) byli bezpartyjni przez cały czas. To nie miało wielkiego znaczenia, bo właściwie robili przez tamte lata to samo, co partyjni”.

Mnie w *Nowej Kulturze* nie było. Pozostawałem w partii, co jak gdyby też „nie miało wielkiego znaczenia”.

Jednak w tymże roku 1958 opuściłem (samotnie i bez rozgłosu) *Przegląd Kulturalny*.

Niby to nie jest moja wspólna przygoda z Wiktorem, a z jakichś powodów czuję, że należy do tematu.

Wspólną przygodą jest ostateczne wyjście z partii. Okoliczności wydają się dziś publicznie znane. Był rok 1966. Leszek Kołakowski wygłosił przemówienie o Październiku na Uniwersytecie Warszawskim i został „zawieszony w prawach członka PZPR”. Wiktor ułożył list do Biura Politycznego w obronie Leszka, podpisało go kilku tam pisarzy, a ja miałem pójść z listem do KC i tam zostawić. Bałem się okropnie. Najbardziej tego, że ktoś mnie śledzi, po drodze napadnie, wyrwie list i zniszczy, bo dla partii najważniejsze jest, żeby listu nie było i żeby nikt się o nim nie dowiedział. Na szczęście udało się go doręczyć bez przeszkód, a ja Wiktorowi o swoim strachu nic nie powiedziałem.

W sprawie inwigilacji miałem częściowo słusność. Podczas partyjnej rozprawy Biura Politycznego z nami, na którą pierwszego wezwano Wiktora, drugiego mnie, Zenon Kliszko zabłysnął znajomością kilku szczegółów naszej współpracy nad listem. Mógł je znać tylko od agentów.

I to było wreszcie formalne rozstanie z partią Wiktora, moje i innych. Ale wcale nie ono stanowiło przełom w naszych losach. Z różnych przyczyn było to rozstanie w istocie spóźnione o co najmniej dziesięć lat, ponieważ od dziesięciu lat z grubsza żyliśmy już w rzeczywistym oporze wobec partii. Przełomowy był fakt, że na koniec stoczyliśmy z jej wodzami walkę oko w oko, którą przegraliśmy mając poczucie zwycięstwa.

Dlaczego piszę „my”? I co to są „nasze losy”? To jest coś takiego, co istniało w głowie Wiktora. Nie chodzi o dwie osoby. Chodzi o kategorię zbiorowości. Wiktor przez całe życie myślał i mówił w liczbie mnogiej o „nas”, to znaczy o kolegach, przyjaciółach, rówieśnikach, współpracownikach, współwyznawcach, współuczestnikach ruchu literackiego, współpiskowcach, i tak dalej. Wiktor nie mógł żyć bez niezbędnych dla niego „nas”, kimkolwiek by byli.

Ale tu trzeba coś uczciwie dodać.

Ojciec Jacek Salij powiedział po śmierci Wiktora w audycji radiowej BBC, że Wiktor miał złote serce. Wisława Szymborska powiedziała publiczności tłumnie zebranej w Polskim PEN-Clubie, że był to „dobry przyjaciel, złotocząłowiek”. Jeśli tyle złota, skąd zarazem tyle uporczywej niechęci, wręcz nienawiści do złota nabierało się w różnych wrogach Wiktora?

Jacek BOCHEŃSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Książki

Odślanianie kurtyny

UWAGI O „LITERATURZE ZŁEJ CHWILI
DZIEJOWEJ” JANUSZA KRYSZAKA

Autorem „Szkiców o drugiej emigracji” – bo taki jest podtytuł książki – jest historyk literatury, profesor Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu, poeta. Na „Literaturę złej chwili dziejowej” składa się 9 szkiców będących zrewidowanymi wersjami tekstów już poprzednio ogłoszonych; przechodzimy w nich od „podstawowych faktów i pojęć” do niejako przykładowych sylwetek poetów uznanych za szczególnie godnych przypomnienia a w większym lub mniejszym stopniu związanych z Awangardą. Sądzę, że spodziewać się możemy dalszego ciągu tego rodzaju omówień i że wyjdą one poza krąg Awangardy.

Książka jest rezultatem kilkunastoletniego obcowania z produkcją literacką „złej chwili dziejowej” (z określenia Adama Ciołkosza). Ważne jest, że opiera się nie tylko na wydawnictwach zwartych (książkach i broszurach), ale i gęsto cytowanych czasopismach, nie tylko *Wiadomościach* i *Kulturze*. Jest to *novum* zasadniczej wagi.

Autor uważa, że „zła chwila dziejowa” rozpoczęła się w czerwcu 1945 r., gdy Alianci cofnęły uznanie prawowitemu Rządowi RP a zakończyła w grudniu 1990 przekazaniem do Kraju symbolicznych insygniów urzędu Prezydenta RP. „Przed nami mrok” – stwierdził Ciołkosz i data wyjściowa nie nasuwa zastrzeżeń. Czy jednak rok 1990 był jej kresem? Lata

Janusz Kryszak: „Literatura złej chwili dziejowej. Szkice o drugiej emigracji”, B.m.w., Spółka Wydawniczo-Księgarska, 1995, s.165,(2)

1945–1990 są – to prawda – okresem ujętym w ramy historii politycznej Polski. Dla literatury są jednak zbyt ciasne, nawet w połączeniu z określeniem „literatura drugiej emigracji”. Czy obecna sytuacja Polski i świata wyszła już z mroków „złej chwili dziejowej?”

Wątpliwości budzi też określenie „naszej” emigracji mianem „drugiej”. Terminu tego użycie w tytułach kolejnych tomów prac Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie (1990) w serii pt. „Historia polityczna drugiej emigracji”, potocznie nie jest jednak używany i nie wróżyć mu powszechnej akceptacji. Skoro literatura Wielkiej Emigracji była „pierwsza” a „nasza” jest „druga”, podświadomie wyłania się obawa kontynuowania, na psa urok, tej złowieszczej numeracji. W obrębie literatury polskiej XX w. (względnie lat 1939–1999) jest to literatura „emigracyjna” organicznie zrośnięta z „literaturą Polski Walczącej”. Prof. Kryszak mankamenty dostrzega i myślę, że uważa termin „literatura drugiej emigracji” za wygodnie pojemny, roboczy. Ja także mam zastrzeżenia co do „literatury emigracyjnej” – myślę, że termin ten przyjął się na mocy zasiedzenia. Może wyłoni się lepszy. Literatura Wielkiej Emigracji czekała na „chrzest” kilkadziesiąt lat!

Rok 1990 nie stanowi w literaturze wyraźnej cezury. Jesteśmy świadkami nie kresu, ale raczej schyłku literatury emigracyjnej, która w zwolnionym tempie nadal się odsłania i może przynieść istotne niespodzianki. Szuflady nie są puste. Dawni „młodzi poeci londyńscy” sprawić mogą radosne niespodzianki, ujawniając cenne *inedita*. Kilku pisze dalej. Próby ustalania hierarchii nasuwają analogię ze świętami ruchomymi. *Exemplum*: odkrycie Wata i Bobkowskiego czy Haupta. Wzrasta znaczenie marginesowych do niedawna gatunków literackich. Nadprodukcji poezji towarzyszy nobilitacja prozy i jej nowo odkrywane możliwości artystyczne, co rysuje się wyraźnie nie tylko na odcinku estetyki ale i w publikowaniu bloków korespondencji, wywiadów, wyciągów z lektur itp. Taśmoteka Radia Wolna Europa kryje konkretne możliwości korektur przez przeniesienie w druk żywego słowa, jak to się już stało w odniesieniu do felietonów radiowych Gombrowicza.

Omawiając stosunek literatury do polityki autor wnikliwie analizuje wytyczne ideowe Emigracji i z pełnym zrozu-

mieniem odnosi się do przypadłości, wspólnych emigracjom wszystkich nacji i czasów, oceniając je okiem socjologa. Godzi się z faktem, że dzieje naszej emigracji „są bezpośrednio powiązane i zależne od konieczności historycznych” (s. 42) i tym np. tłumaczy usilne i wielorakie starania o ciągłość działania instytucji państwowych. Powołuje się na sformułowanie przez Wierzyńskiego przekonania, że „nasz byt państwowy nie uległ zniszczeniu acz ziemie nasze zostały jak (w r. 1831) podbite przez wroga” (s. 45). Ten stan rzeczy postulował nakaz przetrwania, „przerzucenia pomostu z krajem i podziału ról”. Stanowisko to – jak słusznie przypomina autor – znalazło wyraz już w pierwszym numerze *Kultury* w r. 1947. „Deklaracja ta wyznaczyła linię pisma (tj. *Kultury*) na wszystkie dziesięciolecia jego trwania” – konkluduje (s. 51). Nie oznacza to jednak wyraźnego upolitycznienia literatury – dochodzi w pełni do głosu w publicystyce. Obawiam się, że powtarzamy błąd Ignacego Chrzanowskiego, włączając do dorobku literatury emigracyjnej twórczość sprawnie zresztą machających piórem publicystów. Na łamach *Wiadomości* i *Kultury* literatura sąsiaduje z publicystyką polityczną przekraczając granice w szczególnych tylko okolicznościach np. w utworach okolicznościowych lub przeobrażających oceny polityczne w temat (np. „Czarny polonez” Wierzyńskiego czy „Zniewolony umysł” Miłosza).

Dopowiedzmy, że postulując zrośnięcie się literatury „emigracyjnej” z „chwilą dziejową” czy „koniecznościami historycznymi”, eliminujemy z pola widzenia np. „Srebrne orły” Parnickiego czy „Twarde żywobycie Jury Odcesty” Pawła Łyska. Mówi się, że literatura emigracyjna uzupełniała (a nawet korygowała) literaturę krajową, że (zwłaszcza żywym słowem radiowym) wyręczała krytykę PRL, nadając wczesne oceny nowości, że – słowem – pełniła rolę *zastępczą*. W rozumieniu ogółu była „literaturą wolnego słowa”, „literaturą nadziei”. Pełniła też, dla zaspokojenia najoczywistszych potrzeb, czynności służebne, takie jak opracowywanie tematycznych antologii (Bielatowicz), wypisów szkolnych (Pilatowa) czy Szkolna Biblioteczka na Wschodzie, z której wyłaniał się nowy kształt „korpusu” literatury polskiej.

W szkicu pt. „Podzielać uczucia rodzinne Europy” prof. Kryszak analizuje problemy związane z „przynależnością

Zimorowicz? I czy Słowianie nadal lubią sielanki? Nie bez znaczenia jest fala zainteresowania literaturą XVII w. i barokiem, której wpływ występuje w emigracyjnym okresie twórczości własnej i przekładowej Jerzego Sity (z „Kontynentów”), a która ma wyraźne odpowiedniki angielskie.

Końcowe szkice „Literatury złej chwili dziejowej” przynoszą analizę wybranych aspektów twórczości Jerzego Pietrkiewicza, Mariana Czuchnowskiego i Wacława Iwaniuka, oglądanych pod kątem ich stosunku do świata zamkniętego w „nazwie i dźwięku”. Cechuje go – według trafnego określenia Iwaniuka – „zdyszana mowa codzienności”, która – jak miłoszowskie mówienie „brzydko i chropawo” – jak gdyby zatrzymuje czas w jakimś znaczącym momencie, utrwała go i po norwidowsku wypukła. Świat oglądany oczyma poety pokazany jest realistycznie i odmalowany w oszczędnych skrótach. Im związlej, tym lepiej. U Iwaniuka czysta jak lilia Różia powraca z kościoła do „wspólnego pokoju” na Tamce w pełnym blasku Vermeerowskiego obrazu osadzonego „pod turkusowym niebem, które nie płowieje” („Lustro”). Iwaniuk doszedł do „Nemesis idącej pustymi drogami” (1978) po długich latach zmagania z oporną materią słowa i w pełni odstąpił swe możliwości dzielenia się z wnikliwym odbiorcą obrazami dyktowanymi przez „traumatyczną wyobraźnię”. Objawiła się w Iwaniuku w przysłowiowej jesieni życia zdolność wydobywania z kolokwialnych słów i banalnych sytuacji głębszego znaczenia. Jak u Białoszewskiego? – Nie, podobnie, ale inaczej. Smętniej. Bo „zdyszana mowa codzienności” jest „szara”.

Inaczej ma się rzecz z Marianem Czuchnowskim, którego autor zdecydowanie forytuje. Chciałabym złagodzić mój sąd ze „Szkiców o literaturze emigracyjnej” – że twórczość Czuchnowskiego jest w stosunku do młodzieńczej z Dwudziestolecia „degrengoladą poetycką”, ale ponowne wczytywanie się w „Szpik egzystencji” mnie w nim utwierdza. Stać go było na więcej! Zabiła go – w moich oczach – choroba zwana przez Anglików *compulsive writing* „przymus pisania”, sprawiająca, jak się zresztą otwarcie przyznawał, że wielostronicowe fragmenty napisane nocą, rankiem odsyłał lub odnosił do Oficyny Poetów do druku bez czytania. Był postacią żalonną, wrogiem samego siebie. Wyszedł z

Rosji, po tyfusie, psychicznie połamany, zakompleksiony, nieufny, nieporadnie usprawiedliwiający się z dawnych ciągłotek komunistycznych, dopasowujący własną wizję świata do faktów, jednocześnie agresywny i nieporadny.

Kilkku – a może nawet kilkunastu – zasługuje bardziej od Czuchnowskiego na odkurzenie z „niepamięci piasku”. Szkoda, że prof. Kryszak nie rozpiął się szerzej o Pietrkiewiczu, poecie, i autorze doskonałych powieści („The knotted cord”, „Future to let” a zwłaszcza „Inner Circle”) pisanych prozą przez poetę, które są ze wszech miar godne przypomnienia a raczej odkrycia.

O szerokim czytaniu i „węchu” autora „Literatury złej chwili dziejowej” świadczy włączenie do książki związków, niestety, omówień twórczości obojga Bednarczyków, Zdzisława Marka i Bogumiła Andrzejewskiego. Łudzę się, że przyjdzie kolej na dalsze oceny i przeceny praktycznie nieznanych w Kraju poetów, a więc np. Bronisława Przyłuskiego, Tadeusza Sułkowskiego, Kazimierza Sowińskiego, Bolesława Kобрzyńskiego, Jerzego Niemojowskiego (jako tłumacza Ezry Pounda) i in. Z programów tak dziś modnych sesji naukowych wynika, że młodzi krytycy są wyraźnie zafascynowani zjawiskiem londyńskich „Kontynentów”. Przyjdzie czas na odkrywanie „późnego” Wierzyńskiego... Może właśnie w Toruniu. Już napisana i wydana książka prof. Kryszaka budzi apetyt na dalsze opracowania na tym poziomie, tak rzetelne i tak dobrze napisane.

Uderzyła mnie wymowa okładki projektu Rościława Jeśmanowicza ilustrująca fragment wiersza Iwaniuka z „Nemesis idzie pustymi drogami”:

Dziś gdy motyl przysiada na słowie

Umiera zatruty

– ewokująca motyla poezji dogorywającego na symbolicznym czerwonym kwiecie. Zawartość książki świadczy, że „zła chwila dziejowa” nie zabiła poezji.

Feijó (Portugalia)

1 X 1996

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Tożsamość narodowa mieszkańców pogranicza polsko-białoruskiego

Zmodyfikowany przez Stalina fragment linii Curzona (w rejonie Puszczy Białowieskiej lekko przesunięty na wschód, zaś na wysokości Grodna znacznie odepchnięty na zachód), który po II wojnie światowej stał się granicą polsko-białoruską, pozostawił po obydwu stronach zarówno Polaków jak i Białorusinów. Stan ten utrzymał się, pomimo trwającej w obydwu kierunkach akcji repatriacyjnej po wojnie. Jednak w zasadzie nie było wiadomo, ilu Białorusinów mieszkało w Polsce, a ilu Polaków pozostało w Białorusi. Wynikało to z braku wiarygodnych danych spisowych, lub też – jak w Polsce – nieuwzględniania w kwestionariuszach pytania o narodowość. Często więc posługiwano się danymi zastępczymi dotyczącymi wyznania, zgodnie ze stereotypem: Polak-katolik, Białorusin-prawosławny. Tymczasem stereotyp ten stawał się coraz mniej odpowiadający rzeczywistości.

Na początku lat dziewięćdziesiątych socjolog z filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku prof. Andrzej Sadowski podjął wraz z grupą współpracowników badania nad tożsamością narodową mieszkańców pogranicza polsko-białoruskiego, a ich efekty opublikował w wydanej niedawno książce*. „Motywacją do przeprowadzenia badań oraz napisania pracy na temat tożsamości etniczno-kulturowej mieszkańców pogranicza polsko-białoruskiego – pisze autor we wprowadzeniu do niej – była potrzeba wyjaśnienia oraz przedstawienia autentycznych, mających miejsce w praktyce, identyfikacji samych mieszkańców i przez to poszerzenie informacji niezbędnych do partnerskiego dialogu w środowiskach mieszanych religijnie i narodowościowo”. (s. 10).

Podstawową kategorią rozpatrywaną w pracy jest autoidentyfikacja narodowa, przy czym autor założył, że w warunkach narastającej demokracji i poczucia podmiotowości mieszkańców, pytanie „Jakiego narodu jest Pan(i) członkiem

*Andrzej Sadowski, „Pogranicze polsko-białoruskie. Tożsamość mieszkańców”, Trans Humana, Białystok 1995, ss. 269.

w swoim najgłębszym przekonaniu?” w dużym stopniu straciło swój drażliwy charakter. Zespół ankieterów przeprowadził badania nie tylko we wschodniej – zamieszkałej w znacznej liczbie przez Białorusinów – części województwa białostockiego, ale także w przyległych rejonach po drugiej stronie granicy. Jednak w obwodzie grodzieńskim wykonano jedynie badania wstępne w 1993 r. (których efektem było 338 kwestionariuszy), gdyż współpracownicy białoruscy nie uzyskali środków finansowych na kontynuowanie badań w 1994 r. Po stronie polskiej zebrano 1122 ankiety – razem badaniami objęto więc około 1,5 tys. osób.

Dwa pierwsze rozdziały książki poświęcone są kwestiom metodologicznym; autor charakteryzuje przedmiot badań, stosowane pojęcia i metodologię. Pewien niedosyt budzi zarówno zbyt pobieżna charakterystyka pogranicza białoruskiego jak i samej próby badawczej z obwodu grodzieńskiego, ale przypomnijmy – badania miały przede wszystkim umożliwić ustalenie tożsamości narodowej mieszkańców wschodniej Białostoczczyzny.

Wyniki badań dla niektórych mogą być zaskakujące, choć dla uważnych obserwatorów są naukowym potwierdzeniem widocznej ewolucji stanu świadomości narodowej mieszkańców pogranicza. Dają one podstawę do stwierdzenia, że około 60 proc. mieszkańców woj. białostockiego wyznania prawosławnego czuje się Polakami, 10 proc. nie jest w stanie określić swojej przynależności narodowej (lub nie odczuwa takiej potrzeby), zaś jedynie 30 proc., czyli 75 tysięcy, czuje się Białorusinami i jest to – zdaniem autora – „raczej górna niż dolna wielkość białoruskiej mniejszości narodowej w woj. białostockim”. (s. 237) A. Sadowski dodaje, że podobne wyniki uzyskano także w innych badaniach, m.in. przeprowadzonych wśród uczniów 2 liceów z białoruskim językiem nauczania w Bielsku Podlaskim i Hajnówce. Przy okazji warto zauważyć, iż spośród 526 ankietowanych katolików, tylko jeden zadeklarował narodowość białoruską.

Przytoczone wyżej rezultaty potwierdzają występowanie procesu oddzielania przynależności religijnej od przynależności narodowej i masową asymilację prawosławnych do narodu polskiego jako – według autora – nabywanie lub uzewnętrznianie wcześniej nabytej przez społeczność prawosławne polskiej świadomości narodowej, a nie asymilację przedstawicieli białoruskiej mniejszości narodowej do narodu polskiego.

W południowej części woj. białostockiego od kilku lat bardzo ekspansywni są działacze ukraińscy – od 1992 r. działa Związek Ukraińców Podlasia i inne organizacje ukraińskie, wydawane jest czasopismo *Nad Buhom i Narwoju*. Tymczasem spośród wszystkich respondentów zaledwie 12 uznało się za Ukraińców. Zdaniem A. Sadowskiego, gdyby przedmiotem badań miała być mniejszość ukraińska na Białostoczyźnie, należałoby zmienić obszar badań i przeformułować kwestionariusz, ponieważ młoda, dopiero kształtująca się tu ukraińska tożsamość narodowa jest szczególnie wrażliwa na wszelkie próby jej uzewnętrzniania.

Jeszcze bardziej zaskakujące okazały się wyniki badań po stronie białoruskiej, zwłaszcza w odniesieniu do ludności prawosławnej, spośród której prawie 12 proc. uznaje się za Polaków. Jednak Polacy na Grodzieńszczyźnie ulegają także procesom asymilacji (do narodu białoruskiego) – prawie 26 proc. katolików zadeklarowało narodowość białoruską – ale tamtejsze procesy asymilacyjne są o wiele mniej zaawansowane w porównaniu z sytuacją mniejszości białoruskiej w woj. białostockim. Co prawda, autor stwierdza, że ok. 40 proc. badanej młodzieży wyznania katolickiego określiło siebie Białorusinami, ale – jak wyliczyłem – wśród ogółu respondentów znalazło się zaledwie 25 katolików-Białorusinów. Jest to – moim zdaniem – zbyt mała próba, aby na jej podstawie formułować jakieś dalej idące wnioski. Właśnie w tabelach przedstawiających rezultaty badań na Grodzieńszczyźnie podane są tylko procenty a brakuje liczb bezwzględnych i przy małej uważnej lekturze można bezwiednie aprobować tezy oparte na zbyt kruchych podstawach.

Ocena zmian stanu świadomości narodowej na Białorusi jest trudna i z tego względu, że nie wiemy na pewno jaki procent wśród Białorusinów stanowili katolicy przed wojną. Niektórzy historycy podają – wydaje się zawyżoną – wielkość rzędu 20 proc. W recenzowanej książce wymienia się, iż wśród ankietowanych Białorusinów katolicy stanowili 13,9 proc. (prawosławni – 66,7 proc., niewierzący – 7,8 proc., inne wyznanie i brak danych – 11,6 proc.).

Na razie więc na wnioski z badań po stronie białoruskiej trzeba patrzeć ostrożnie, ale jeśli one potwierdzą się, to będzie to dowód na to, iż polityka polonizacyjna w okresie międzywojennym – abstrahując od jej krytycznej oceny – przyniosła trwalsze efekty, niż się wydawało. Inaczej też trzeba będzie spojrzeć na różnego rodzaju „nadinterpretacje” wyników spisu

powszechnego z 1931 roku.

Zmieniające się relacje pomiędzy wyznaniem a stanem świadomości narodowej to – co prawda najważniejszy – ale tylko jeden z wątków książki. Inny ważny problem to kwestie językowe. Zarówno z tabel przedstawiających wyniki deklarowanego języka ojczystego jak i deklarowanego języka w kontaktach z rodziną wynika, że w woj. białostockim jedna czwarta rodzin białoruskich jest spolonizowana pod względem językowym, zaś po drugiej stronie granicy procesy rusyfikacji językowej (łącznie z białorusyzacją) objęły ponad połowę polskich rodzin.

Nie sposób w krótkiej recenzji przedstawić wszystkich wątków podejmowanych w pracy, zwrócę więc uwagę tylko jeszcze na jeden. Już w recenzji wydawniczej Włodzimierz Pawluczuk napisał, że pogranicze polsko-białoruskie uchodzi za jedno z najbardziej bezpiecznych w postkomunistycznym obszarze, jako najbardziej bezkonfliktowe. Ta „cisza etniczna” zdaniem A. Sadowskiego jest rezultatem kształtowania się pozytywnych stosunków między mniejszościami a większościami na tym pograniczu w dłuższym okresie, a także sukcesywnego narastania sfery wolności wobec mniejszości narodowych, równoległe do kształtowania się świadomości narodowej mieszkańców pogranicza. Być może jest to opinia trochę wyidealizowana, wystarczy przypomnieć niedawny spór o klasztor w Supraślu, podczas którego wielu przedstawicieli polsko-katolickiej większości nie potrafiło zachować klasy.

Nie chciałbym zwracać uwagi na szczegóły, ale razi trochę używanie polskich nazw jednostek terytorialnych w odniesieniu do Białorusi (województwo i powiat, zamiast obwód i rejon), podobnie jak użycie dla określenia zachodnich obszarów współczesnej Białorusi pojęcia „Zachodnia Białoruś” (s. 221), mającego w historii ściśle określone znaczenie. Wytknąć również należy niepodanie źródła pod dosyć ważną mapką pt. „Ludność polska w woj. grodzieńskim, 1995 r.” (s. 245). Autor popełnia też błąd pisząc w podsumowaniu: „Około 20% respondentów wyznania prawosławnego określiło siebie Polakami” (s. 234). Nie, to wśród tych, którzy uznali się za Polaków, było 20 % prawosławnych, a to co innego. Nie jest prawdą, że tamtejszy Polak-prawosławny jest dotąd zupełnie nie uwzględnianą kategorią w jakichkolwiek badaniach i działaniach społecznych – przecież już w końcu lat trzydziestych powstawały tam organizacje Polaków prawosławnych. Większość badaczy traktuje je jednak wyłącznie

jako akcję odgórną władz sanacyjnych.

Pomimo usterek, głównie dotyczących podsumowania badań na Grodzieńszczyźnie, właśnie zaletą tej pionierskiej pracy jest to, że przedstawia ona pogranicze z dwóch stron, także z białoruskiej.

Jan Jerzy MILEWSKI

Nadestane nowości wydawnicze

- ZUZOWSKI (Robert). *Komitet Samoobrony Społecznej KOR. Studium dysydemizmu i opozycji politycznej w Polsce*. Str. 215. Wyd. Ossolineum, Wrocław 1996.
- JANUSZEWSKI (Radosław), STRĘKOWSKI (Jan). *Szara księga. Mówią członkowie Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do zbadania zgodności z prawem działania organów państwa w sprawie Józefa Oleksego*. Str. 228. Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1996.
- WOLFRAM von Eschenbach. *Pieśni Parsifal Titurel*. Przełożył, przedmową, objaśnieniami i indeksem opatrzył, ryciny dobrał Andrzej Lam. Str. 445. Unia Wydawnicza Verum, Warszawa 1996.
- Rosja*. Praca zbiorowa pod redakcją Edwarda Przewodzkiego. Str. 99. Wydawnictwo Adam Marszałek, Warszawa 1996.
- FIRLEJ (Elżbieta). *Koszty integracji z NATO*. Str. 30. Wydawnictwo Adam Marszałek, Warszawa 1996.
- Polska wizja ogólnoeuropejskiego modelu bezpieczeństwa*. Oprac. Helena Malon. Str. 62. Wydawnictwo Adam Marszałek, Warszawa 1996.
- WOOD (E. Thomas), JANKOWSKI (Stanisław M.). *Karski. Opowieść o* emisariuszu. Str. 334. Wydawnictwo Baran i Suszczyński. Państwowe Muzeum Oświęcim-Brzezinka. Kraków, Oświęcim 1996.
- Who's who in Polish America: 1996-97*. Editor Bolesław Wierzbiański. Str. 571. Wyd. Bicentennial Publishing Corp. New York 1996.
- KOCHANOWSKI (Jan). *Treny*. Przekład A. Czerniawski. Str. 172. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 1996.
- ŻOŁĄDŹ-STRZELCZYK (Dorota). *Peregrinatio academica. Studia młodzieży polskiej z Korony i Litwy na akademiach i uniwersytetach niemieckich w XVI i pierwszej połowie XVII wieku*. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1996. Str. 241.
- BOCHIURKIW (Bohdan R.). *The Ukrainian Greek Catholic Church and the Soviet State (1939-1950)*. Str. 310. Wyd. Canadian Institut of Ukrainian Studies Press, Toronto 1996.
- TAZBIR (Janusz). *Reformacja, kontr-reformacja, tolerancja*. Str. 203. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- JULIUSZ (Kazimierz). *Śmierć Cezarego*. Poemat dramatyczny 1940. Str. 43. Łódź 1996.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

20.9.96

Zmarł w Gdyni w wieku 87 lat o. Jerzy Mirewicz SJ (prawdziwe nazwisko Bronisław Wójcik). W czasie wojny był zaangażowany w ruch podziemnym w Polsce, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie był duszpasterzem akademickim w Lublinie. Wobec grozących mu represji ze strony władz komunistycznych został wysłany zagranicę. Pracował w Sekcji Polskiej Radia Watykańskiego, a w 1963 r. został skierowany do Londynu, gdzie wydawał *Przegląd Powszechny* i prowadził szeroką akcję odczytów i spotkań dyskusyjnych. Wydał ponadto 23 książki. Powrócił do kraju w 1993 r. Zamieszkał w Gdyni w kolegium oo. jezuitów.

30.9.96

Niefortunna inicjatywa. Entuzjaści zapaśnika Andrzeja Wrońskiego, zdobywcy złotego medalu na igrzyskach olimpijskich w Atlancie, postanowili w jego rodzinnym podgdańskim miasteczku Żukowie postawić mu pomnik oraz nazwać jedną z ulic jego imieniem. Pomnik Andrzeja Wrońskiego ma stanąć na cokole istniejącego od 40 lat monumentu poświęconego żołnierzom Armii Czerwonej, którzy polegli tu podczas szturm na Gdańsk w czasie ostatniej wojny.

5.10.96

W Warszawie ukazał się nowy dziennik *Życie*, którego redaktorem naczelnym jest Tomasz Wołek, b. redaktor naczelny *Życia Warszawy*. Dziennik skupia b. współpracowników *Życia Warszawy*, którzy ustąpili przy zmianie właściciela pisma.

7.10.96

Zmarł w Warszawie w wieku 65 lat Wiesław Górnicki, znany dziennikarz i reportażysta. W 1981 r. został doradcą premiera Jaruzelskiego, a potem pracował w kancelarii prezydenta Jaruzelskiego w czasie jego kadencji.

ZACHÓD – EMIGRACJA

26.9.96

W Londynie zmarła w wieku 78 lat Alicja Iwańska, żołnierz AK, uczestniczka Powstania Warszawskiego, profesor socjologii, pisarka i poetka. Była wykładowcą na wielu uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych. Po przejściu na emeryturę wykładała w PUNO w Londynie.

18.10.96

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór wspomnieniowy ku czci ks. Zenona Modzelewskiego z udziałem Kazimierza Brandysa, Jerzego Kłoczowskiego i Krzysztofa Rutkowskiego.

21.10.96

W Stowarzyszeniu Polskim w Genewie prof. Jan Błoński wygłosił odczyt „Polska jest bardziej skomplikowana niż to się wydaje”.

■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego zostały wygłoszone odczyty prof. IBLu Zofii Stefanowskiej „Pan Tadeusz i co dalej...”, prof. Uniwersytetu Poznańskiego Zofii Trojanowiczowej „Dziady jako niedokończony poemat” oraz Janusza Odrowąża-Pieniążka, dyr. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, „Muzeum im. Adama Mickiewicza w Warszawie”.

23.10.96

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt dr. Mieczysława Rokosza „Kościszko a prawa człowieka”.

24.10.96

W Bibliotece Polskiej w Paryżu została otwarta wystawa „Czas pokoju – czas wojny. Artyści polscy w Paryżu 1900-1918”. Wystawa będzie otwarta do 19-go stycznia 1997 r. Wystawa mogła być zrealizowana dzięki pomocy Fundacji Zygmunta Lubicza-Zaleskiego.

25.10.96

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Jerzy Kłoczowski wygłosił odczyt „Chrześcijaństwo Europy Środkowo-Wschodniej wczoraj, dziś i jutro w oczach historyków”.

30.10.96

W Instytucie Polskim w Paryżu miał miejsce wieczór poświęcony tematowi „Polacy wobec powstania węgierskiego” z udziałem węgierskiego historyka Janosa Tischlera oraz Leszka Kołakowskiego, Karola Modzelewskiego, Krzysztofa Pomiana, Aleksandra Smolara i Krzysztofa Wolickiego. W czasie wieczoru były wyświetlane filmy dokumentalne.

Kronika australijska i nowozelandzka

Stopień zaangażowania w życie polityczne jest w Australii znacznie mniejszy w stosunku do zachodnich demokracji. I, jak podaje tygodnik *Time*, w Wielkiej Brytanii jedna osoba na dziesięć uprawnionych do głosowania, należy do partii politycznej, natomiast w Australii jedna osoba na sto. W innych państwach taka apatia w

odniesieniu do życia politycznego byłaby uwidoczniła w małym procencie głosujących; w Australii tego nie widać, ponieważ głosowanie jest obowiązkowe (są kary pieniężne za niebranie udziału w głosowaniu). ■ Do głównych partii politycznych w Australii należy około sto pięćdziesiąt tysięcy osób (na 18 milionów ludności) a co najmniej trzysta tysięcy należy do ugrupowań ochrony środowiska, jak *Greenpeace* i *The Wilderness Society*. Australijskie społeczeństwo wysuwa nowe założenia programowe dla rządu, jak sprawy ochrony środowiska, prawa dla różnych grup oraz włączanie ludności tubylczej – aborygenów do głównego nurtu życia australijskiego. ■ Od końca drugiej wojny światowej Australia przyjęła około pięciu milionów emigrantów, bez rasowych uprzedzeń. ■ Siedemdziesiąt tysięcy studentów zagranicznych, głównie z azjatyckich krajów, studiuje obecnie w Australii; jest to znaczny wzrost w okresie ostatnich lat; w roku 1984 studiowało ich dwa tysiące. Przynoszą oni Australii ponad 600 milionów dolarów dochodu. ■ Życie organizacyjne australijskiej Polonii przeżywa obecnie wyraźny kryzys. Liczne organizacje, w olbrzymiej większości stworzone przez dawną emigrację, przybyłą głównie na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych (około siedemdziesiąt tysięcy), nie mają oczekiwanego dopływu zarówno osób polskiego pochodzenia, urodzonych w Australii, jak i późniejszej tzw. solidarnościowej emigracji z lat osiemdziesiątych. Australijska Polonia liczy około stu sześćdziesięciu tysięcy, w tym stosunkowo dużą liczbę stanowią obecnie osoby polskiego pochodzenia, urodzone w Australii; emigracja z lat osiemdziesiątych określana jest na około trzydzieści tysięcy osób. W Melbourne, największym obok Sydney skupisku polonijnym w Australii, na czterdzieści kilka – istniejących od wielu lat – polonijnych organizacji, zaledwie kilkanaście przejawia widoczną działalność. Powstają natomiast liczne kluby seniora, gromadzące osoby z dawnej emigracji. Kluby te jednak nie są nastawione na działalność społeczną lecz towarzyską i mają dość dużą frekwencję na zebraniach i imprezach. W Melbourne powstało w ostatnich kilku latach dwadzieścia pięć polonijnych klubów seniora, z ogólną liczbą około dwóch tysięcy członków. ■ Obok kryzysu w działalności polonijnych organizacji, mamy obecnie kryzys w prasie polonijnej. Przestał ukazywać się, z przyczyn finansowych, tygodnik *Wiadomości Polskie*, wydawany w Sydney. *Wiadomości Polskie* zaczęły wychodzić podczas drugiej wojny światowej, jako biuletyn Konsulatu Generalnego RP w Australii (w Sydney). Pierwszy numer ukazał się w maju 1942 roku, pod redakcją konsula dr. Zygmunta Przybyłkiewicza. Po wojnie, po krótkiej przerwie, zostały wznowione pod patronatem Polskiego Towarzystwa Demokratycznego w Sydney i wychodziły nadal pod redakcją dr. Przybyłkiewicza. W końcu roku 1949 zaproszony został na członka komitetu redakcyjnego Jan Dunin-Karwicki, który w następnym czasie, jako redaktor i wydawca wywarł największy wpływ na politykę pisma i jego dalszy rozwój. *Wiadomości Polskie* przez dłuższy czas redagowane były raczej dla inteligencji spośród australijskiej Polonii. Tygodnik ten skupiał w gronie swoich współpracowników znaczną większość dziennikarzy i literatów, jacy

znaleźli się na fali emigracyjnej w Australii. Obecnie mamy w Australii trzy polonijne pisma o zasięgu ogólnoaustralijskim: jeden tygodnik – *Tygodnik Polski* (Melbourne) oraz dwa miesięczniki – *Kurier* (Perth) i *Przegląd katolicki* (Sydney). Są dwa zasadnicze powody zaistniałego kryzysu prasy polonijnej w Australii: pierwszy – to zmniejszanie się liczby czytelników z dawnej emigracji, bardzo wiernych czytelników tej prasy a drugi powód – to konkurencja ze strony prasy krajowej (narastająca po roku 1989). Oprócz dochodzących z Polski co tydzień pocztą lotniczą około trzech tysięcy egzemplarzy prasy krajowej do sprzedaży, drukowane są w Australii, jako zagraniczne wydania, trzy krajowe tygodniki, które wypełniane są tekstami nadsyłanymi z Polski, nawet w formie gotowych makiet (z Australii dochodzą do tych wydań ogłoszenia i informacje z życia tu-tejszej Polonii). ■ Inicjatorka akcji „Sprzątanie świata – Polska” Mira Stanisława Meysztowicz z Australii otrzymała w Polsce Order Złotego Liścia, przyznany przez ministra ochrony środowiska i zasobów naturalnych. Na uroczystości dekoracji obecny był Ian Kieran, który zapoczątkował „Sprzątanie Australii” a następnie „Sprzątanie świata”. ■ Po sześciu latach na stanowisku Konsula Generalnego RP w Australii, dr Grzegorz Pieńkowski zakończył swoją kadencję i powrócił do Polski. Jego działalność na rzecz australijskiej Polonii zasługuje na duże uznanie. Wywodzi się on ze środowisk solidarnościowych, jako Konsul Generalny, był on bardzo zaangażowany w życie australijskiej Polonii. ■ W Melbourne powstała Fundacja Studiów i Kultury Polskiej przy Wydziale Sławistyki Monash University. Naczelną ideą jest inspirowanie działań w zakresie kultury i nauki polskiej oraz wymiana doświadczeń w dziedzinie kultury, sztuki, nauki i stosunków handlowych pomiędzy Australią a Polską. Dyrektorem Fundacji jest dr Liliana Żarnowska, koordynatorka polskich studiów na Monash University. ■ Z inicjatywy Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii powstał Komitet Obchodów Dwóchsetlecia urodzin Pawła Edmunda Strzeleckiego (rocznica przypada na rok 1997), podróżnika, geologa i badacza australijskiego kontynentu. W planach działalności tego komitetu jest m.in. zorganizowanie sesji naukowej na jednym z uniwersytetów w Australii, wystawa prac, pamiątek, starodruków i fotografii, związanych z osobą Strzeleckiego, zebranie funduszy na wydanie książki Lecha Paszkowskiego o Strzeleckim (w języku angielskim), ogólnoaustralijski zjazd samochodowy do miejscowości u podnóża Góry Kościuszki, wybite pamiątkowego medalu i wydanie znaczka pocztowego z podobizną Strzeleckiego. ■ W Australii zmarł Włodzimierz Siengalewicz, który w listopadzie 1956 roku wespół z redaktorem Chudzyńskim z *Po prostu* i kolegami z floty, założył Związek Zawodowy Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich. Był to pierwszy w świecie komunistycznym wolny związek zawodowy. Włodzimierz Siengalewicz został wybrany w styczniu 1957 jego drugim i ostatnim przewodniczącym. Wkrótce potem władze PRL zlikwidowały ten związek a jego przewodniczący trafił do więzienia.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Listy do Redakcji

Londyn 30.09.96

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając uwagi Bohdana Osadczuka o piątej rocznicy niepodległości Ukrainy, po raz kolejny zwróciłem uwagę na osobliwą prezentację problemów redukcji armii w byłych krajach komunistycznych. Zarówno w publicystyce rosyjskiej, jak i w publicystyce krajów Europy Środkowej problem ten pojawia się jako jedno ze społecznych zagrożeń. Wydaje się, że nikomu nie przychodzi do głowy fakt, że zwalniana z wojska kadra oficerska jest, a przynajmniej może być, ogromnym kapitałem. Oficerowie mają zarówno wykształcenie jak i praktykę w dziedzinie logistyki, a więc tego, co jest samą podstawą teorii organizacji i zarządzania. Uzupełnienie ich wiedzy kursami z dziedziny analizy kosztów, marketingu, technik zarządzania w przemyśle i usługach pozwoliłoby na szybkie wzmocnienie kadry menadżerskiej w tych krajach o tysiące ludzi już posiadających bardzo cenne umiejętności. Z doświadczenia Europy Zachodniej wiemy jak dużą rolę po wojnie odegrali w gospodarce zdemobilizowani oficerowie zawodowi. Ich przechodzenie do gospodarki odbywało się jednak spontanicznie, przy stosunkowo niewielkim wsparciu organizacyjnym ze strony państwa. W latach sześćdziesiątych w Południowej Korei interesujący był manewr generała Parka, który z całą premedytacją utworzył trzon kadry menadżerskiej w przemyśle właśnie z byłej kadry oficerskiej.

W krajach Europy Środkowej istnieje wizja oficera jako istoty intelektualnie ograniczonej i nieprzydatnej do życia w cywilu. Praktyczne umiejętności wojskowych są całkowicie lekceważone. Tymczasem znakomita większość tych ludzi, w warunkach szybkiego rozwoju gospodarczego i ogromnego zapotrzebowania na kadre menadżerską, może być nie obciążeniem, a wręcz bardzo cennym kapitałem. Wykorzystanie tego kapitału wymaga jednak koncepcji i pewnych nakładów ze strony państwa, uzupełniania ich wykształcenia w oparciu o te umiejętności, które już posiadają, a które z punktu widzenia potrzeb rynku pracy są więcej niż cenne.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Andrzej KORASZEWSKI

Unionville, 30 września 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

Chochlik drukarski sprawił, że w moim liście dot. międzywojennej reformy szkolnictwa (zeszyt 586/87 *Kultury*) trudno jest się doszukać początku cudzysłowu w zdaniu (str. 221, 6/3 w. od dołu), które w poprawnej wersji powinno brzmieć: W innym liście prof. Marian Walczak (redaktor naczelny *Przeglądu Historyczno-Oświatowego*) zapewnił mnie, że „z treścią merytoryczną (mojego sprostowania do *Kultury W.M.S.*) w pełni się zgadza”. Będę Panu Redaktorowi bardzo zobowiązany za skorygowanie tego niefortunnego przeoczenia, bowiem pozbawia ono stanowisko prof. Walczaka tak ważnej tu jednoznaczności.

Łączę wyrazy szczerego szacunku

dr W.M. SZCZYGIELSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Wczoraj, tj. 17 IX 1996 późnym wieczorem obejrzałem w telewizji I pr. bardzo interesującą rozmowę Pana z panem prof. Janem Karskim na różne tematy współczesne, ale w tej rozmowie historia zajęła poczesne miejsce. Jako słuchacz i nadto historyk zawodowy, acz z innej, wcześniejszej epoki, mam sporo wrażeń oraz nieco uwag. Zaimponował mi Pan spokojem, umiarem, roztropnością, to nadało rozmowie Panów odpowiednią powagę. Wiele uwag było naprawdę celnych i trafnych! Niektóre wszakże budzą wątpliwości.

Mam wrażenie, że przez profesora Karskiego przemawiał silnie pragmatyzm. Chyba dłuższy pobyt w społeczeństwie o odmiennej tradycji politycznej wyrabia takie poglądy filozoficzne, ale ostrożnie trzeba by bardzo odnosić do historii Polski, szczególnie tej najbliższej. Prof. K. utrzymuje, że cały ruch podziemny w Polsce działał niewiele, a tylko naraził naród na ciężkie straty i nie miał żadnego wpływu ani na przebieg wojny, ani na datę jej ukończenia, bo o tym decydowały siły zbrojne aliantów. Mam wątpliwości, czy tutaj może być przykładem ruch oporu we Francji, bo inna była historia Francji i inny też przebieg okupacji. Polacy mają tradycję zdecydowanego oporu zbrojnego, to wyrosło z insurekcji kościuszkowskiej i po części z Baru. Jest taki piękny artykuł Adama Mickiewicza z „Pielgrzymie” z 1832 roku „O bezpolitykowcach. O ludziach szalonych i ludziach rozsądnych”. Mickiewicz zdecydowanie potępił właśnie tych „rozsądnych” z XVIII w. którzy jak „dziadowie nasi oddali bez wylania kropli krwi Białoruś, bez wylania kropli krwi Galicję i tyle Wielkopolski”. Potępił całe kunktatorstwo „oświeconej” elity i dowodził, że ta „krew była posłubiona Ojczyźnie, czy kto myśli, że ją można ukraść”? Dlatego

uważał, że synowie tych ojców i dziadów, pokolenie powstańcze, musi przelać ją w dwójnasób. Dlatego popierał bez zastrzeżeń nawet sprawy tak dyskusyjne jak wyprawę Zaliwskiego z 1833 do kraju. To ta tradycja Mickiewiczowska przyświecała całej Wielkiej Emigracji i inicjatorom insurekcji 1863. Mickiewicz wychodził z założenia, że same noty dyplomatyczne nie wystarczą; naród musi dochodzić swoich praw, nawet za cenę wielu poległych na polu walki czy zesłanych na Sybir. Można postawić pytanie: co by było, jak by wyglądała Polska, gdyby zwyciężyło nie Mickiewiczowskie patrzyenie na świat, na Polskę, lecz generałów Zajączka i Roźniedra, prezesa senatu Stanisława Zamoyskiego czy Aleksandra Wielopolskiego? Prof. St. Kieniewicz kiedyś zauważył, że jeszcze po 1831 zdarzał się polski policjant w służbie cara, ale po insurekcji 1863 było to już zupełnie niemożliwe. Moralnie (nie fizycznie) niemożliwe! Zupełnie inną sprawą natomiast była konstelacja polityczna w Europie, która miała decydujący wpływ na szanse naszych ruchów zbrojnych. To nie była, Panie Redaktorze, rezygnacja z niezależności, czepianie się obcych mocarstw, ponieważ to była pewna prawidłowość wszystkich insurekcji w XIX-wiecznej Europie (Belgowie, Węgrzy, Włosi, Grecy) iż korzystały one z różnicy interesów mocarstw i szukały poparcia tych państw, których interesy były zbieżne z insurgentami. Rewolucja belgijska 1830 odniosła sukces, acz była w zasadzie li tylko rewolucją dyplomatyczną; rewolucja grecka od 1821 też odniosła sukces, bowiem zyskała oparcie Anglii, Francji i częściowo Rosji. To, że nasze insurekcje przegrały, nie znaczy, że należy się od nich odwracać. Już prof. Tokarz tłumaczył, że są one trwałym elementem naszej tradycji i naszej świadomości historycznej! Przykład Czech niczego nie dowodzi, tłumaczył prof. Tokarz, bo one znalazły się li tylko pod Austrią, zaś szlachta czeska wyginęła pod Białą Górą. Przeto nie było tam komu urządzić powstań narodowych! Rzecz nie polega ani w potępieniu, ani w apoteozowaniu powstań, rzecz polega na tym (i tak samo rola historyka) aby wyjaśnić motywy decyzji, motywy udziału tysięcy Polaków oraz dlaczego ten wysiłek zbrojny spotykał się z chłodną, obojętną, zimną reakcją mocarstw Europy w XIX stuleciu. O ile nasze insurekcje były nie na rękę lub wręcz sprzeczne z interesami państw zachodnich. Po części przecież ten sam problem stanął przed inicjatorami wybuchu Powstania Warszawskiego 1944. Z tym, że żaden generał z 1831 – tak sądzę – nie podjąłby decyzji trzech naszych generałów z 1944. Nie wiem czy zwrócił Pan Redaktor uwagę na to, iż w książce dr. Jana M. Ciecchanowskiego, „Powstanie Warszawskie”, PIW 1984, w indeksie nazwisk pojawia się nazwisko gen. Skrzyneckiego? Co robi tam nazwisko gen. Skrzyneckiego? Gen. Okulicki w rozmowie z wahającym się gen. Borem-Komorowskim 31 VII 1944 woła, że będzie drugim gen. Skrzyneckim, jeśli nie podejmie męskiej decyzji!!! (sic). Tutaj chyba wylania się problem przełożenia tradycji, świadomości historycznej, znajomości dyplomacji europejskiej, na konkretne decyzje polityczne. Czy ta znajomość wśród korpusu oficerskiego

II Rzeczypospolitej była wystarczająca i odpowiednio krytycznie przyswojona?

Jak dalece generał może podejmować ryzyko, stając się szafarzem domniemanego dobra lub rzeczywistego, fizycznego i moralnego nieszczęścia narodu, miasta, itp? Generałowie z 1831 niemal jedynomyślnie odrzucili myśl dalszego bronięcia stolicy z uwagi na możliwość zniszczenia i miasta, i ludności; generałowie z 1944 podjęli takie ryzyko. Jak to ma ocenić historyk? Morze problemów, morze wątpliwości. Raz jeszcze powtarzam: rozmowa ciekawa, mądra, pożyteczna, miejscami dyskusyjna.

Słowa bardzo głębokiego szacunku

W. ZAJEWSKI

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04
Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 1997

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultura» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260; fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 493

JACEK KRAWCZYK – JANUSZ SZYMAŃSKI

BIBLIOGRAFIA

ZESZYTY HISTORYCZNE Nr 1-110
(1962-1994)

Str. 240

Cena F. 100,00



Tom 495 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SIEDEMNASTY

zawiera opracowania: A. Ziółkowska-Boehm: *Rozmowa z inż. Zdzisławem Julianem Starosteckim*; T. Dubicki: *Próba ucieczki płk. Becka z Rumunii (20.10.1940) w świetle archiwaliów rumuńskich*; A. Grzywacz: *Polski plan operacyjny „Wschód” a planowanie sowieckie w 1939 r.*; E.J. Feuerman: *Moi lwowscy profesorowie*; A. Lebień: *Zmierzch imperium albo odrodzenie Rosji*; W. Rojek: *Dwa „jałtańskie” raporty ambasadora Kajetana Morawskiego*; R. Bortnowski: *Daniłowski Dietprijomnik*; C. Bielecki: *Teresa Lechnicka-Affeltowicz*; M. Danilewicz Zielińska: *Przeoczony*; B. Berdychowska: *To jest przełom... (Rozmowa z Eugeniuszem Mironowiczem)*; T. Wyrwa: *Na rozdrożu interpretacji najnowszych dziejów Polski*; N. Taylor: *„Kresy” Jacka Kolbuszewskiego*; W. Zajewski: *Zagadki Sejmu Czteroletniego*; A. Friszke: *Sprawa Hanny Rewskiej*; G. Mazur: *Uzbrojenie Armii Krajowej. Stan faktyczny*; K. Tarka: *Polska Hierarchia a Litwini*; M. Rudzki: *Winietki okupacyjne (II). Pacyfikacja Nałęczowa i*
LISTY DO REDAKCJI

Str. 240

Cena F. 90,00